



Zabić Yamamoto!
Kulisy amerykańskiego
polowania na admirała Japonii

Anglik na tronie Polski
Jak gen. Sikorski planował
przywrócić monarchię

Rzeź białych w RPA
Wstrząsający wywiad
z afrykańskim farmerem

NR 10(92)/2020 PAŹDZIERNIK 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO



ISSN 2299-9515

DO RZECZY HISTORIA

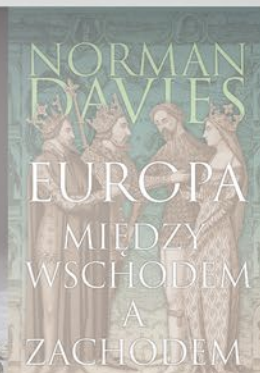
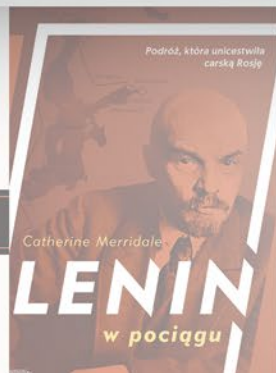
Nr indeksu 296 031



PAWIAK PIEKŁO GESTAPO W WARSZAWIE

Historia

w naszym wydaniu -
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Piotr Włoczyk

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski, NAC

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan, Jan Fiedorczyk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”)

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd spółki Orle Pióro: Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaję egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Jastarnia, sierpień 1938 r.

Kursantki z ośrodka szkolenia żeglarskiego na jachcie „Marzanna”



FOT. NAC

Od redaktora /  Piotr Zychowicz

Mój dziadek na Pawiaku

Pawiak. To słowo w trakcie drugiej wojny światowej wzbudzało grozę wśród mieszkańców Warszawy i całego Generalnego Gubernatorstwa. W więzieniu tym – mieszczącym się przy ul. Dzielnej – Niemcy przetrzymywali aresztowanych Polaków. Członków konspiracji, zakładników, przedstawicieli elit. Ludzi, przeciwko którym gestapo prowadziło śledztwo, a także skazańców oczekujących na nocną egzekucję.

Pawiak szybko stał się piekielnym mikroświatem. Areną dzikich okrucieństw sadystycznych strażników. Panów życia i śmierci osadzonych. Dla tych oprawców skatować, zabić człowieka było niczym splunięcie. Na Pawiaku ludzkie życie było niezwykle tanie. W więzieniu dochodziło do brutalnych pobić, tortur i upokorzeń. A także mordów. Szalały głód i choroby.

Jednym z osadzonych na Pawiaku był mój dziadek – Stefan Kozłowski. Jak tam trafił? W mieszkaniu naszej rodziny przy ul. Hożej w jednym pokoju mieszkało żydowskie małżeństwo. Niestety ktoś z „uprzejmych” sąsiadów złożył donos i wkrótce do drzwi

zapukało gestapo. Dziadek został wyprowadzony z domu w kajdankach i osadzony przy Dzielnej.

Życie uratowała mu moja babcia, której udało się dotrzeć do gestapowca prowadzącego śledztwo. Na szczęście okazał się on skorumpowanym łapówkarzem (co w niemieckim aparacie okupacyjnym było normą). Przyjął od babci całą jej biżuterię i zamknął śledztwo. Dziadek wyszedł na wolność. Do końca życia – a żył długo – z wielką niechęcią wracał do swoich przeżyć na Pawiaku. Do tego, co tam widział i co przeżył.

Ten numer „Historii Do Rzeczy” dedykuję pamięci mojego dziadka i wszystkich innych więźniów Pawiaka. Tych, którzy przetrwali to piekło, i tych, którzy stracili w nim życie. ©©

Zachęcamy do udziału w Dniach Pamięci Pawiak (7–10 października) na terenie Muzeum Więzienia Pawiak, ul. Dzielna 24/26, Warszawa.

Szczegóły: <http://muzeum-niepodleglosci.pl/>



FOT. ARCHIWUM RODZINNE PIOTRA ZYCHOWICZA

/ TEMAT NUMERU

.6 ROBERT HASSELBUSCH

**Koszmar
za podwójnym
murem**.10 ŚWIADECTWA WIĘŹNIÓW PAWIAKA
Ocalali z piekła mówią

.14 PIOTR ZYCHOWICZ

**Germanofil
na Pawiaku**

.18 Lekarz w piekle Pawiaka

.22 MACIEJ ROSALAK

AK poluje na katów

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Pisarz na
manowcach**

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Powrót biesów

.69 PIOTR SEMKA

**Ostfront
po hiszpańsku**

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Studnicki

/ CZASY I LUDZIE



.26 WERNER WEBER

**Rzeź białych
farmerów
z RPA**

.30 SŁAWOMIR KOPER

**Mroczne tajemnice
Pana Samochodzika**

.34 MIKOŁAJ IWANOW

Kino w służbie Putina

.37 RADOŚLAW GOLEC

**Anglik na tronie
Polski**

.40 PIOTR ZYCHOWICZ

**Polowanie
na Yamamoto**.44 MAREK
GAŁĘZOWSKI**34 kule
sztandaru
bajonczyków**

.48 JAKUB OSTROMĘCKI

**Krwawe
waterpolo**

.52 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Serbowie Hitlera

.56 PIOTR SEMKA

**Złota wolna
jesień '80**

.58 LESZEK LUBICKI

**Królowa
z toporem**.80 TYMOTEUSZ
PAWŁOWSKI**Roboty**

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK

**Bereza
komunistów
i kryminalistów**/ BATALIE
I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK

**Bolszewika
goń!**

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



Los więźniów / Z Robertem Hasselbuschem,
historykiem z Muzeum Więzienia Pawiak



rozmawia Piotr Włoczyk

Koszmar za podwójnym murem

Budynek oddziału męskiego więzienia
na Pawiaku FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

/ Pawiak był pierwszym etapem męczeńskiej drogi polskich ofiar niemieckiej okupacji. Nazwa tego więzienia mroziła krew w żyłach

PIOTR WŁOCZYK: W latach 1939–1944 przez Pawiak przeszło miasto średniej wielkości – ok. 100 tys. ludzi. Jaki był ich los?

ROBERT HASSELBUSCH: Pawiak był pierwszym etapem ich męczeńskiej drogi. Około 37 tys. z nich zostało zamordowanych w egzekucjach w Warszawie lub w okolicach stolicy, a 60 tys. wywieziono do obozów koncentracyjnych. Zwolnienia z Pawiaka były niezwykle rzadkie. Przypadków ucieczek było jeszcze mniej, ponieważ było to wyjątkowo trudne.

Pawiak znajdował się pośrodku getta...

Dlatego też Pawiak nazywany był „więzieniem za podwójnym murem”. Każdy, kto chciał się stąd wyrwać, musiał pamiętać, że po wydostaniu się z więzie-

nia – co było skrajnie trudne – musiał też mieć plan przejścia na stronę „aryjską”.

Kim byli ludzie, którzy trafiali do tego miejsca?

Niemcy przetrzymywali w tym więzieniu śledczym m.in. inteligencję, elitę naszego narodu, ludzi kultury i nauki, działaczy politycznych, żołnierzy konspiracji. Na Pawiak trafiali też jednak kompletnie przypadkowi ludzie z łapanek. Były to ofiary niemieckiego, hitlerowskiego terroru mającego na celu pozabawienie Polaków warstwy przywódczej oraz zastraszenie i zniewolenie ludności okupowanego kraju. Oprowadzając młodzież po Pawiaku, zawsze wspominam w tym kontekście o studentce Elżbiecie Zahorskiej. Jej los obrazuje skalę terroru, jaki panował od pierwszych dni okupacji. Elżbieta Zahorska została aresztowana – a następnie rozstrzelana – za zerwanie niemieckiego plakatu propagandowego „Anglio, twoje dzieło!”. W momencie śmierci miała 24 lata...

Niemcy osadzali tu również Żydów. Od 1942 r., gdy rozpoczęto masową zagładę warszawskich Żydów, więźniów tej naro-

dowości przestano ewidencjonować. Na Pawiak trafiali Żydzi, którzy ukrywali się i zostali złapani po stronie „aryjskiej”. To tu był więziony m.in. Emanuel Ringelblum wraz z rodziną. Osoby pochodzenia żydowskiego izolowane na oddziale VIII Pawiaka, między innymi kobiety i dzieci, po krótkim czasie uwięzienia były mordowane w ruinach getta.

Nazwa więzienia przerażała okoliczną ludność. Co się tu działo?

Pawiak zbudowany został w latach 30. XIX w. W krótkim czasie zaczął służyć zaborcy rosyjskiemu jako instrument represji, ale bez wątpienia okres 1939–1944 był najtragiczniejszym rozdziałem w historii tego więzienia. Nie da się tego porównać w żaden sposób do czasów carskich.

Więzienie było cały czas przepełnione. Niemcy potrafili wcisnąć do celi dwuosobowej nawet 18 więźniów. Katownie znajdowały się w głównej siedzibie gestapo w al. Szucha, dokąd przewożono codziennie grupę więźniów na przesłuchanie, ale na Pawiaku wach-

majstrzy również katowali osadzonych, zamęczali ich „ćwiczeniami fizycznymi”, bili pałkami lub pejcami, szczuli na nich psy czy kazali czołgać się po niewygaszonej hałdzie żużlu z kotłowni. Po takich szykanach nierzadko więźniowie musieli być zabierani do szpitala.

„Serbią” nazywano kobiecą część Pawiaka. Czy Niemcy traktowali osadzone tu kobiety inaczej niż mężczyzn?

Reżim na oddziale kobiecym był trochę łżejszy niż w części męskiej więzienia. Wynikało to z mniejszej obsady niemieckiej na „Serbii”. Kobiety jednak również były traktowane brutalnie. Nie szczędzono im „gimnastyki”. Jeden z najgorszych oprawców załogi gestapowskiej, Franz Bürkl, pewnego razu tak pokierował „ćwiczeniami fizycznymi” więźniarek, że dla wielu z nich zakończyły się one omdleniem lub innymi urazami.

Pierwsze egzekucje więźniów z Pawiaka przeprowadzono w ogrodach sejmowych, potem Niemcy rozstrzelali skazańców m.in. w Palmirach, ale od 1943 r. skazańcy z Pawiaka byli mordowani niemal na miejscu...

Po stłumieniu powstania w getcie warszawskim (kwiecień–maj 1943 r.) tajne egzekucje więźniów Pawiaka odbywały się w ruinach getta. Tylko podczas pierwszej egzekucji w nowym miejscu, 29 maja 1943 r., rozstrzelano ponad 500 osób. Ta masakra trwała przez kilka godzin. Można przeczytać na ten temat wstrząsające relacje. Niemcy zgromadzili skazańców na dziedzińcu więzienia. Ciężarówkami kursowały między Pawiakiem a ruinami. Ludzie przeznaczeni do egzekucji czekali przerażeni na swoją kolej. Ciało rozstrzelanych układano na stosie, polewano benzyną i podpalano. Przeprowadzano masowe egzekucje, ale wachmajstrzy wychodzili też z pojedynczymi skazańcami.

Jesień 1943 i początek 1944 r. to szczególnie krwawy okres w dziejach Warszawy. Było to oczywiście spowodowane brutalną polityką Franza Kutschery. Rosnącą skalę niemieckiego terroru widać po skali rozstrzeliwania więźniów Pawiaka.

Adres więzienia to Dzielnia 24/26. Tymczasem egzekucje odbywały się m.in. w domach przy ul. Dzielnej 25

oraz 27. Więźniowie słyszeli strzały, wiedzieli, że to egzekucje. Żyli w niewyobrażalnym stresie. Pamiętajmy przy tym, że poza egzekucjami toczył się też „normalny” rytm życia Pawiaka – transport na przesłuchanie na Szucha był codziennością tego miejsca. Ciężarówki, które więźniowie nazywali „budami”, wyjeżdżały stąd codziennie przed godz. 8 i wracały o 17, kiedy gestapowcy kończyli swój „dzień pracy”.

Wśród więźniów nie brakowało słynnych nazwisk.

Niemcy przetrzymywali na Pawiaku m.in. Jana Bytnara „Rudego”, odbitego w czasie przewożenia z Szucha na Pawiak, prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, Irenę Sendlerową, która wypuszczona została za łapówkę. Pawiak był w sensie jak najbardziej dosłownym początkiem męczeńskiej drogi św. o. Maksymiliana Kolbego. Ten kapłan już na Pawiaku dał wyraz swojej niezłomności. Pewnego dnia niemiecki wachmajster otworzył drzwi celi Ojciec

ka wywieziony do KL Auschwitz, gdzie oddał życie za współwięźnia.

Janusz Korczak trafił tu w 1940 r., ale zginął dopiero dwa lata później w Treblince wraz ze swoimi dziećmi...

Słynny polsko-żydowski pedagog został aresztowany, gdy interweniował u Niemców w sprawie sierocińca. Miał na sobie mundur oficera rezerwy Wojska Polskiego i nie założył na ramię opaski z gwiazdą Dawida, której noszenia odmawiał. Został z więzienia wykupiony. Innym bardzo zasłużonym dla Polski więźniem Pawiaka był Antoni Kocjan – inżynier, który służąc w podziemiu, pomógł odkryć sekrety niemieckich rakiet V1 i V2. Został zamordowany w sierpniu 1944 r. w jednej z ostatnich egzekucji więźniów, która nastąpiła tuż przed wysadzeniem w powietrze Pawiaka.

Ilu ludzi udało się stąd uciec?

W okresie okupacji doszło do kilku nastu ucieczek. Osoba decydująca się na taki krok musiała zdawać sobie sprawę z tego, że Pawiak był więzieniem za podwójnym murem. Trzeba tu powiedzieć o bohaterskiej postawie polskich strażników i strażniczek więziennych, którzy brali udział w konspiracji i pomagali

więźniom. Jeden ze strażników pomógł zorganizować głośną ucieczkę przez „zwyżkę”.

Czyli wieźyczkę strażniczą.

Tak. Było to na początku marca 1942 r. Strażnik ten wyciągnął z cel kilku osadzonych. Jak to zorganizował? Jednemu z więźniów polecił, aby spowodował u siebie krwotok z nosa. Ponadto miał wykorzystać fakt, że tego dnia na obiad była akurat zupa buraczana. Więzień oblał się nią, miał koło nosa chusteczkę i uderzał w drzwi celi, a strażnik zameldował wachmajstrowi, że osadzony ma krwotok z nosa.



FOT. ARCHIWUM

Kolbe był w habicie i miał zawieszony na szyi krzyż. Wachmajster wszedł do celi, wskazał ręką na krzyż i zapytał: „Czy ty w to wierzysz?”. Ojciec Kolbe potwierdził, że wierzy. Został za to uderzony w twarz. Wachmajster po raz drugi zadał to samo pytanie. Zakonnik udzielił takiej samej odpowiedzi. Znowu został uderzony w twarz. Pytanie to padło po raz trzeci i gdy o. Kolbe znowu powiedział, że wierzy w Chrystusa, wachmajster uderzył go po raz trzeci tak mocno, że duchowny upadł na podłogę. Ojciec Kolbe został z Pawia-

■ Krwotok robił w ogóle na Niemcach większe wrażenie?

W tym przypadku się udało. Z perspektywy gestapo szpital był potrzebny na Pawiaku właściwie tylko z obawy przed wybuchem epidemii chorób zakaźnych na terenie kompleksu więziennego i do tego, by utrzymać więźnia przy życiu na czas śledztwa, żeby zdążył powiedzieć wszystko, na czym zależało przesłuchującym funkcjonariuszom. Wracając do ucieczki – strażnik najpierw zaprowadził więźnia do szpitala, a następnie na zwykłą, na której pełnił służbę. W sumie udało mu się przeprowadzić tam czterech przetrzymywanych na Pawiaku. Przeskoczyli oni z wieżyczki na dach sąsiednie-

Bronisław Kuczorski wiedział, że mogła być za to tylko jedna kara. Opuścił tego dnia Pawiak na dobre, a następnie wstąpił do oddziału partyzanckiego.

Co nim powodowało?

To była bezinteresowna pomoc, na pewno nie można mówić w tym przypadku o łapówce.

Łapówki były przekazywane Niemcom. To były zazwyczaj bardzo duże sumy. W jednym przypadku rodzina sprzedała swoje nieruchomości w okolicach Warszawy i za taką łapówkę przekazaną gestapowcowi uzyskała zwolnienie swojego bliskiego.

Polscy strażnicy i strażniczki przemycali na Pawiak żywność, grypsy, wykazy-

Rozmawiając o Pawiaku, nie sposób nie wspomnieć o siatce konspiracyjnej, która tu funkcjonowała.

Polskie podziemie było aktywne na Pawiaku już od listopada 1939 r. Dzięki niemu przekazywano grypsy, w szczególnych przypadkach pomagano osadzonym w uciezkach. W siatkę konspiracyjną zaangażowani byli, poza strażnikami i strażniczkami, między innymi polscy lekarze – zarówno więźniowie, jak i „wolnościowcy”. Funkcjonowały tu dwa szpitale – męski oraz żeński na „Serbii”. Były to miejsca, w których kwitła działalność konspiracyjna. Siatka podziemna funkcjonująca w oparciu o szpital działała sprawnie dzięki zaangażowaniu i poświęceniu także innych osadzonych na funkcjach. Duże zasługi miał przykładowo Leon Wanat, pisarz-więzień z kancelarii więziennej. Przemycano grypsy m.in. w aparaturze medycznej czy na etykietach leków. W tym drugim przypadku tajne wiadomości były zapisywane łaciną, której niemieccy wachmajstrzy nie znali. Lekarze pomagali również w uciezkach. Jedną z najciekawszych spraw była akcja „Tyfusy”, którą przeprowadzono w drugiej połowie 1941 r.

Do ucieczki wykorzystywano śmiertelnie groźną chorobę?

Tak. W ten sposób uciekł Stanisław Miedza-Tomaszewski. Wykorzystywano w tym celu szczepionki przeciwtyfusowe prof. Rudolfa Weigla oraz wszy zarażone tą chorobą. Oba materiały przemycano na Pawiak. Plan był prosty: wzywano więźnia na konsultację lekarską, szczepiono go przeciw tyfusowi, a następnie zarażano go tą chorobą. Nie groziła mu już śmierć, ale miał objawy choroby.

Koszmar Niemców...

Dokładnie, niemieccy funkcjonariusze z Pawiaka bali się tyfusu i wybuchu epidemii na terenie więzienia. Do początku 1942 r. zezwalali, aby zakażonego więźnia przewieźć do szpitala „wolnościowego”. Naturalnie z placówki mieszczącej się poza gettem łatwiej było odbić więźnia niż z Pawiaka. Jeżeli już rozmawiamy o konspiracji na Pawiaku, to warto wspomnieć, że w tym więzieniu przeprowadzono też... egzamin maturalny. Jak do tego doszło? W 1940 r. gestapowcy wpadli do mieszkania, w którym odbywał się tajny komplet. Wszyscy



Niemieccy i ukraińscy wachmajstrzy na Pawiaku
FOT. MUZEUM NIEPODŁĘGŁOŚCI W WARSZAWIE

go budynku, skąd pokonali więzienny mur. Po drugiej stronie czekała na nich małżonka strażnika, która miała przygotowane dla nich opaski z gwiazdą Dawida.

Co się z nimi stało? Udało im się wyjść z getta?

Tak, to była udana ucieczka, wśród uciekinierów był m.in. wiceprezydent Warszawy Tadeusz Szpotański.

Co się stało ze strażnikiem, który zorganizował tę akcję?

wali się wielką ofiarnością. Wielu z nich za pomoc zapłaciło najwyższą cenę. Na ekspozycji w muzeum prezentujemy postać pani Janiny Szubielskiej, która niosła pomoc więźniarkom. Była przez nie nazywana „mateczką”. Już samo to mówi nam wiele na temat jej stosunku od uwięzionych. Za pomoc więźniarkom została aresztowana przez gestapo, sama trafiła na Pawiak w charakterze osadzonej, a następnie wywieziono ją do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Udało jej się jednak przeżyć wojnę. Zmarła wiele lat później – w 1975 r.

obecni zostali aresztowani. Uczestniczki kompletu zostały uwięzione w „Serbii”. Następnie na spacerunku jedna z uczennic dokończyła przerwany egzamin ustny.

W murach tego więzienia wydarzyło się mnóstwo potwornych historii, ale nie brakuje też chyba takich, które potrafią przywrócić wiarę w ludzi...

Oczywiście. Za wieloma stoi Patronat. Było to Towarzystwo Opieki nad Więźniami. Patronat dostarczał osadzonym paczki z żywnością. Było to bardzo ważne, zważywszy na to, że wyżywienie więzienne było liche. Całodzienna racja żywnościowa obejmowała 250-gramową porcję chleba na śniadanie oraz pozbawioną tłuszczu „wasser zupkę” z brukwi lub buraków na obiad. Do tego wydawano rano i wieczorem kubek kawy, którą więźniowie nazywali „lurą”. W tej sytuacji trudno przecenić pomoc Patronatu, biorąc również pod uwagę to, że żywność także na wolności stanowiła towar deficytowy. Organizacja ta wyposażyła również więzienny szpital w niezbędny sprzęt i leki.

Jednym z ostatnich żyjących więźniów Pawiaka jest pan Leszek Zabłocki. Z opowieści pana Leszka szczególnie zapada w pamięć fragment o świętach. Jeden z więźniów funkcyjnych, Stanisław Zelent, wyprosił u wachmajstra otworenie na chwilę drzwi do izolatek. Zelent wszedł do celi pana Leszka. Więźniowie uściskali się, złożyli sobie życzenia świąteczne. Pan Leszek wspominał, że to było coś niesamowitego – po długich tygodniach izolacji zobaczyć przyjazną twarz, uściskać się, przekonać się, że ktoś o nim myśli...

Wśród więźniarek Pawiaka nie brakowało kobiet w ciąży i z niemowlakami. Jak Niemcy je traktowali?

Szczególnie dramatyczne historie dotyczą matek z małutkimi dziećmi. Zazwyczaj niemowlak urodzony na Pawiaku lub przywieziony wraz z aresztowanymi rodzicami chronił matkę przed rozstrzelaniem. Niestety nie dotyczyło to Żydówek, ponieważ żydowskich matek i dzieci nic nie chroniło. Gestapowcy bez zmyślenia oka rozstrzelali także kobiety w zaawansowanej ciąży, ale z jakiegoś powodu małe dziecko będące przy matce zazwyczaj powstrzymywało funkcjonariuszy niemieckich przed

Pomnik Drzewa Pawiackiego i zachowany filar bramy więziennej

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE



zamordowaniem matki lub wysłaniem jej do obozu.

Przykładem tego jest niezwykła historia Marii Rutkiewicz zaangażowanej w podziemie komunistyczne. Na Pawiaku urodziła bliźniaki. To był jedyny taki przypadek w tym więzieniu w czasie okupacji. W czasie przesłuchania gestapowcy zapowiedzieli jej, że zostanie rozstrzelana. Po urodzeniu dzieci kobieta zastanawiała się, co zrobić z maluchami – czy zostawić je przy sobie, choć oznaczało to dla nich bardzo niepewny los, czy przekazać na wolność. Ostatecznie lekarze przekonali panią Rutkiewicz, żeby zostawiła je przy sobie. W czasie likwidacji Pawiaka pani Rutkiewicz wraz z dziećmi została z Pawiaka zwolniona. Było to 31 lipca, dzień przed wybuchem powstania. To był absolutny wyjątek. Zwolniono wówczas 150 osób – między innymi kobiety z dziećmi i część personelu medycznego.

Wiadomo, że AK zlikwidowała kilku niemieckich katów z Pawiaka. Czy te zabójstwa cokolwiek zmieniły w sytuacji więźniów?

Zabity został w ten sposób m.in. Ernst Weffels, nazywany „Wyłup”, wieszający więźniów i odznaczający się okrucieństwem wobec więźniarek, a także wspomniany już Franz Bürkl. Byli oni wyjątkowymi sadystami. Akcje likwidacyjne nie wpływały jednak raczej na zmianę postawy Niemców z Pawiaka. Szykany i terror nie ustawały – to był

stały element codzienności Pawiaka od początku do końca.

Jak wyglądał koniec tego więzienia?

W ostatnich dniach lipca odeszły z Pawiaka dwa transporty ewakuacyjne. Tysiąc czterystu mężczyzn zostało wywiezionych do KL Gross-Rosen, 400 więźniarek zostało wywiezionych do KL Ravensbrück. Jak już mówiłem, zwolniono 150 osób. Na Pawiaku pozostało ok. 100 więźniów – były to osoby niewłaśczone do transportu, w tym chorzy, a także kobiety w zaawansowanej ciąży, które na początku sierpnia urodziły dzieci. Ci ludzie zostali w zdecydowanej większości w połowie sierpnia rozstrzelani w ruinach getta. Noworodki również zostały wówczas zamordowane przez Niemców...

Więźniowie relacjonowali, że już pod koniec lipca wachmajstrzy z Pawiaka palili papiery na dziedzińcu i zacierali wszelkie inne ślady. Cały kompleks więzienny został wysadzony 21 sierpnia 1944 r. Po dziś dzień zachowały się tylko filar bramy i niewielki fragment podziemi, który można obejrzeć w naszym muzeum.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Robert Hasselbusch jest historykiem, kustoszem Muzeum Więzienia Pawiak, oddziału Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Korytarz VII oddziału więzienia na Pawiaku; rekonstrukcja

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

Ocalali z piekła mówią

/ Mordy, pobicia, upokorzenia i tortury. Głód, choroby i strach. Opowieści byłych więźniów Pawiaka mrozą krew w żyłach

Każdy nowo przybyły na Pawiak był poddawany przesłuchaniu u doktora. Lekarz był Polakiem i zarazem więźniem. Mrugając do strażnika więziennego, powiedział:

- Ten jest obrzezany.
- Strażnik podszedł do mnie i zapytał:
- Jesteś Żydem?
- Nie – odpowiedziałem.
- Ale strażnik nie słuchał. Poczęstował mnie odbijającym się echem policzkiem i kopniakiem swoich ćwiekowanych butów.
- Dlaczego się nie przyznajesz, psie? – krzyknął.
- Chcesz oszukać policję niemiecką?
- Krwawiąc obficie, zostałem wrzucony do celi.

Julian Hirshaut

Wjazd przez bramę Pawiaka był złowrogi. Czekali na nas esesmani z wielkimi wilczurami, które wściekle ujadły i szczyrzyły zęby. A z tego, co się później dowie-

działem, karmione były ludzkim mięsem. Bałem się ich wtedy nawet bardziej niż ludzkich oprawców. Za kolejną bramą zaczęła się gehenna. Rozdzielili mnie ze Stefą. Ona trafiła na Serbię, ja do sekcji męskiej.

Najpierw wcisnęli mnie do małej, pękającej w szwach celi. Było tam o wiele więcej więźniów, niż mogło się zmieścić. Poddali mnie badaniom. Ogolili mnie na zero. „Jak ja będę chodził taki wygolony na randki?!“ – pomyślałem. Było to młodzieńcze myślenie. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, w jakim niebezpieczeństwie się znalazłem.

Było nas sześciu. Mieliśmy do spania jeden lichy siennik. Służył nam za podgłówek. Kiedy któryś z nas chciał się obrócić z jednego boku na drugi, musieliśmy robić to wszyscy jednocześnie. Gdy przychodziła noc, wcale nie mogliśmy spać. Roіło się od wszy, które po nas skakały, gryząc niemiłosiernie. Spać nie pozwalał także strach. Przez otwarte, niewielkie okienko celi słyszał było niemal nieustannie strzelaniny, krzyki, jęki,

płacz. Nie wiadomo było nigdy, kogo tym razem Niemcy zamordowali ani kiedy przyjdzie kolej na nas.

Cela była mała. Wilgotna. Śmierdząca. Na jej ścianach wielu z nas wyryło swoje imiona i nazwiska. Tu byliśmy. Czy przeżyjemy, tego nie wiemy. Niech pozostanie po nas ślad.

Julian Kulski

Wśród niesamowitych wrzasków i obraźliwych epitetów: „polnische Schweine” ogromny, niedźwiedziowaty wachmajster Müller wsadził nieszczęsnemu więźniowi menażkę na głowę jak kapelusz i rąbnął w nią pięścią, wielką jak bochen chleba. Zarechotał, zadowolony z „dowcipu”, i trzasnął drzwiami. Zostaliśmy sami. Spojrzałem na delikwenta. Wyglądał cudacznie – jakby bardzo zamysłony lub zdziwiony i błady jak ściana. Nabiedziliśmy się sporo, zanim udało się ściągnąć menażkę z głowy. Wtedy chlusnęła krew. Zbyt ciasna menażka rozciąła skórę wysoko na głowie i zsunęła ją z kości, fałdując ponad brwiami.

Felicjan Loth

Spała na Serbii, żeńskim oddziale więzienia. Cele nie były duże, mimo to mieściły blisko czterdzieści więźnia-

rek. Na noc rozkładały w rzędach sienniki. Ciasnota powodowała, że jeśli jedna z kobiet chciała się obrócić z boku na bok, wszystkie musiały robić to samo. W ciągu dnia ponownie układały sienniki, tak żeby nie siedzieć na betonie. W kącie stał kibek. Po porannym apelu sprzątały w celi. Później, jeśli nie wyjeżdżały na przesłuchania, siedziały przez cały dzień z przerwą na posiłek.

Anna Czubatka

Po raz pierwszy przeżyłem grozę transportu śmierci. W nocy 2 marca 1942 r. usłyszałem przeciągłe sygnały nadjeżdżających samochodów, warkot motorów, a za chwilę głuchy stukot podkutych butów. Jakies nawoływania, rozkazy. Zgrzyt otwieranych i trzask zamykanych cel, a w końcu rumor i krzyki na klatce schodowej. Potem znów nastąpiła cisza. Dowiedziałem się później, że zabrano około 100 mężczyzn. Egzekucji dokonano w lasach koło miejscowości Łomianki. Bezpośrednim jej powodem było spalenie przez oddziały dywersyjne ZWZ niemieckich magazynów przy ul. Jagiellońskiej. Wśród rozstrzelanych największą grupę stanowili oficerowie Wojska Polskiego.

Zbigniew Tomaszewski

– W progu stanął kapo, młody goj o dzikich oczach, wymachując swoim długim skórzanym biczem, krzyczał:

– Żydki! Do roboty!

Zostaliśmy przydzieleni do załadunku pałających się węgli na żelazne wózki i przeciągnięcia ich w pobliże zagłębienia na drugim końcu podwórka, następnie do wypełnienia dołu i zrównania go z powierzchnią ziemi. Dla nas, wygłodniałych i wyczerpanych Żydów, to zadanie było praktycznie niewykonalne, szczególnie że węgle wydzielali diabelski żar. Przez dotykanie gorących kawałków czy też poprzez przypadkowe nadeptanie na nie nabawiliśmy się bolesnych poparzeń. Dym wdierał się do oczu, łzy spływały po policzkach, czuliśmy jakby płuca miało nam rozerwać, nasze ciała były pokryte wypalonymi ranami. Jednak nie mieliśmy odwagi przestać pracować nawet na chwilę. Pilnowało nas kilku ukraińskich strażników i jeden esesman. Najbardziej okrutny z nich był Ukrainiec Kolenko. Byłem pierwszym z grupy, który opadł z sił. Kolenko podbiegł do mnie. Chwył moją żelazną łopatę i zaczął mnie nią okładać po ramionach i łopatkach. Jednak zdołałem ustać. Miałem szczęście – zostałem zastrzelony, gdybym upadł. Życie bezradnego, nie zdolnego do produkcyjnej pracy Żyda nie miało wartości na Pawiaku.

Julian Hirshaut



Rysunki Jadwigi Tereszczenko: „Izolotka”, „Duch więzienia”, „Rewizja w celi”

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

Na Pawiaku, w celi matek, gdzie przebywaliśmy z mamą oraz innymi kobietami z dziećmi, spędziłem prawie dwa lata. Nie znałem innego życia. To naturalne, że nie miałem nawet świadomości, że może być inaczej – byłem za mały. Nie znałem wolności. Pawiak był dla mnie naturalnym środowiskiem. Cella była domem, jedynym, jaki znałem, jaki bym poznał, gdybym został rozstrzelany z mamą na placu przed więzieniem. Tłok w celi, szepty, szmery, płacz dzieci. To był mój dom, moje podwórko, moje wczesne dzieciństwo. Dopiero po latach zdałem sobie z tego sprawę. Mama przez rok karmiła mnie piersią. Jedzenia brakowało.

Podczas gdy byłem więźniem Pawiaka, kilkakrotnie chorowałem na zapalenie płuc, zapalenie zatok, dwukrotnie przechodziłem czerwonkę, ropne zapalenie ucha. Z opowieści mamy wiem, że pomagali mi wtedy lekarze z pawiackiego szpitala na Syberii. Zainteresowałem mnie ten temat i może dlatego po wojnie sam zostałem lekarzem.

O Bürklu było wiadomo, że potrafił zabierać niemowlęta matkom, i uderzając z całej siły o ścianę ich główkami, zabijał je. Obawa mamy o moje życie nie kończyła się na Bürklu. Powodów do strachu było wiele. Choćby taki, że przez moje częste choroby i leczenie w pawiackim szpitalu władze więzienne chciały mnie wysłać do szpitala „wolnościowego”. Dla mamy było to nie do przyjęcia. Bała się ze względu na możliwość porwania mnie i próby zgermanizowania po wywózce do Trzeciej Rzeszy.

Jan Herburt-Heybowicz

Przesłuchiwany byłem przez gestapowców. Wszystko odbywało się w akompaniamencie bicia bykowcem po głowie, plecach i gdzie popadło. Upadki na ziemię potęgowały wściekłość gestapowców. Jeden z nich złapał mnie za głowę i ściągnął w dół, przytrzymując głowę między nogami, a tłumacz tłukł mnie po pośladkach.

Halemba podszedł do celi numer 21, otworzył ją i powiedział:

– Włazić. Jesteś w celi śmierci. Z tej celi jeszcze nikt nie przeżył.

Edward Wohlfahrt

Kiedys przywieziono z przesłuchania w alei Szucha młodego człowieka ze złamaniem kości udowej. Ułożyłem go lege artis na szynie Brauna na wyciągu. Starannie kontrolowałem ustawienie. W trzecim dniu złamanie ustawiło się idealnie. Po następnych pięciu dniach musiałem podejść do jego łóżka, zdjąć mu kłamerę i wyciągnąć drut z kości, bo przyszli zabrać go „na rozwałkę”. Czy miałem mu powiedzieć, podchodząc do łóżka: „Kolego, muszę ci zabrać kłamerę i drut, bo idziesz do



Podwórze gospodarcze „Serbii”, oddziału kobiecego. W głębi więźniarki z dziećmi
FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

■ piachu, a narzędzia te mogą się przydać innemu, mamy ich tylko kilka sztuk?”

Nie mówiłem nic, ręce mi się trzęsły. On nie pytał – wiedział już. Patrzył tylko na mnie, nawet bez wyrzutu, ze zrozumieniem. Nareszcie skorczyłem. Bez słowa wyciągnął do mnie dłonie. Chwycił mnie moją drżącą, spokojną ręką.

Innym razem przyniesiono postrzelonego w czasie aresztowania. Przestrzał brzucha. Wyciąłem 2 metry jelita cienkiego, było w nim 12 dziur. Operację przeszedł ciężko. Rana goiła się jednak dobrze, powoli zaczął jeść, poprawił się. Chodził już po szpitalu, był dobrej myśli, wesoły. Cieszyłem się z udanego wyniku. Zastrzelili go po uprzednim biciu na przesłuchaniu.

Jeszcze gorzej było z przypadkiem przestrzału wątroby i ostrym krwotokiem dootrzewnowym. Skorczyło się też zastrzeleniem, ale po wielu przesłuchaniach, w czasie których nie wytrzymał bicia i „sypnął” kilkanaście osób. Po szeregu podobnych przypadków zaczęliśmy się zastanawiać, czy mamy prawo ratować życie tym ludziom? I po co – żeby ich narażać na cierpienia operacyjne, katusze przesłuchań, „sypnięcie” organizacji i wielu ludzi, a na koniec ostateczną egzekucję? Hipokrates w swej mądrości nie przewidział utworzenia Gestapo. Teraz na nasze sumienia spadała konieczność powzięcia decyzji.

Felicjan Loth, lekarz-więzień

Najbardziej niekomfortowe sytuacje wiązały się z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Dwa razy na dobę zaprowadzano nas do zbiorowej ubikacji, by pod okiem wachmajsterki załatwiać się niemalże na komendę, co nie zawsze było możliwe. Nocą wiadomo na konieczność załatwiania się stało na środku celi. A my wymyśliłyśmy piosenkę, która brzmiała tak: „Do kibelka kibela, do kibelka kolejka, kto głośno siusia, kupimy mu lejka”. Na obiad raz w tygodniu dostawaliśmy grochówkę. A w każdym grochu był robak. Czasami dawali też krupnik, w którym pływała kasza, pół na pół rozrobiona z kminkiem. To

było niejadalne. Ale jadłyśmy, nie było wyjścia.

Janina Kowalska

Byliśmy świadkami częstych znęcań się nad Żydami. Do ulubionych sadystycznych „zabaw” przeprowadzonych przez strażników należała „gimnastyka”, boks oraz czołganie się po tłoczym żużlu koło kotłowni. Poza tym jawnie mordowano przez wieszanie, strzelanie, duszenie lub zagryzanie przez psy. „Zabawa” w boks polegała na tym, że rozbierano Żydów do pasa wśród krzyków i bicia. Następnie przynoszono pastę do obuwia lub ciemny smar, a czasami smołę i kazano im się nawzajem smarować, a następnie okładać kułakami. Jeżeli któryś słabo uderzał, był bity pejszem-bykowcem. Czasami sprowadzano orkiestrę żydowską z getta i nakazywano jej grać w trakcie tej „zabawy”.

Leonid Karzinkin

Naszych strażników znaliśmy aż nadto dobrze. Jednego z nich nazywaliśmy Szczurem. Niski, chudy, garbaty, z żółtą twarzą. Jego małe oczy błyszczały nienawiścią. Pewnego razu kazał Czaryskiemu, osłabionemu młodzieńcowi

z Łodzi, wyjść z celi. Nakazał mu wyciągnąć się na ławce i zaczął bić go bezlitośnie długim, skórzanym batem. Inny więzień, Polak, któremu Szczur kazał asystować w tym procederze, powiedział nam później, że w trakcie bicia Szczur osiągnął orgazm.

Julian Hirshaut

Pamiętam też z Pawiaka pewną kobietę, która wróciła z Szucha z przesłuchania. Ponoć uderzyli ją dwa razy w głowę na tyle mocno, że straciła przytomność. Przywieźli ją do szpitala na Pawiaku, by lekarz spróbował ją ocucić. Mieli w tym oczywiście swój cel – chcieli wyciągnąć z niej informacje. Lekarz zbadał ją, odzyskała przytomność. Cóż jednak z tego, skoro dalej ją katowali. Lekarz stwierdził wtedy, że kobieta jest w ciąży. Nie wiedziała o tym. Żadna z nas, będąc na Pawiaku, mieszczyki nie miała, jednak sądziłyśmy, że to stres powoduje zanik menstruacji. Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedziałam się od koleżanki, która wówczas pracowała w Patronacie, że ponoć do zupy dosypywali kobietom wyciąg z przysadki mózgowej, prolan. Kobieta, która spodziewała się dziecka, rozstrzelali w trzecim miesiącu ciąży na Pawiaku. To nie były jedyne skutki przesłuchań, które widziałam na własne oczy. Pamiętam też, jak po schodach ciągnięto kobietę, którą przywieziono z „tramwajów” na Szucha. Później leżała cała we krwi. A strażnik krzyknął, że nie mamy prawa jej pomóc, że nie możemy nawet patrzeć w jej stronę. I jeśli ktoś złamie ten zakaz, zastrzeli go. I choć była w tak tragicznym stanie, żadna z nas nie mogła do niej nawet podejść, jeżeli sama chciała żyć.

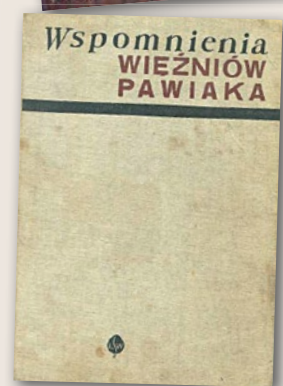
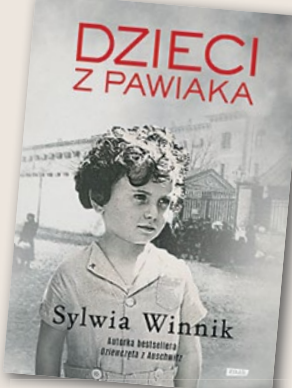
Janina Kowalska

Muszę jeszcze wspomnieć o volksdeuschach, kobietach strażnikach, które zgłosiły się do tej pracy. Jedną z nich, dwudziestoletnią prostytutkę z zawodu, Marusię, specjalizowała się w torturowaniu kobiet żydowskich, ścieśnionych w celi śmierci, na 24 godziny przed egzekucją. Zmuszała je do pełzania na czworakach wokół dziecina więziennego, wyrывała im włosy i biła je. Marusia bez wątpienia prześladowała również Polaków, ponieważ została skazana na śmierć przez polskie podziemie. Marusia została zwabiona do ciemnego wejścia, przeczytano jej wyrok i zabito jedną kulą.

Julian Hirshaut

Fragmenty relacji pochodzą z książek: Sylwia Winnik, „Dzieci z Pawiaka”; Julian Hirshaut, „Ciemne noce Pawiaka”, „Wspomnienia więźniów Pawiaka” (praca zbiorowa). Wybór: p.z.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





65 lat
historii filmu
2536 wydań

Filmopedia★
FILM
od 1946 roku

**Największa baza dorobku
polskiej kultury filmowej**

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl d0dca4b921



Ocalały relikwiarz więzienia na Pawiaku FOT. JOLANTA DYR/WIKIPEDIA

1941 r. / Jak Niemcy potraktowali polskiego polityka

Germanofil na Pawiaku



Piotr Zychowicz

/ Władysław Studnicki apelował do Niemców o opamiętanie i zaprzestanie mordowania Polaków. Za karę został zamknięty na Pawiaku

Po raz pierwszy Niemcy zamknęli Studnickiego na Pawiaku na początku 1941 r. Stało się to w wyniku jednej z jego niezliczonych interwencji na gestapo w obronie aresztowanych Polaków. Znany z sadyzmu i nienawiści do Polaków gestapowiec Johannes Böhm – osobisty wróg Studnickiego – postanowił ukarać go za jego „bezczelność”.

Najpierw zamknął Studnickiego na kilka godzin w areszcie przy al. Szucha, potem zaś kazał przetransportować go na Pawiak.

Gdy znalazł się na korytarzu – wspominał Studnicki – gestapowiec sprawujący nadzór nad naszymi strażnikami uderzył mnie ni z tego, ni z owego kijem po głowie. Okazało się, że on przyjmuje w ten sposób niemal każdego przybysza.

Według relacji więźnia Mieczysława Drozdowicza Studnicki doznał jeszcze innych upokorzeń. Tak jak każdemu nowo przybyłemu więźniowi ogolono mu głowę do gołej skóry. Böhm kazał go zamknąć w wilgotnej celi w suterenie.

Było to jednak tylko ostrzeżenie. W areszcie Studnicki spędził niecałe dwie doby. Jak zapamiętał Konrad Studnicki, jego 74-letni ojciec wrócił do domu ciężko pobity. Wezwany do domu lekarz opatrzył mu pokiereszowaną głowę i stwierdził rozbicie nosa i szczęki. Na szczęście obrażenia te nie zagrażały jego życiu.

Natychmiast po powrocie do domu Studnicki napisał ostrą skargę na swoje aresztowanie i pobicie. Rozesłał ją do władz Generalnego Gubernatorstwa w Krakowie, do ministerstwa spraw zagranicznych w Berlinie oraz Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Protesty te oczywiście nic nie dały. Wprost przeciwnie.

W marcu 1941 r. do Warszawy przybył z Berlina gestapowiec, który ostrzegł Studnickiego, „żeby nie podnosił sprawy polskiej i polityki okupacyjnej”, i zagroził mu surowymi konsekwencjami.

Studnicki oczywiście do tej „rady” się nie zastosował. Nadal bombardował niemieckie władze memoriałami, w których wzywał do wstrzymania ludobójczej, antypolskiej polityki na terenie okupowanej Polski. Nadal przychodził do gmachu gestapo, gdzie wymyślał oficerom tajnej policji i żądał natychmiastowego zwolnienia aresztowanych polskich patriotów.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. 10 lipca 1941 r. do mieszkania

Studnickiego wtargnęli funkcjonariusze gestapo. Studnicki został zabrany prosto na Pawiak. Pierwsze dni uwięzienia były dla niego bardzo ciężkie. Zakwalifikowano go bowiem do „surowego traktowania”.

Siedemdziesięcioczeroletni polski polityk był bity, pozbawiany snu, obzucany obelgami i szykanowany przez znanych z brutalności strażników z Pawiaka. Jego aresztowania formalnie uzasadniono tym, że kontaktował się z podziemiem i nie poinformował o tym władz okupacyjnych. Śledczy zażądali od Studnickiego, by podał nazwiska ludzi z konspiracji, z którymi rozmawiał.

Studnicki, gdy usłyszał te żądania, wpadł w pasję:

– Chciecie niezależnego polityka, który od dawna pracował na rzecz porozumienia niemiecko-polskiego, uczynić agentem Gestapo, szpiegiem, sutenerem, który tym samym zdyskredytowałby ideę, której służył?!

– W takim razie – odpowiedział urzędnik Gestapo – nie zostanie pan zwolniony, przynajmniej do końca wojny.

Studnicki został odprowadzony do celi.

Karcer i pałka

Studnicki był człowiekiem nieustraszonym. Przejawiało się to nie tylko w jego nonkonformizmie, głoszeniu poglądów niepopularnych wśród rodaków. Przejawiało się to również w odwadze osobistej.

Już w pierwszych dniach pobytu na Pawiaku spotkał tam Karla Czechowskiego, jednego z najbardziej brutalnych i sadystycznych strażników. Zwyródnialec ten, jak miał w zwyczaju wobec więźniów, bez powodu uderzył sędziego Studnickiego w twarz. Studnicki bez zastanowienia odpowiedział ciosem. Podskoczył do zwalistego strażnika i z impetem wyrzucił go w nałaną mordę.

Coś takiego na Pawiaku zdarzało się niezwykle rzadko. Czechowski był bezbrzeżnie zdumiony. Pchnął z impetem drobnego staruszka na podłogę. Studnicki wciąż jednak desperacko walczył.

Upadłem, nogami broniłem się – wspominał po latach. – Czechowski poszedł do kancelarii, przyszedł z drugim. Ten mnie za rękę ciągnął do karceru, a Czechowski żelaznymi kluczami uderzał po karku, co nie bardzo odczuwałem, gdyż byłem w palcie. Zaprowadzono mnie do brudnego, zimnego karceru.

Czechowski krzyknął: „Nie dawać jedzenia w ciągu 24 godzin!”.

Wieść o tym szybko jednak rozniosła się po korytarzach więzienia i swoi nie dali Studnickiemu zginąć. Po kilku godzinach polski strażnik przyniósł mu potajemnie gorący posiłek.

Sprawa ta i tak zakończyła się dla Studnickiego dość szczęśliwie. Powiedziano mu bowiem, że pewnego polskiego oficera, który na Pawiaku oddał cios niemieckiemu oprawcy, na miejscu zamordowano.

Studnicki znalazł się w karcerze jeszcze co najmniej raz. Karę tę również spowodowała czynna odpowiedź na agresję esesmana. Tym razem Studnicki zareagował na zachowanie innego znanego z okrucieństwa strażnika – Müllera.

Studnicki nie znosił Müllera, jego beczelnego spojrzenia, krzykliwego zachowania. Z kolei Müller nie mógł znieść lekceważenia, które okazywał mu na każdym kroku Studnicki – wspominał Edward Wohlfarth, który był funkcyjnym na Pawiaku. – Studnicki był mężczyzną niewielkim, wzrostu mniej więcej Müllera. Tylko że był jego fizycznym przeciwieństwem. Müller okrągły, gruby. Studnicki chudy, schorowany.

Do celi Studnickiego pewnego dnia wszedł Müller w czasie swej służby i pokrzykując, kazał mu natychmiast wychodzić i stawić się w kancelarii. Studnicki zdenerwował się, doszło do ostrej wymiany zdań. Studnicki, nie reagując na krzyki i popędzanie Müllera, wolnym krokiem szedł w kierunku wyjścia.

Gdy podchodzili do kraty, Müller, chcąc ją otwo-

rzyć, potarcił Studnickiego, być może przypadkowo. Reakcja była błyskawiczna – Studnicki odepchnął Müllera z taką siłą, że ten wpadł na kratę, odbił się od niej i upadł. Za karę Studnicki poszedł na jedną noc do karceru, ale od tej pory Müller trzymał się od niego z daleka. Poczuli pewien respekt.

Studnicki obawiał się, że któregoś dnia niemieccy strażnicy zamordują go w celi, nie zamierzał jednak tanio sprzedać skóry. Wyrwał więc z żelaznego łóżka ciężki pręt, który w nocy kładł pod poduszką. Pewnej nocy był nawet bliski zrobienia użytku z tej broni.

Obudziły mnie krzyki i odgłosy bicia dochodzące z pokoju badań, który znajdował się niedaleko od mojej celi – wspominał. – Wziąłem odłamek żelaznego łóżka, skrzętnie przechowywany przeze mnie w pościeli. Postanowiłem iść do pokoju badań i uderzyć niespodziewanie po głowie bijącego. Mój gniew był silniejszy niż instynkt samozachowawczy, a zamierzony czyn znajdował usprawiedliwienie w tym, że będzie on aktem rozpoczynającym terror wobec pastwićcych się. Drzwi wejściowe od korytarza były jednak zamknięte na klucz. Więc musiałem z moim żelazem wrócić do celi.

Trudno nie czytać tych wspomnień z podziwem dla Studnickiego, który – przypomnijmy to jeszcze raz – miał wówczas 74 lata i cierpiał na chorobę serca. Drobnutki staruszek z ogniem świętego oburzenia w oczach i z żelazem w ręku przemierzający nocą korytarze Pawiaka, gotowy rozłupać czaszkę gestapowcowi. Jest w tej scenie jakiś symboliczny wyraz.

Cela numer 10

Studnicki mógł już wtedy swobodnie poruszać się po korytarzach więzienia. Około trzech miesięcy po osadzeniu na Pawiaku przekwalifikowano go z kategorii „surowego traktowania” na „traktowanie łagodne”. Został wówczas wezwany na rozmowę do komendanta więzienia.

Zapytał mnie, czego sobie życzę – wspominał Studnicki. – Odpowiedziałem: „Zwolnienia”. „Nie, tego nie możemy uczynić, ale otrzymaliśmy polecenie dania panu wszelkiej ulgi w ramach więziennego regulaminu”.

Zapewniono mu wówczas status więźnia specjalnego. Niemcy najwyraźniej chcieli go zneutralizować, ale nie uśmiercić.



Władysław Studnicki FOT. NAC

■ Być może decydujące znaczenie miało uznanie dla jego zasług, a może chcieli czołowego polskiego germanofila trzymać na wszelki wypadek. Kto wie, jak potoczy się wojna? Może Studnicki jeszcze się przyda?

Studnicki był przekonany, że przeżył Pawiak tylko dzięki rozkazowi najwyższych władz w Berlinie, by traktowano go ulgowo. Gdyby nie to, prędzej czy później któryś ze strażników zakatowałby go na śmierć. Na Pawiaku śmierć zadawano ze znacznie bardziej błahych powodów niż jego „wysoki”.

Nie mniejszą ulgą było pozwolenie, by mógł otrzymywać jedzenie z domu. Studnicki, chory na żołądek, musiał mieć lekkostrawną dietę. Długo by nie pociągnął na marnym więziennym wikcie.

W pierwszym okresie uwięzienia swoimi skromnymi zapasami dzielili się z nim polscy współwięźniowie. „Byłem przyjęty przez moich towarzyszy niedoli bardzo serdecznie” – wspominał.

Na jego żądanie pozwolono mu także pisać. Dostawał niezbędne przybory i książki, a także niemiecką prasę. Nie zgodzono się natomiast na inną prośbę Studnickiego – odmówiono mu prawa do korespondencji. Nie mógł wysyłać listów nawet do najbliższych. O widzeniach także nie było mowy.

Studnicki na Pawiaku siedział na oddziale pierwszym, w celi numer 10. Było to obszerne pomieszczenie po lewej od wejścia, mniej więcej na środku korytarza. Miało duże okno na wysokość całej zewnętrznej ściany. Była to cela zarezerwowana dla więźniów specjalnych, którzy wymagali lepszego traktowania.

Czasami Studnickiemu pozwalano nawet przyjmować „gości” – współwięźniów. Na przykład siedzącego prof. Romana Rybarskiego, byłego posła, znanego działacza Stronnictwa Demokratycznego. Zanim sam został aresztowany, Studnicki starał się o jego zwolnienie, a teraz dzielili ten sam los. Niestety, znany ekonomista został krótko po tym wywieziony do obozu koncentracyjnego, gdzie zginął.

Zadziornemu Studnickiemu zdarzało się również pokłócić z innymi więźniami, co niekiedy miało humorystyczny wydźwięk.

Studnicki mieszkał sam w celi niezamkniętej i miał swobodę ruchu po całym Pawiaku



Władysław Studnicki był przekonany, że jego uwięzienie na Pawiaku było zemstą Hansa Franka (pierwszy z lewej) FOT. NAC

– wspominał lekarz więzienny i więzień w jednej osobie Jerzy Hagmajer. – Często zachodził do Izby Chorych, gdzie konferował między innymi z generałem Szpakowskim. Dowiedziawszy się o spotkaniu Piłsudski-Witos, oświadczył generałowi, że umieści ten fragment w swoich pamiętnikach. Doszło do ostrego starcia, gdyż Szpakowski zaprotestował, twierdząc, że ma prawo pierwszeństwa. Obaj starsi panowie pokłócili się na zabój i rozstali bez podania ręki.

Do Studnickiego inni więźniowie odnosili się na ogół z szacunkiem. Raz, że był wybitnym politykiem i publicystą, z którym musieli się liczyć nawet Niemcy. Dwa, że nie dawał sobie w kaszę dmuchać i stawiał się strażnikom. Nie bał się ludzi, którzy u innych osadzonych wzbudzali grozę. Studnicki w więzieniu siedział po pańsku, zachowywał się dumnie, a nawet najgroźniejszych oprawców traktował z pogardą, jak powietrze. To imponowało i budziło podziw.

W efekcie inni więźniowie często odwiedzali go w celi, gdzie z czasem zaczął urządzać wykłady. A gdy przechodził korytarzem, uprzejmie mu się kłaniali. Przyczyna jego uwięzienia była przedmiotem korytarzowych rozmów i rozmaitych plotek. Więźniowie powtarzali, że Studnicki siedzi za „przesłane Hitlerowi memoriały w sprawie Polski” oraz za to, że „naraził się Frankowi”. Był to więc – wbrew pozorom fizycznym – zawodnik wagi ciężkiej.

Studnicki zaskarbił sobie sympatię towarzyszy niewoli również współczuciem, które im okazywał. On – weteran Cytadeli i syberyjskiego zesłania – skandaliczne warunki panujące w niemieckim więzieniu przyjmował bowiem z bezbrzeżnym zdumieniem i oburzeniem.

Codziennie wieczorem słyszałem nadjeżdżające auta z nową partią aresztowanych – wspominał. – Co kilka tygodni widziałem nową partię aresztantów wysyłanych do Oświęcimia na zatracenie. Przeważająca

większość, zwłaszcza inteligencji, wymierała w tym obozie. Tyle bólu, tyle klęsk. Takich stracił najlepszych ludzi nie przeżywalimy w okresie powstań i represji po powstaniowych. Wszystko to żłobiło przepaść między narodem polskim a niemiecki.

Studnicki wspominał, że sytuacja na Pawiaku była jeszcze znośna dopóty, dopóki w więzieniu obok esesmanów pracowali polscy strażnicy. Starali się oni pomagać rodakom, „przejawiali dużo życzliwości i konspirowali z więźniami”.

Nagle jednak – w marcu 1942 r. – doszło do drastycznego zaostrzenia reżimu więziennego. Przyczyną była kolejna ucieczka więźniów. Polscy strażnicy zostali wówczas zastąpieni strażnikami ukraińskimi. Byli to, jak wspominał polski germanofil, ludzie wyzbyci wszelkich skrupułów moralnych. „To nie byli ludzie – mówił – lecz jakieś okrutne zwierzęta, szakale”.

Studnicki oczywiście nie miał zamiaru dawać sobą poniewierać młodym Ukraińcom w mundurach SS. Przeciwnie – jak to miał w zwyczaju, z miejsca przeszedł do ataku i szybko podporządkował sobie jednego ze strażników. Zamienił go w osobistego lokaja, sztorcował i udzielał mu lekcji savoir-vivre'u. Ukraińiec znoślił to wszystko z iście baranią pokorą.

Razu jednego, gdy pisałem wieczorem – wspominał polski germanofil – otwiera drzwi Ukraińiec i zapytuje, co ja tak ciągle piszę.

– *Piszę historię Polski ostatnich lat 20-stu.*
– *Po co? Wszak Polski nie będzie.*
– *Co mówicie? Ukrainy nie było i nie będzie. Polska będzie. I wiecie co? Ja będę ministrem w tej Polsce.*
– *A to może i prawda. Jak was wiodą do lekarza, to na dziedzińcu wszyscy więźniowie wam się kłaniają. Pozwalają wam pisać...*

– *A czy umiecie szoferkę?*
– *Umiem.*
– *To ja was wezmę na szofera.*
– *A dobrze być szoferem?*
– *Tak, dobrze u ministra być szoferem. Dobrze jedzenie z kuchni ministra. I ludzie zwracają uwagę na takiego szofera.*

Ta rozmowa sprawiła wrażenie na naiwnym człowieku. Stał się względem mnie grzeczny, otwierał niezwłocznie drzwi, gdy stukałem. Na innych więźniów jednak wymyślał tak, jak tylko Moskale wymyślają. Razu jednego zapytałem go, ile klas ukończył.

– *Dziesięć.*
– *Nie mogę uwierzyć. Nieprawdopodobne.*
– *Dlaczego?*
– *Kto dziesięciolatkę ukończył, ten jest cywilizowanym człowiekiem i tak nie wymyśla, jak wy wymyślacie.*

– *Mnie bona i mamka nie wychowywały.*

– *I w uniwersytetach bony i mamki nie wychowują. Ale im kto większe studia odbył, tym jest grzeczniejszy i nie używa słów obelżywych.*

Sprawiła ta rozmowa na tym półczłowieku pewne wrażenie. W mojej obecności starał się być odtąd człowiekiem cywilizowanym i często kroć w połowie słowa zatrzymywał rosyjską rotę wymyślania.

Na skraju śmierci

Z czasem reżim więzienny wobec Studnickiego znowu zaostrzono. Choć nadal mógł w celi pisać, odebrano mu część przywilejów. Nie mógł już swobodnie spacerować po Pawiaku. Drzwi jego celi były zamknięte na klucz. Paczki żywnościowe od rodziny, dzięki którym wciąż żył, zaczęły przychodzić coraz rzadziej. Zrobiło się groźnie.

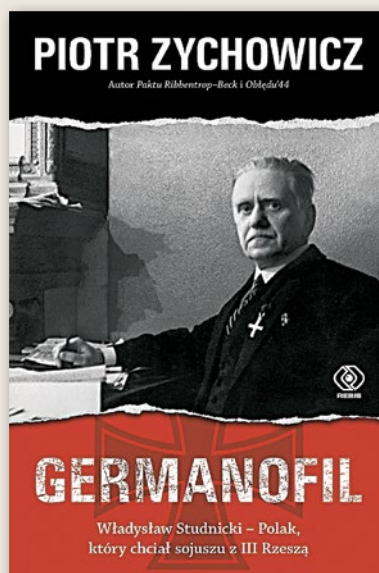
Wszystkie wrażenia więzienne ciążyły na mnie psychicznie i podrywały me siły fizyczne – pisał.
– *Gdy na początku więzienia byłem pewny szybkiego zwolnienia i czekałem go z dnia na dzień, w ostatnich miesiącach utraciłem nadzieję wyjścia na wolność.*

Śmierć w więzieniu wydawała mi się tym przykrejszą, że nie służyłaby moim ideom, lecz argumentem przeciw mej koncepcji politycznej. „Oto Studnicki, apostoł przymierza polsko-niemieckiego, zmarł w więzieniu niemieckim”.

Pogarszający się stan Studnickiego nie umknął uwagi współwięźniów, którzy z niepokojem obserwowali zachodzące w nim zmiany. Zaraz po uwięzieniu hardy, pełen energii i chęci do walki – teraz gał w oczach. Polski germanofil był u kresu wytrzymałości.

Siedzi na Pawiaku Studnicki – informował polskie podziemie więzień, który został zwolniony 3 marca 1942 r. – Niknie z dnia na dzień. Widziałem go na początku swego pobytu i przed samym wyjściem. Ogromna różnica. Ledwie powłóczy nogami.

Wkrótce jego stan tak się pogorszył, że niemieckie władze zaczęły się poważnie obawiać, iż umrze w więzieniu, co by-



PIOTR ZYCHOWICZ
„GERMANOFIL”

REBIS 2020

łoby dla nich bardzo kłopotliwe. Gestapo zdecydowało się więc przestać dręczyć polskiego germanofila i wypuścić go na wolność. Pozwolić mu wrócić do rodziny.

Na pewno na decyzję tę miały wpływ liczne naciski i interwencje rozmaitych osobistości i instytucji, które wstawiały się za Studnickim. Między innymi konserwatywnych oficerów Wehrmachtu. Władze cywilne i gestapo starały się jednak zrobić wszystko, by polski polityk pozostał w więzieniu. W efekcie sprawa utknęła w martwym punkcie. Według Studnickiego powiodła się dopiero interwencja berlińskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Studnicki na wolność wyszedł w połowie września 1942 r., po długich 14 miesiącach odsiadki.

Niespodziewanie dla mnie zostałem przewieziony do Gestapo, gdzie oświadczone mi, że jestem zwolniony, ale jeżeli zwrócę się choć raz z interwencją o zwolnienie kogoś z aresztowanych, to będę ponownie uwięziony i już nie wrócę z więzienia. Böhm oświadczył mi: „Niemiecki profesor, gdyby ośmielał się tak przeciwdziałać polityce niemieckiej, jak pan usiłował, dawno by zginął w obozie koncentracyjnym. Nie pojmuję, dlaczego z panem robią tyle ceremonii. Lecz cierpliwość nasza jest wyczerpana. Jeszcze jedna kropla, a nareszcie skończymy z panem”.

Studnicki w swoich wspomnieniach nie napisał wszystkiego. Pomiął pewien drastyczny szczegół, którym podzielił się tylko z rodziną. Otóż gestapowiec na odchodnym, strasząc Studnickiego wysłaniem do KL Auschwitz, uderzył go pięścią w twarz. Studnickiego pożegnano więc na Pawiaku tak, jak go powitano.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**/Przyniesiono więźnia.
Był potwornie zbity.
Plecy i pośladki były
czarne. Jądra również.
Publikujemy fragment
wstrząsających
wspomnień lekarza
z Pawiaka Jerzego
Hagmajera**

13 października 1941 r. dzień był słoneczny. Udałem się do domu. Jakież było moje zdumienie, gdy zastałem w przedpokoju 2 żandarmerów. Wylegitymowali mnie i pozwolili pójść do stołowego, w którym siedziała Matka i przypadkowi pacjenci. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było schowanie teczek z „Nową Polską” pod tremo.

Mama zakrzętnęła się, bym coś zjadł. Gospośia przygotowała kotlet z marchwią, ale nie bardzo mi się chciało jeść i odstawiłem talerz. Bardzo wspominałem tę chwilę na Pawiaku, wściekły, że nie dokończyłem dania. Tymczasem przyjechało 2 gestapowców. Spytały, który jest mój pokój. Zaprowadziłem ich do gabinetu Ojca i wskazałem na bibliotekę, która była „czysta”. Spędzili tam ponad 2 godziny, wykładając na bok to, co im się wydawało podejrzan.

Przejrżeli pobieżnie moje biurczko, w którym nic nie było. Wreszcie zmęczeni powiedzieli, iż mnie z sobą zabierają. Pożegnałem się z Rodzicami. Mama trzymała się dzielnie, aczkolwiek widziałem łzy w jej oczach, Ojciec zachował się spokojnie. Zeszliśmy do samochodu, który czekał przed bramą ul. Targowej. Ulokowałem się obok gestapowca i ruszyliśmy. Pilnie obserwowałem trasę, szczęśliwie nie skręciliśmy na Szucha.

Gdy wjechaliśmy na teren getta, jasnym się stało, że jedziemy na Pawiak. Rzeczywiście, ul. Dzielna, krótkie oczekiwanie i otworzyła się żelazna brama. Było około godziny 18-ej, ciemności zalegały Warszawę. Wszedłem do kancelarii. Milczący szczupły szatyn, więzień (później dowiedziałem się, że był to Leon Wanał) zebrał moje dane osobiste, wpisując je do opasłej książki pięknym, kaligraficznym pismem. Po tym zażądał ode mnie zegar-



RYŚ. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1941-1942 / Unikalna relacja świadka
bestialstw gestapo

Lekarz w piekle Pawiaka

ka i pieniędzy, zdawało mi się, że bacznie mi się przygląda.

Następnie zaprowadzono mnie, już wachtmajster z Pawiaka, do podziemi, gdzie na VII Oddziale zostałem dokładnie ostrzyżony i wygolony pod pachami i w pachwinach. Zamknęły się za mną drzwi do celi 206. W celi normalnie goszczącej 4 osoby przebywało osiem. Cisza zapadła, gdy wszedłem, wreszcie padło pytanie, za co jestem aresztowany.

„Za niewinność”. Było już po wydaniu „kolacji”, toteż zaraz ułożyłem się do snu, tuż obok „parachy” jako że przybyłem do celi jako ostatni. Krótkie rozważania o przyczynie aresztowania i zasnąłem kamiennym snem, wspominając niedokończony obiad.

O 6-ej rano pobudka i mój meldunek „ich melde zelle zwei hundert sechs mit neun häftlingen”, zbiórka i śniadanie, którego nie dostałem, gdyż dopiero rano

podano moją obecność do kuchni. Dowiedziałem się, że jeden z häftlingów, chłop spod Warszawy, siedzi za „cołzek”. Ulokował w stodole tankietkę polską i przykrył sianem, mając nadzieję, że w przyszłości będzie mu służyła za traktor.

W czasie przejścia do oborki zatrzymał mnie słynny Dudek, korytarzowy VII Oddziału. Poinformował mnie, że jestem wśród przyjaciół i że dziś lub jutro będę wezwany do lekarza. Rzeczywiście następnego dnia przyszło wezwanie. Udałem się w towarzystwie wachtmajstra do bloku, w którym mieścił się szpital. Wachtmajster oddał mnie pod opiekę więźnia sprząającego ambulatorium. Po dłuższym oczekiwaniu pojawił się Felek Loth. Rzuciliśmy się sobie na szyję. Okazało się, że ponad pół roku minęło od jego aresztowania i od trzech miesięcy jest na funkcji. Dowiedziałem się od niego, że został uwięziony również Jurek Zański i Jan Perkowski, ktoś nas sygnął jako agentów Intelligence Service.

Felek zapowiedział, że weźmie mnie na Izbę Chorych, ale musi upłynąć 2 tygodnie kwarantanny i muszę trochę pobyc na innym oddziale. Obiecał zawiadomić rodziców, że jestem w dobrej formie. Felek przeszedł ciężkie śledztwo, nikogo nie sygnął, ale otrzymał wyrok śmierci.

Po 2 tygodniach pobytu w VII Oddziale zostałem przeniesiony na VI Oddział, gdzie ku mojej radości spotkałem się z Jurkiem Zańskim. Na szóstce przebywałem około 2 tygodni. Pod koniec tam pobytu Jurek został zwolniony na skutek uporczywych starań ze strony Państwowego Zakładu Higieny, po krótkim przesłuchaniu na Szucha. W czasie mego pobytu w więzieniu nawiązał kontakt z PZH i zdobył zarazki tyfusu plamistego i szczepionkę Veigla. Tak więc spotkałem się po raz pierwszy ze sprawnie działającą siatką konspiracyjną, utrzymującą łączność z miastem.

Pewnego dnia zostałem wezwany na Izbę Chorych. Warunki były tam o niebo lepsze niż w Oddziale. Przede wszystkim nie było ohydnej parady, której smród zakłócał spokój więźniom. W Izbie Chorych przebywało ponad 40 osób, wyłącznie inteligencja. Poza Felkiem Lothem czołową rolę odgrywał dr Zygmunt Śliwicki, jak się okazało szef siatki konspiracyjnej. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo.

Monotonia upływających dni ułożyła się w pewien schemat. Rano, po meldun-



ku stanu chorych, następowało mycie, sprzątanie, wynoszenie śmieci. W ciągu dnia grupami, coraz bardziej zaprzyjaźnieni, dyskutowaliśmy o wszystkim. Na parę dni zjawił się politruk z Armii Czerwonej, który wiedział, że czeka go rozwałka.

Po zgłoszeniu światła wysłuchiwaliśmy barwnych opowieści gen. Szpakowskiego lub w 5–6 osób dyskutowaliśmy. Pamiętam, kiedyś miałem referat o cnotach żołnierskich. Wśród nich wymieniłem umiejętność zabijania w imię Ojczyzny. Wojtek Kubicki – poeta ludowy – bardzo się oburzył na mnie i część dyskutantów go poparła.

Kaci z alei Szucha

Dni mijały, skład Izby Chorych się zmieniał. Znikali ludzie powołani na przesłuchania, przychodzili nowi. Kiedyś wieczorem dostarczono więźnia Jakubowskiego. Był potwornie zbity. Plecy i pośladki były czarne. Jądra również. Na ciele ślady po oparzeniach papierosami. Zygmunt Śliwicki zlecił mi nad nim opiekę. Nie na wiele ona się zdała. Nad ranem Jakubowski zmarł.

Nadeszły święta. Rozpoczęła się Wigilia. Każdy złożył się na wieczerzę. Dr Baczyński i wszyscy funkcyjni lekarze złożyli nam życzenia, po czym otrzymali od nas „Koziołka Matołka na Pawiaku”. Odśpiewaliśmy kolędy ku wielkiemu zadowoleniu kolegów-lekarzy. Nagle z budynku Pawiaka, najpierw po cichu, potem coraz głośniejsze, wreszcie potężnie, zapierając dech w piersi popłynęło „Bóg się rodzi, moc truchleje”. Pawiak śpiewa...

W początkach stycznia nagle zdjęto z funkcji inż. Porazińskiego i następnego dnia wysłano do Oświęcimia, gdzie wkrótce go rozstrzelano. Wyłoniła się

kwestia jego zastępstwa jako kierownika laboratorium. Zygmunt zaproponował mnie. Po około 2 tygodniach przyszła zgoda gestapo na zatrudnienie mnie na funkcji. Wieczorem spotkaliśmy się w szpitalu, by uczcić ten fakt kilkoma głębszymi.

Zostałem wtedy wprowadzony w tajniki służby konspiracyjnej na Pawiaku i zgodziłem się, by swoją funkcję potraktować jako jedną z central grypsów. Następnego dnia zostałem przedstawiony kilku strażnikom jako następca wywiezionego inż. Porazińskiego. Miałem pewną swobodę ruchów po Pawiaku.

Czasem, gdy były operacje, dawałem narkozę. Zażył sobie kiedyś asystowanie przy operacji scharführer Fruewirth. Kiedyś, bezpośrednio po zastrzeleniu jakiegoś więźnia, udał się na Serbię i tulił do siebie kilkuletniego chłopca. Sala operacyjna była na Serbii i w ramach możliwości reprezentowała dobre wyposażenie. Ów Fruewirth został ubrany w fartuch, nałożono mu na nogi ochraniacze z płótna i przystąpiliśmy do



operacji. Operował dr Kenig, asystował Loth, ja dawałem narkozę.

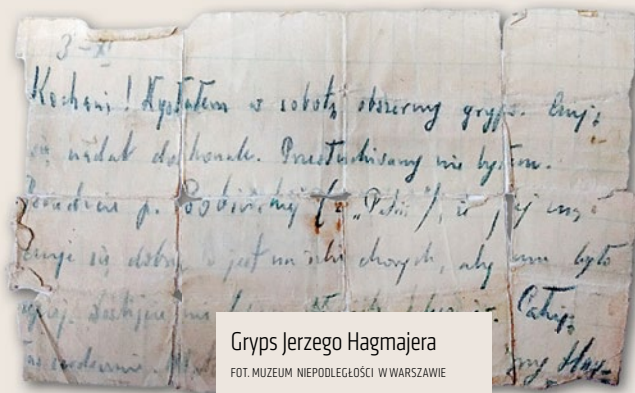
Dałem znak, że można rozpocząć operację. Po umyciu brzucha i obłożeniu prześcieradłami i serwetkami chorej pierwsze cięcie, trysnęła krew. Nagle łomot – Freuwirth zemdlny upadł z hałasem na ziemię. Ktoś nim się zajął i długo doprowadzał do przytomności. Kenig i Loth operowali spokojnie, nie zwracając uwagi na omdlałego Freuwirtha. Przypomnieli mi się rzeźnicy – klienci laboratorium na Targowej. Również mdleli, gdy im się pobierał krew do badania. „Biednego” Fruewirtha wyprowadzono z sali operacyjnej i tak się skończyła kariera „ogładcza”. W cywilu Fruewirth był rzeźnikiem.

Kiedyś, gdy spotkaliśmy się w stałym składzie na wieczornym relaksie, niespodziewanie przybył unterscharführer Schumacher, zwany „Fają”. Trudno było schować kieliszki, więc zaprosiliśmy go do stołu. „Faja” był zachwycony i w ogóle nie można się go było pozbyć. Wreszcie, solidnie urżnięty odprowadził nas na oddział. Gdy otwierał kratę, poślizgnął się i o mało nie wyrzucił się. Parsknął śmiechem. „Faja” błysnął złym okiem i wydał komendę „hüpfen” (rozkaz oznaczał wykonanie żabki). Wściekłem się wtedy i powiedziałem „gut, aber zusammen” (dobrze, ale razem). Schumacher przysiadł w pozycji do wykonywania żabki i ruszył naprzód, napełniając łoskotem cały oddział. Ja za nim, przeskoczyliśmy długi korytarz i przy końcu zabawa wyczerpała „Faję”, który otworzył drzwi celi, każąc nam iść spać.

Gestapowcy na Pawiaku stali się bardzo nerwowi. Rugali i bili więźniów. Wachmani ukraińscy również się ożywili. Wreszcie 10 marca okazało się, że jest przygotowywany transport. Ogółem transport liczył ponad 100 osób. Nocowałem wtedy w Izbie Chorych. Wieczorem wrócili pijani Ukraińcy, chwając się, że wszystkich rozwalono. Przez kilka dni chodziliśmy jak błędni, Niemcy za to byli w znakomitych humorach. Herrenwolk okazał swą moc i siłę.

W dniu Zielonych Świątek gestapowcy postanowili się rozerwać. Ściągnęli

z getta świetną orkiestrę, która grała na podwórzu, podczas gdy oni popijali tego. Ale tego było im mało. Ściągnęli z VIII Oddziału grupę Żydów. Podzielili ją na dwie części: jednej kazali ćwiczyć



Gryps Jerzego Hagmajera

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

na hałdach żużla, jeszcze gorącego, drugiej, dwójkami ustawionymi na przeciw siebie, zorganizowali zawody bokserskie. Krzyki „hüpfen”, „rollen”, „schnell” rozległy się na cały Pawiak, towarzyszył im rechot esesmanów. Grupa z żużla opadła wreszcie z sił, ciała poparzone, grupa „bokserów” przetrwała dłużej, kiedy twarze zalała krew.

Darowane dni

9 czerwca siedzieliśmy ze Śliwickim i Lothem w naszym pokoju w szpitalu. Nie paliliśmy świec, gdyż wieczory czerwcowe były długie i długo się nie ściemniało. Nagle zjawił się Wanat, który był pisarzem w kancelarii gestapo. „Masz skierowanie do Oświęcimia” – rzekł bez ogródek. „Trudno” – odpowiedziałem. Wanat spytał się: „nie przejmujesz się”, „nie”. Wtedy Leon rzucił mi się na szyję i powiedział „przyszedł entlassungschein (karta zwolnienia) dla ciebie. Jutro wychodzisz na wolność”.

Następnego dnia czekałem do południa na zwolnienie. Z „wszystkimi rzeczami” poszedłem w asystencji wachmajstra do kancelarii Pawiaka. Teraz z kamienną twarzą, Wanat załatwił formalności i polecił udać się do depozytu. Odebrałem cywilne ubranie, zegarek, wieczne pióro i trochę gotówki. Przebrałem się i byłem gotów do wyjścia. Wanat dał mi niedostrzegalny ruch ręką, coś jakby do widzenia. Uzbrowiony w entlassungschein poszedłem do bramy. Dwaj gestapowcy sprawdzili papiery,

brama się otworzyła. Wyszedłem. Byłem wolny.

W rejonie Pawiaka ruch był minimalny. Dopiero potem wpadłem w wyędniały tłum Żydów. Podszedłem do granicy getta, znowu kontrole dokumentów i po raz drugi przekroczyłem bramę getta. Wziąłem dorożkę i pojechałem na Pragę. Słoneczne popołudnie paliło mnie, gdyż miałem na sobie mnóstwo ciepłych rzeczy. Wkroczyłem w bramę Targowej 44 i na klatce schodowej stałem kilka minut. Zdecydowałem się zadzwonić. Otworzyła mi nieznana gosposia. Wszedłem do gabinetu Ojca. „Kim Pan jest, że tak się Pan zachowuje?”. Kto ty jesteś, Polak mały... przemknęło mi

przez myśl. Przedstawiłem się gosposi i zapytałem o Mamę. Okazało się, że wyszła na Krochmalną, żeby złożyć paczkę dla mnie. W tej chwili usłyszałem zgrzyt zamka. Mamó! Wtuliłem się w dobrze mi znany zapach. Ojciec miał lada moment wrócić. Zapadłem w nicłość.

Właściwie nie odczuwałem radości. Zostawiłem na Pawiaku przyjaciół, którzy nie wiadomo, czy przeżyją. Ciężkim brzemieniem ciążyły na mnie wspomnienia generała Szpakowskiego, Cierniaka, Wolskiego, Dąbrowskiej i tylu, tylu innych. Na wolności ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jakim bohaterstwem jest służba Śliwickiego i Lotha z wyrokiem śmierci. Trzymali wszystkie nici konspiracji więziennej. Każdego dnia wielokrotnie narażali się na dekonspirację.

Na Izbie Chorych miałem do czynienia z elitą społeczeństwa polskiego. Wszyscy zagrożeni wyrokami śmierci bądź perspektywą Oświęcimia zachowywali należyty dystans w swoich sprawach. Wieczorem gorliwie się modlili. W dzień nie dawali poznać troski, która musiała przecieć ich drążyć, bo każdy dzień był dniem darowanym. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wspomnienia Jerzego Hagmajera otrzymaliśmy od historyka z Muzeum Więzienia Pawiak – Oddziału Muzeum Niepodległości w Warszawie pana Roberta Hasselbuscha za zgodą pana Andrzeja Hagmajera. Całość – z fachowym wstępem i opracowaniem naukowym kustosa Hasselbuscha – dostępna jest w kwartalniku muzealnym „Niepodległość i Pamięć”, cz. I, nr 2 (70); cz. II – w przygotowaniu nr 3 (71). Wybór fragmentów: p.z.

POLSKIE TERMOPILE

ZAŁOGA ODCINKA WIZNA.
DWIE KOMPANIE PIECHOTY
W KILKU BETONOWYCH
SCHRONACH. SZEŚĆ DZIAŁ.
MNIJ NIŻ 700 ŻOŁNIERZY.
**PRZECIWKO 40 TYSIĄCOM
NIEMIECKIEGO KORPUSU
PANCERNEGO, GENERAŁA
HEINZA GUDERIANA.**

TAK ROZPOCZYNA SIĘ
DESPERACKA WALKA
DO OSTATNIEGO NABOJU,
OSTATNIEJ KROPLI KRWI.
WALKA KAPITANA
WŁADYSŁAWA RAGINISA,
DOWÓDCY, KTÓRY
PRZYSIĄGŁ, ŻE ŻYWY
SWEJ POZYCJI
NIE OPUŚCI.



fabryka słów
WYDAWNICTWO

PATRONAT MEDIALNY

JACEK KOMUDA WIZNA

PREMIERA
KSIĄŻKI
18.09.2020



1943 r. / **Karząca dłoń Polskiego Państwa Podziemnego**

Kadr z filmu o akcji na Kutschere, 1 lutego 1944 r.

FOT. ZOFIA I MAREK BAZAK/EASTNEWS



AK poluje **na katów**

**Maciej Rosalak**

/ Akcje na Bürkla, Weffelsa i innych oprawców z Pawiaka przeprowadzali chłopcy i dziewczęta z „Parasola”

Likwidacja około stu hitlerowskich katów – w tym oprawców z Pawiaka – była objęta akcją „Główki” (kryptonim wzięty od trupich główek na czapkach SS). Decyzję o rozpoczęciu serii zamachów podjął

zapewne w drugiej połowie 1943 r. dowódca Armii Krajowej gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Wykonywanie wyroków rozpoczęło we wrześniu tego roku.

Akurat zbiegło się to z objęciem stanowiska dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski Generalnego Gubernatorstwa przez SS-Brigadeführera Franza Kutschere, który spotęgował morderczy terror w Warszawie. Niemal codziennie na murach miasta rozlepiano upiorne plakaty z listami rozstrzelanych, niewinnych Polaków. Ów „kat Warszawy” został ukarany śmiercią 1 lutego 1944 r.

Wbrew powszechnemu mniemaniu wyroków na niemieckich oprawców nie wydawały podziemne sądy, ale stanowiły je rozkazy dowódców – KG AK i terenowych – Kedywu (Kie-

rownictwa Dywersji). Przy podejmowaniu decyzji kierowali się oni doniesieniami wywiadu AK. W swoim czasie zasięgałem w tej mierze opinii dr. Bartłomieja Szyprrowskiego – prawnika, a jednocześnie znakomitego badacza „Temidy spod znaku ZWZ/AK”. Wyjaśnił, że sądy Polskiego Państwa Podziemnego – zarówno cywilne, jak i wojskowe – skazywały tylko przestępców mających obywatelstwo polskie. Natomiast działalność okupantów nie wchodziła w zakres ich działania, ponieważ Polska znajdowała się z Niemcami w stanie wojny, a do likwidowania wroga nie był konieczny wyrok sądu. Będący wyrokiem śmierci rozkaz likwidacji Franza Kutschery – a wcześniej likwidacji oprawców z Pawiaka – wydał dowódca Kedywu płk August Emil Fieldorf „Nil”.

Akcja na Bürkla

Najsławniejsze do dziś akcje likwidacyjne przeprowadzał w 1943 r. – po tragicznym rozbiciu przez Niemców Organizacji Specjalnych Akcji Bojowych, znanej jako „Osa”-„Kosa” – oddział w sile kompanii, a w 1944 r. batalionu, wywodzący się z harcerskich Grup Szturmowych. Tworzyły one ów legendarny oddział, nazywany kolejno „Agatem”, „Pegazem”, „Parasolem”... To właśnie chłopcy i dziewczęta z GS, którymi dowodził cichociemny kpt. Adam Borys „Pług”, przeprowadzili 7 września 1943 r. udaną akcję na zastępcę komendanta Pawiaka – Franza Bürkla.

Wywiad tego oddziału prowadził Aleksander Kunicki ps. Rayski (1898–1986). Jako pracownik polskiego kontrwywiadu zwalczał on w latach 30. niemiecką dywersję na terenie Bielska i Śląska Cieszyńskiego, a podczas drugiej wojny działał w ZWZ/AK – najpierw w „Osa”-„Kosa”, a potem w Grupach Szturmowych. To „Rayski” „rozpracował” najgorszych zbrodniarzy niemieckich w Warszawie, na ogół biorąc na siebie najtrudniejszy, ale i najbardziej niebezpieczny

ka), „Dewajtis” (Elżbieta Dziembowska). Bliskimi współpracownikami byli m.in. „Żak” (Ludwik Żurek, pracownik policji kryminalnej, który mógł sprawdzić, kto jest zameldowany w danej kamienicy) i „Żar” (Bogusław Ustaborowicz, żołnierz AK, były więzień Pawiaka).

Pierwszym z namierzonych oprawców Pawiaka był SS-Oberscharführer Franz Bürkl. Ten „sadysta i kanalia” – jak pisał Kunicki „Rayski” – niemal codziennie wpadał nagle do celi, wyprowadzał jakiegoś więźnia na schody bądź do izolatki i tam katował na śmierć. Wieszał też pozbawionych przytomności więźniów na kaloryferze bądź szczał na nich specjalnie wytresowanego wilczura Kastora, który gryzł do krwi. W jednym z grypsów, które trafiły do podziemia, rozpracowany człowiek pisał: „Czy naprawdę nie ma osoby, która poświęciłaby się i usunęła Bürkla?”.

Kłopot „Rayskiego” z Bürklem polegał na braku zwykłego punktu zaczepienia: adresu zamieszkania, rozkładu zajęć, zdjęcia czy wiarygodnego świadka. Był tylko ten krwiożerczy wilczur. Aby ujrzyć esesmana z wilczurem,



wywiadowca musiał czekać pod Pawiakiem na odjazd „budy” zabierającej dobową zmianę esesmanów po zakończonej służbie do siedziby gestapo przy ul. Szucha i zabierającej stamtąd inną zmianę na dyżur do więzienia. Wreszcie – ustalić miejsce zamieszkania. Pamiętamy, że cała trasa, a zwłaszcza punkty docelowe były pod obserwacją tajniaków. Wreszcie „Rayski” ustalił czas odjazdów i przyjazdów oraz trasę „budy”, ujrzał esesmana z wilczurem i uzyskał potwierdzenie jego tożsamości dzięki „Żarowi”.

Włącznie z organizacją i opracowaniem planu akcji zajęło to ok. miesiąca, nim na rogu ulic Litewskiej i Marszałkowskiej, gdy siedł ze swego mieszkania przy ul. Polnej 22 do „pracy”,

zbrodniarza dosięgły kule chłopców z 1. plutonu „Agatu”. Dowódcą i pierwszym wykonawcą był „Jeremi” (Jerzy Zborowski, padł w powstaniu jako dowódca „Parasola”). Drugim wykonawcą – „Lot” (Bronisław Pietraszewicz, późniejszy egzekutor Kutschery, który został wtedy śmiertelnie ranny). Ubezpieczenie stanowili: „Kędzior” (Henryk Migdalski, rozstrzelany w listopadzie 1943 r.) oraz „Dietrich” (Eugeniusz Schielberg, przeżył wojnę). Kierowcą osobowego opla Olimpi, którym zamachowcy szczęśliwie odskoczyli po akcji, był wypożyczony z oddziału „Zośka” „Konrad” (Józef Nowocien, stracił rękę w powstaniu, ale przeżył).

O wymierzeniu sprawiedliwości tej pierwszej „główce” z Pawiaka tak pisał „Rayski”: „Jeremi przechodzi na drugą stronę Marszałkowskiej i to jest sygnałem rozpoczęcia akcji. Za nim to samo czyni Bürkl. Przechodzi obok „Jeremiego» i «Lota», którzy go przepuścili, i już jest na Litewskiej. Wtedy tamci biją doń z pistoletów. SS-Oberscharführer Franz Bürkl, krwawy kat więźniów Pawiaka, wali się na warszawski bruk.

Ale teraz rozpętuje się piekło. Biją, nie bardzo wiedząc do kogo, Niemcy stojący na przystanku tramwajów, otwierają ogień żandarmi zarówno ci z przystanku, jak i ci z rogu al. Piłsudskiego [obecnie, dzięki obecnym władzom stolicy, Armii Ludowej – przyp. M.R.], ukryci za motocyklami. Na dodatek Litewską nadbiegają SS-mani. »Jeremi« tłucze ze schmeissera do stojących na przystanku Niemców, do akcji włącza się »Kędzior« i razi ich celnym, flankowym ogniem, a tych z tramwaju trzyma w szachu »Dietrich« seriami wydobytego z futerału od skrzypiec stena. Pod osłoną peemów swych towarzyszy »Lot« dobiega do martwego Bürkla, pochyla się nad nim i wyjmuje mu z kieszeni dokumenty...”.

Zabranie tego dowodu wykonania zadania kosztowało „Lota” kilka za drapań i siniaków, które spowodowała towarzysząca Bürklowi żona. Poza tym wśród naszych strat ani ran nie było. Odskok odbył się wedle przewidzianego scenariusza i jeszcze tylko wybuch rzuconej przez „Kędziora” filipinki

początkowy etap identyfikacji oraz lokalizacji tych osobników. Opisał to w swych pasjonujących wspomnieniach „Cichy front” (pierwsze wydanie 1968 r., PAX), wielokrotnie już wznawianych i do dziś czytanych.

Fascynuje w nich nie tylko opis zbrojnych akcji, lecz także wyjaśnienie, jak podczas okupacji musiał działać w Warszawie – wśród uzbrojonych Niemców, z ciągłą groźbą inwigilacji czy łapanek – zwiadowca podziemia. Tego, jak unikać niebezpieczeństw, jak nie rzucać się w oczy i wtapiać się w tłum, a jednocześnie widzieć i notować w pamięci wszystko co trzeba, uczył młodych chłopców i dziewczęta z „Agatu” (w 1944 r. nazwanego „Parasolem”). To jego uczennicami i podkomendnymi byli m.in. uczestniczki akcji na Kutschere – „Hanka” (Hanna Szarzyńska-Rewska), „Kama” (Maria Stypułkowska-Chojec-



Takie napisy pojawiły się w Warszawie, zapowiadając karę dla oprawców FOT. AAN

■ uciszył Niemców w tramwaju, a seria „Jeremiego” z peema położyła trupem esesmana nadbiegającego ul. Litewską. Niemcy stracili tego dnia ośmiu zabitych i kilkunastu rannych.

Odwetem za zabicie zastępcy komendanta Pawiaka stało się wprawdzie rozstrzelanie nazajutrz w ruinach getta 36 więźniów, ale na załogę więzienia padł blady strach. „Byli nawet tacy – pisał »Rayski« – którzy w owych dniach głośno zastanawiali się nad tym, na kogo teraz przyjdzie kolej. Wkrótce mieli się dowiedzieć”.

Kretschmann, Weffels i inni

Zanim jeszcze Bürkla dosięgły polskie kule, wywiad Kedywu zaczął rozpracowywać kolejnych dwóch oprawców. Jednym z nich był SS-Hauptscharführer August Kretschmann, zastępca komendanta Gęsiówki – więzienia kacetu znajdującego się tuż obok Pawiaka. Zresztą psychopaci z załóg obu tych przedsiönków piekła składali sobie sąsiedzkie wizyty, których celem było mordowanie więźniów.

Dość szybko go zidentyfikowano i zlokalizowano jego mieszkanie niedaleko ul. Górnośląskiej. Łączniczką z zespołem likwidacyjnym została „Maja” (Maria Huchla, zginęła w powstaniu). Zamachu dokonał 24 września zespół z 2. plutonu „Agatu” pod dowództwem

pierwszego wykonawcy „Kopcia” (Stanisław Jastrzębski – 1920–2000). Drugim wykonawcą został „Cyklon” (Zbigniew Dąbrowski, zginął w powstaniu), a ubezpieczali: „Rawicz” (Żeliszław Olech – 1915–2005) i „Bolec” (Tadeusz Chojko – 1920–2007). Kierowcą bmw był „Niemira” (Tadeusz Kostrzewski, rozstrzelany na początku 1944r.). Korzystali zaś ze stenów, z pistoletów i granatów.

Strzały padły ok. godz. 7 na ul. Dmochowskiego. Gestapowiec został ranny, zanim zdołał wyciągnąć broń z kabury. Uciekającego dogonił „Kopec”, a ponieważ zaciął mu się pistolet, powalił Kretschmanna uderzeniem kolbą w głowę, a następnie zabił dwoma strzałami z zapasowego pistoletu. Tymczasem „Cyklon” podjął upuszczoną przez Niemca teczkę i wyjął z niej dokumenty będące dowodem wykonania zadania.

Mimo że do zamachowców padały strzały z ulicy i z okien, chłopcy z ubezpieczenia oraz „Niemira” uciszyli strzelających, a następnie wszyscy zdołali wsiąść do auta i szczęśliwie odjechać. I ta akcja zakończyła się bez strat własnych.

Z kolei SS-Sturmmann Ernst Weffels, tak jak Bürkl na oddziale męskim, tak on ze szczególnym sadyzmem znechęcał się nad dziewczętami, kobietami, a nawet nad starszymi osadzonymi na oddziale żeńskim Pawiaka, nazywanym Serbią. Rozkaz jego jak najszybszej likwidacji wydano, gdyż właśnie

Weffels – we współpracy z konfidentką Sabiną Bykowską – odkrył sposób przekazywania informacji (tzw. grypsów) z więzienia. Polski personel szpitala więziennego został śmiertelnie zagrożony.

Oczywiście kpt. „Pług” (Adam Borys) natychmiast zlecił „Rayskiemu” zadanie rozpracowania gestapowca. Ten znał już system dobowych zmian na Pawiaku i było mu łatwiej. Ogromnie – jak zawsze zresztą – pomogła mu stała jego współpracowniczka „Ewa” (Ewa Prauss-Płaska, 1913–1986), która zidentyfikowała bandziora i stwierdziła, że mieszka przy ul. Koszykowej 6. Niezastąpieni okazali się jak zwykle „Żak” i „Żar”. Zarówno dalszą jego obserwację, jak i łączność podczas akcji powierzono „Kamie”.

Likwidacji Weffelsa dokonał 1 października pięciosobowy zespół z 2. plutonu „Agatu”. Dowodził „Orkan” (Kazimierz Kardaś; zginął w maju 1944 r. podczas nieudanej akcji na Stamma). Drugim wykonawcą był „Daniel” (Ryszard Dubniak, zginął w powstaniu), a ubezpieczali: „Kobza” (Henryk Zakrzewski, także zginął w powstaniu) oraz „Kalina” (Witold Juszcak, brał jeszcze udział w niejednej akcji). Kierowcą został niezastąpiony „Niemira”. Uzbrojenie stanowiły: trzy steny, sześć pistoletów („Daniel” miał dwa – visa i colta) i osiem granatów.

O godz. 12.02 Weffels wyszedł z domu. Na jego widok „Kama” przesła

przez jezdnię, a „Daniel” zdjął kapelusz. Kiedy gestapowiec doszedł do rogu ulic Koszykowej i 6 Sierpnia (po wojnie – Wyzwolenia), „Orkan” strzelił z odległości kilku metrów, lecz nie zabił na miejscu, ale tylko zranił w biodro. Z tą raną Niemiec zdołał wbiec do parku. Bezszykownie próbował ukryć się przed „Orkanem” w krzakach. Temu wyczerpała się wprawdzie amunicja, ale nie tracąc zimnej krwi, wrócił do bramy, zabrał magazynek „Kobzie” i wrócił dokończyć dzieła. Zakrwawiony Weffels stał z pistoletem w rękę, słaniając się na środku alejki. Po dwóch skutecznych strzałach „Orkan” zabrał broń i dokumenty zabitego.

Na odgłos strzałów zbiegli się z okolicy Niemcy (a siedziba gestapo znajdowała się w zasięgu wzroku od wejścia do parku Ujazdowskiego). Powstrzymał ich seria z peemu „Kobza”. „Niemira” kilkoma strzałami z parabellum zranił i wyeliminował z dalszej walki dwóch esesmanów, a „Kalina” przestraszył i odpędził wybuchem „Filipinki” trzyosobowy, uzbrojony po zęby patrol motocyklowy, który nadjechał od Belwedera. I tak, znów bez strat własnych, młodzi żołnierze „Agatu” wykonali zadanie. Partnerka Weffelsa, Sabina Bykowska, została zastrzelona 5 października 1943 r.

Później zdarzały się jednak pomyłki. Nie tego Niemca, na którego zapadł wyrok, zabito podczas dramatycznej akcji na gestapowca Alfreda Milkego.



Bronisław Pietraszewicz „Lot”, wykonawca zamachów na Bürkla i Kutschere

FOT. ARCHIWUM RODZINNE W. I. W. PIETRASZEWICZÓW

Był to volksdeutsch specjalizujący się w rozpracowaniu polskiego podziemia, żyjący z równie niebezpieczną konfidentką – Ireną Lis. Zamachu dokonano 1 października przy ul. Szucha 8, gdzie para ta mieszkała, tuż obok komendy gestapo, i to tego akurat dnia, kiedy zabito Weffelsa, a Niemcy

stali się szczególnie nieufni i nerwowi. Zginął wtedy jeden z żołnierzy AK, a jeszcze jeden został ciężko ranny. Podczas gęstej strzelaniny raniono kilku Niemców, a zabito czterech. Jednym z zabitych okazał Hauptsturmführer Josef Lechner, który zresztą wywołał wymianę strzałów, podchodząc do naszego samochodu z odbezpieczonym pistoletem. Kierował on jednym z referatów warszawskiego gestapo. „Rayski” skomentował to nader trafnie: „Zamiast kąśliwej i niebezpiecznej, ale przecież płotki, zlikwidowany został szczupak, jeśli wolno mi użyć tego porównania, obraźliwego niewątpliwie zarówno dla płotek, jak i dla szczupaków”.

Z kolei Oberscharführer Engelbert Frühwirth – inny oprawca z załogi Pawiaka – mieszkał przy ul. Leszno 2. Przypadkowo zdarzyło się, że 25 października – w dniu zamachu, w porze, gdy z domu wychodził właśnie on – akurat wyszedł inny Niemiec w mundurze. Po wykonaniu wyroku okazało się, że była to pomyłka, ale niewielka, bo zastrzelono innego oprawcę z załogi więzienia – Scharführera Stephana Kleina.

Dodajmy jeszcze, że 15 czerwca 1944 r. w akcji przeprowadzonej przez żołnierzy oddziału dyspozycyjnego Kedywu Kolegium „A” na ul. Krasińskiego zginął SS-Obersturmführer Herbert Junk, komendant więzienia Pawiak od marca 1942 do marca 1943 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

— PREMIERA 30 WRZEŚNIA —

MISTRZOWIE BOKSU NA RINGU ŻYCIA

BELLONA

POTRONI MEDIALNI:

lubimyczytać.pl

WIELKIBUK.COM

KSIEGARNIE Świat Książki

swiatksiazki.pl



Wywiad / Z Wernerem Weberem, południowoafrykańskim działaczem na rzecz bezpieczeństwa farmerów



rozmawia Piotr Włoczyk

Rzeź białych farmerów

/ – Mordercy wlewają ofiarom do gardel gotującą się wodę, przypalają je żelazkami. Jeżeli ktokolwiek wzywa pomocy, to sąsiedzi chwytają za broń, wsiadają do swoich terenówek i gną na miejsce. Tak było podczas ataku na moją rodzinę – mówi Werner Weber

PIOTR WŁOCZYK: „Plaasmoorde” oznacza w języku afrikaans plagę brutalnych mordów na białych farmerach. W 2002 r. próbował pan coś z tym zrobić. Jak to się dla pana skończyło?

WERNER WEBER: W 2002 r. byłem liderem kampanii

sprzeciwu wobec ataków na farmy. Ta plaga jest z nami od upadku apartheidu. Białe farmerzy to najbardziej zagrożony w RPA „gatunek”. Statystyki pokazują, że farmer jest u nas zawodem dużo bardziej

niebezpiecznym niż policjant. W 2002 r. zebraliśmy 416 tys. podpisów pod petycją do rządu, w której domagaliśmy się poważnego zajęcia się tym olbrzymim problemem. Dzień po złożeniu petycji na

ręce władz ja sam zostałem zaatakowany.

Jak do tego doszło?

Jestem chrześcijaninem. W niedziele zawsze jeżdżę z rodziną do naszego kościoła. Te zbiory o tym doskonale wiedziały. Obok mnie siedziały w aucie żona i małe dzieci. Podjeżdżaliśmy właśnie pod dom, kiedy ze zdziwieniem zobaczyłem, że jedzie w naszą stronę mój własny pick-up... Nagle dosięgnęły nas strzały. Jechali moim autem i strzelali do nas z moich wielkich karabinów, które wyciągnęli z sejfu!

Trafili was?

Na szczęście nie mieli wprawy i trafiały nas tylko rykoszety. Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało. Przewidywałem atak na mój dom i zawczasu opracowałem drogę ucieczki.

Lokalna telewizja stworzyła na ten temat materiał, który był szczytem absurdu. Reporterzy donieśli o „włamaniu” na farmę, uszkodzonym oknie i telewizorze, ale słowem nie wspomnieli o ataku! To było niezwykle zastanawiające... Nietrudno było nabrać podejrzeń, że to była zemsta za to,



W ostatnich latach corocznie ginęło około stu farmerów i członków ich rodzin

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/JOHNNYHURST



iz stałem się twarzą petycji do rządu.

Od 2002 r. nic się u nas nie zmieniło w tej sprawie. Rząd w żaden sposób nie przeciwdziała atakom. Co roku setki farm jest atakowanych, a ok. 100 farmerów lub członków ich rodzin traci życie w tych atakach. Proszę pamiętać, że my nie jesteśmy wielką społecznością. Dziś żyje w RPA tylko nieco ponad 30 tys. farmerów.

Władze RPA od lat przekonują jednak, że ataki na farmy nie są niczym nadzwyczajnym, skoro generalnie przestępczość w tym kraju jest dramatycznie wysoka (dla porównania w RPA na 100 tys. mieszkańców notuje się 36 morderstw, w Rosji – 8, a w Polsce – 0,73).

Problem polega na tym, że w czasie tych ataków mało co ginie. Jeżeli już, to mordercy kradną telefon komórkowy i portfel. Jednak w wielu przypadkach kompletnie nic nie zabierają ze sobą. Ataki na farmy są skrajnie brutalne. Mordercy wlewają ofiarom do gardeł gotującą się wodę, przpalają je żelazkami. W 90 proc. przypadków ofiara i sprawca nigdy się nie widzieli. W innych atakach, gdy ktoś ginie,

nie torturuje się ofiar. Nie da się nie zauważyć, że w tle tego wszystkiego widać politykę.

W jakim sensie?

W historii świata nie brakuje przypadków, gdy pewnym ludziom zależało na przedstawieniu innych ludzi jako „pasożyty”. To było preludium do mordów. W Afryce najsłynniejszym przypadkiem było ludobójstwo Tutsi przeprowadzone przez ludność Hutu. Gołym okiem widać, że stoi za tym radykalna rasistowska retoryka naszych liderów politycznych, dla których biały farmer to doskonały cel. Politycy opowiadają czarnym obywatelom RPA, że biali ukradli im ziemię, wzniecając tym samym nienawiść do nas. Jesteśmy wskazywani jako rasiści, nienawistnicy. To ma swoje konsekwencje. Widzimy je na zdjęciach przedstawiających martwe ciała pomordowanych farmerów i członków ich rodzin.

Nasi politycy muszą w końcu wygasić ten typ retoryki, bo inaczej dojdzie do prawdziwej tragedii. Nie mówię w tym momencie jedynie o rządzącym Afrykańskim Kongresie Narodowym (ANC), ale także

o opozycyjnej partii Ruch Bojowników o Wolność Gospodarczą (Economic Freedom Fighters, EFF).

Jej lider Julius Malema słynie z używania wobec białych języka pełnego nienawiści. „Nie wzywamy do zabijania białych ludzi, przynajmniej na razie...” – powiedział dwa lata temu Malema.

Mało tego. Ci radykalni politycy regularnie odśpiewują „Dubul’iBhunu” („Zastrzel Bura”), którą śpiewali lata temu bojownicy walczący z apartheidem. Nikt z czołowych polityków w RPA nie sprzeciwia się temu, nie mówi: „Nie wolno tak traktować białych, to nakręca spiralę nienawiści!”. Nie usłyszy pan od nich takich słów.

Gorzej – prezydent Jacob Zuma, który ustąpił w 2018 r. w związku z aferą korupcyjną, sam śpiewał tę pieśń...

Skoro nawet prezydent śpiewał tę pieśń, to nie brakuje ludzi, którzy wcielają to w życie i po prostu zabijają Burów. To jest tło ataków na farmerów.

Jacob Zuma to już jednak historia. Jak wasza sytuacja wygląda pod rządami Cyrila Ramaphosy?

Nowy prezydent jest bardziej umiarkowany, ale jego rząd nic nie robi, by nam pomóc. Więcej, gdy obecny prezydent pojechał do USA i usłyszał pytanie na ten temat – Donald Trump wzywał władze RPA do uporania się z tym problemem – odpowiedział, że... nie ma żadnych ataków na farmerów! Jak oni mają cokolwiek zrobić z tym problemem, skoro zaprzeczają faktom? Jak kryminaliści i mordercy mają być skutecznie odstraszeni od atakowania nas, skoro prezydent mówi, że tych zbrodni nie ma?

Wasza lewica twierdzi jednak, że sami jesteście sobie winni – jesteście rasistami, którzy poniewierają swoimi pracownikami.

Generalnie relacje farmerów z pracownikami rolnymi są jak najbardziej przyjacielskie. Dobry farmer dba o swoich pracowników, bo to dzięki ich zaangażowaniu może rozwijać swoją działalność. To jakby dalsza rodzina – przynajmniej ja tak to widzę. Żyjemy w symbiozie, nikomu nie powinno zależać na zatruwaniu atmosfery. Szczególnie nam, farmerom, bo jesteśmy przecież tak niewielką mniejszością.

Farmerzy w RPA zbudowali imponujący system samoobrony. Jak to działa na co dzień?

Skoro rząd nie potrafi zadbać o wytworzenie kultury bezpieczeństwa, to farmerzy sami muszą brać sprawy w swoje ręce. Dlatego każdy farmer musi być jednoosobową armią gotową na odparcie ataku na własną rodzinę, ale także na przyjsięcie z pomocą sąsiadów. Organizujemy patrolę sąsiedzkie, cały czas mamy przy sobie radioodbiorniki – jeśli nie w domu, to w aucie. Mamy specjalne „guzik bezpieczeństwa”. Jeżeli ktokolwiek wzywa pomocy, to sąsiedzi chwytają za broń, wsiadają do swoich terenówek i gną na miejsce. Tak było podczas ataku na moją rodzinę. Nie minęło kilka minut i zjechało się na moją farmę ponad 40 sąsiadów, by nas bronić. Mamy sieć bezpieczeństwa rozciągniętą na całą RPA, ale niestety nie zawsze udaje się zdążyć na czas. Nikt nie chce zabijać napastników, najlepiej ich ująć i oddać w ręce policji. Chociaż różnie u nas bywa z policją... Zazwyczaj to farmerzy tropią napastników, a nie policja.

Kwestia redystrybucji ziemi to jeden z najbardziej palących problemów społecznych w pańskim kraju. Mimo że apartheid upadł ponad ćwierć wieku temu, do dziś nie udało się rządzącemu ANC zrealizować swoich obietnic w tej sprawie. Biali, którzy stanowią 9 proc. populacji RPA, wciąż są właścicielami 72 proc. gruntów ornych należących do osób fizycznych. Wasi przeciwnicy, naciskając na ANC, twierdzą, że ta ziemia została ukradzioną czarnej ludności...

Trzymajmy się historii. Czarni nie są ludnością rdzenną w RPA. Przybyli oni tu z okolic Wielkich Jezior Afrykańskich. Czarna ludność przekroczyła rzekę Limpopo (granica między RPA a Zimbabwem) dopiero na przełomie wieków XIV i XV. W tamtym czasie żyli tu Buszmeni i Hotentoci (obec-



Burowie bronią się przed atakiem Zulusów. Obraz z XIX w. Charlesa Bella
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

nie nazywani Khoikhoi) i to oni są ludnością rdzenną RPA. Czy czarni przybyśle przejęli ziemię na zasadzie negocjacji czy wzięli ją sobie siłą? Jeżeli więc ktoś zarzuca białym z RPA kradzież ziemi, to jak nazwać to, co zrobiła setki lat temu czarna ludność? Podkreślmy raz jeszcze – oni również, tak samo jak przybysze z Europy, nie byli ludnością rdzenną południowej Afryki!

Biali osadnicy, idąc od Kapsztadu w głąb lądu, negocjowali z rdzennymi mieszkańcami i przejmowali od nich ziemię. Biali po raz pierwszy zetknęli się z czarnymi nad rzeką Fish w Prowincji Przylądkowej Wschodniej. Stało się to w 1770 r. Cały ten wielki obszar na południe od rzeki Fish był wówczas kompletnie niezamieszany przez czarną ludność! Z kolei w latach 20. XIX w. doszło do strasznych wojen pomiędzy czarnymi plemionami. To była rzeź. W jej wyniku zginęło i uciekło mnóstwo czarnych. Większość dzisiejszych terenów RPA była właściwie pusta, prawie nikt tam nie mieszkał. Opowieść o tym, że biali ukradli czarnym ziemię, pełna jest mitów.

Jak duża jest pańska farma?
Okolo 4 tys. ha.

W Polsce byłby pan jednym z największych posiadaczy. Jak pan przekonuje swoich współobywateli, że ma pan prawo do tej ziemi?

W XIX w. król Suazi wyraził życzenie, żeby w południowej Mpumalandzie żyli biali. Voor-

trekkerzy (w języku afrikaans – ci, którzy idą przodem) mieli być buforem między ludem Suazi a Zulusami. Tu, gdzie żyje, voortrekkerzy zostali poproszeni o zajęcie tych terenów! Moja ziemia nie została więc pozyskana w ramach negocjacji, nikt nie został z niej wcześniej wyrzucony, tylko została przekazana voortrekkerom przez króla Suazi!

Sytuacja z ziemią w RPA jest bardzo skomplikowana, ponieważ różne ziemie trafiały w ręce białych w różny sposób. W mojej prowincji stroną rozmów o ziemi mogą być tylko ci, którzy otrzymali tę ziemię, i ci, którzy ją dali, czyli potomkowie ludu Suazi. ANC nie ma tu nic do rzeczy. Rozmawiałem na ten temat z królem Suazi (obecnie to państwo nazywa się Eswatini) i król w pełni się ze mną zgadza.

Od wielu lat jesteśmy świadkami kolejnych dramatycznych doniesień o sytuacji humanitarnej w Zimbabwem. Czy tragedia tego kraju nie stała się dla polityków w RPA swego rodzaju szpecionką przeciw radykalnej polityce wobec białych farmerów?

Myślę, że dramat Zimbabwem powstrzymuje najgorętsze głowy przed gwałtownymi ruchami. Chociaż będę z panem szczery: moim zdaniem rząd ANC bardzo chciałby odebrać białym

ziemię i wygnać nas stąd raz na zawsze. Ci ludzie jednak kalkulują i zdają sobie sprawę z tego, jakie byłyby tego konsekwencje. To konflikt serca i rozumu. Na szczęście nie wszyscy są radykałami. Zasiadam w parlamencie prowincji Mpumalanga. Polityk ANC odpowiadający u nas za rolnictwo otwarcie mówi, że trzeba nas bronić, bo inaczej ludność będzie głodowała.

Dramat Zimbabwem polegał na tym, że Mugabe był pod polityczną presją. Chciał pokazać, że jest za czarnymi przeciw białym. Dlatego na przełomie lat 2000 i 2001 rozkazał przejąć ziemię farmerów, a ich samych wygnać.

Skończyło się nieprawdopodobną katastrofą gospodarczą, czego doskonałą ilustracją była inflacja. W 2008 r. bank centralny Zimbabwem produkował już banknoty o nominale 100 bln dol.

Do RPA uciekło od tego czasu ok. 3 mln obywateli Zimbabwem (kraj ten liczy ok. 15 mln ludzi). Uciekli z utopii, którą Mugabe przed nimi roztoczył. Przejęte farmy zostały zamienione w ruinę. Zimbabwem, wówczas Rodezja, było kiedyś uważane za spichlerz południowej Afryki. A teraz brakuje tam ludziom jedzenia! Nie dalej niż tydzień temu słyszałem, że następca Mugabe, Emmerson Mnangagwa, chce przyjąć z powrotem część białych farmerów. Już wcześniej biali farmerzy z Zimbabwem zostali zaproszeni do Zambii. Dzięki nim sektor rolny niesamowicie się w tym kraju rozwija.

Sobhuza II, były król Suazi, mawiał, że biali farmerzy są jego pszczołami, które przynoszą miód jego ludowi. To bardzo realna ocena sytuacji i podobnie powinny na nas patrzeć władze RPA. Cały czas przekonuję moich



czarnych współobywateli, że jesteśmy im potrzebni, że wyrzucenie nas byłoby dramatem dla całego kraju. Robię, co mogę, by studiować nastroje i zapobiec katastrofie.

Jak pan w ogóle patrzy na drogę, jaką przeszła Afryka Południowa od 1994 r.?

Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że będzie dużo gorzej. Nie byłem odosobniony w tym przeświadczeniu. Bardzo wielu białych Południowoafrykańczyków przewidywało, że kraj pogrąży się w totalnym chaosie. Nie byłem zwolennikiem prezydenta Nelsona Mandeli, ale każdy musi przyznać, że podczas publicznych wystąpień wzywał on do zachowania spokoju i do pojednania. Kiedy w 1995 r. wygraliśmy Puchar Świata w rugby, prezydent Mandela założył koszulkę naszej reprezentacji, by pokazać, że szanuje białych obywateli (ten sport uważany jest za domenę białych).

Oczywiście nie oszukujemy się – jest u nas dużo chaosu, gospodarka jest w złym stanie, ale nie doszło u nas jednak do dramatu. Politycy rozniewają wprawdzie płomień nienawiści rasowej, ale mamy jeszcze czas, żeby to powstrzymać. Jeszcze mamy szansę zbudować harmonijne społeczeństwo.

Ogromną przeszkodą dla rozwoju naszego kraju jest akcja afirmatywna. Pracę dostaje się u nas nie na zasadzie kwalifikacji, tylko za kolor skóry. Efektem jest to, że biali są dyskryminowani w procesie rekrutacyjnym, wyrzuca się ich nawet z drużyn sportowych.

Często słyszy pan, że czas się pakować i wracać do Europy?

Odwiedziłem kilka razy kontynent, z którego przybyli moi przodkowie, ale nie zamierzam opuszczać mojego domu. Afryka to mój dom. Farmerzy są w szczególnej sytuacji, bo żyjemy z ziemi, mamy do niej szczególny sentyment. Od końca apartheidu milion białych wyjechało z RPA, ale ja zostaję. Nie mam innego domu. Będziemy walczyli o nasze życie w tym kraju. To nie znaczy oczywiście, że będziemy chwytac za broń. Nie – przemoc do niczego dobrego nie prowadzi. Będziemy walczyć, czyli będziemy nieustannie przekonywać do naszego prawa do życia w Afryce Południowej.

Na koniec muszę pana zapytać o Janusza Walusia. Jak pan wówczas postrzegał Chrisa Haniego?

To był ciężki czas, czas zmian. Biali bardzo się bali, że nowe władze będą skrajnie radykalne. Zabójstwo Haniego było morderstwem politycznym. Tak nie wolno postępować. Nie wolno zabijać z uwagi na wyznawane poglądy. Nie mam jednak wątpliwości, że Hani był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Gdyby nie został zabity, mógł zamienić RPA w prawdziwe piekło. To, że zginął, oszczędziło cierpień również wielu czarnym mieszkańcom naszego kraju... Każdy trzeźwo myślący człowiek wie, że Walus jest przetrzymywany do dziś jedynie z powodów politycznych. Już dawno temu powinien zostać zwolniony.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



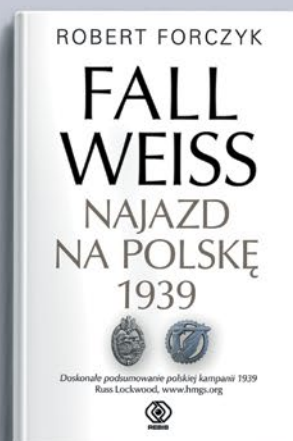
Werner Weber

jest południowoafrykańskim farmerem, szefem Freedom Front Plus w prowincji Mpumalanga, jedynej partii reprezentującej w parlamencie RPA interesy białych Południowoafrykańczyków. Weber jest autorem książki „The South African Land Issue”, opisującej zagadnienie własności ziemi w RPA.



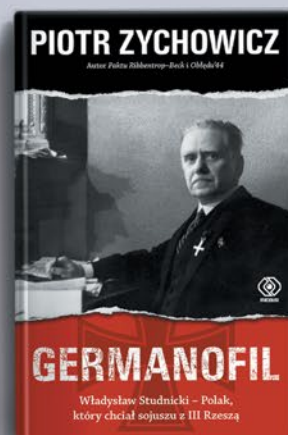
**Doskonałe
podsumowanie
polskiej kampanii
1939**

**Russ Lockwood,
hmgs.org**



**Niewygodna
historia
powojennej
Polski
z „polskimi”
Niemcami
w roli głównej.**

**Polak, który
chciał sojuszu
z III Rzeszą.**



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

Kariera PRL / Życie Zbigniewa Nienackiego nad Jeziorkiem

Zbigniew Nienacki na progu
swojego domu na Mazurach

FOT. PIOTR PŁACZKOWSKI/REPORTER

Mroczne tajemnice Pana Samochodzika



Sławomir Koper

**Znany pisarz
współpracował z SB.
A jego życie intymne
było pasmem skandali**

Choć autorzy czasami czerpią natchnienie z własnych biografii, to ich życie często wygląda zupełnie inaczej niż głoszone ideały. Dobrym tego przykładem jest twórca kultowej serii o Panu Samochodziku, którego życiorys kompletnie nie odpowiada dydaktycznym wartościom jego książek dla młodzieży.

Pierwsze tomy cyklu Zbigniew Nowicki (Nienacki to pseudonim artystyczny) napisał jeszcze w Łodzi, jednak kolejne powstawały już we wsi Jerzwałd nad Jeziorkiem. Tam w maju 1967 r. nabył nieruchomość rolną o powierzchni ponad 2 ha z domem, w którym osiadł na resztę życia.

Pisarz doskonale wiedział, że do Jerzwałdu na pewno nie przeniosą się

z nim żona ani 15-letni syn. Małżonka nie przepadała za leśną gęszą, zresztą jako osoba pracująca w przemyśle filmowym (jako kierownik produkcji) nie mogła sobie pozwolić na zamieszkanie na dalekiej prowincji. Poza tym ich związek małżeński przechodził właśnie kryzys, co zapewne także wpłynęło na decyzję pisarza.

„Jesteśmy nowoczesnym małżeństwem – mówił w jednym z wywiadów. – Każde z nas realizuje swe plany życiowe. Uważam, że pisarz nie powinien kobiecie, z którą żyje, odbierać osobowości”. Wydaje się, że Nienacki nie chciał przede wszystkim dopuścić do tego, by jemu odebrano osobowość i prywatną swobodę.

Alicja Janeczek

Pisarz zwracał bowiem dużą uwagę na kobiety i raczej nie był pruderyjny. Bibliotekarka z Jerzwałdu, Helena Rybczuk, wspominała, że Nienacki zaprosił kiedyś miejscową młodzież do siebie na pogadankę o wychowaniu seksualnym. Wiedząc, że niedługo ma wyjść za mąż, zasugerował, że wcześniej powinna „z kimś spróbować” i „siebie miał na myśli”.

Inna sprawa, że zachowanie Nienackiego czasami potrafiło zgorszyć nawet jego bliskich przyjaciół. Pisarz faktycznie gustował wówczas w bardzo młodych dziewczynach, a sława znanego pisarza ułatwiała mu podboje.

„Dwie licealistki widzą nasze auto – wspominał szkolny kolega Nienackiego, Tadeusz Gierymski. – Spieszą ku nam, w biegu zdejmują z ramion czerwone tarcze. Już nie pamiętam ich imion. Wracamy do domu Zbyszka. Bachanalia trwały do północy. Następnego dnia wstałem późno, Zbyszek już wołał z ogrodu. Mielśmy przecież pożeglować. Dwie licealistki już na nas czekały, opalając się. Leżały zupełnie nago na burcie jachtu. Byłem zawstydzony, speszony, lecz udawałem, że to dla mnie widok codzienny”.

Partnerką życiową Nienackiego w Jerzwałdzie została uczennica Liceum Ogólnokształcącego w Iławie, Alicja Janeczek. Pomimo dużej różnicy wieku (23 lata), a może właśnie też z tego powodu, pisarz zrobił na niej ogromne wrażenie. „Miał klucz do duszy kobiety – wspominała po latach. – Wiedział, co kobieta chce usłyszeć z ust mężczyzny. Wystarczyło, że porozmawiał z którąś, i już traciła dla niego głowę”.

Alicja pochodziła z rodziny dysfunkcyjnej, jej ojciec „lubił ostro wypić”. Być może miało to pewien wpływ na jej fascynację pisarzem, inna sprawa, że wypadki potoczyły się dość szybko. Dziewczyna zaczęła bywać w jego domu, razem także żeglowali po Jezioraku. Początkowo Nienacki zawsze odwoził dziewczynę do domu, z czasem jednak zaczęła u niego nocować, aby po dwóch latach przeprowadzić się do niego. Nie zdała matury w swoim liceum, zrobiła to później w szkole wieczorowej, na co zresztą Nienacki bardzo nalegał.

Alicja wprowadziła w rytm życia pisarza element stabilizacji. Była gospodynią, asystentką i kochanką, dbała, by mógł jak najwięcej czasu poświęcić pisaniu. Ochraniała go także przed wizytami nieproszonych osób chcących poznać sławnego autora. Natomiast gdy pojawiali się oficjalni goście, nie pokazywała się u jego boku. Przecież jej partner był żonaty.

Podobnie zachowywała się podczas wizyt Heleny Nowickiej. Opuszczała wówczas na dwa tygodnie dom i zajmowała się rzeźbieniem. Po wyjeździe żony wszystko natomiast wracało do normy.

Prawdopodobnie pod wpływem Alicji pisarz wreszcie zaczął unowocześniać swoją siedzibę. Początkowo bowiem nie było w niej nawet prądu, o bieżącej wodzie nie wspominając. Pod tym względem Nienacki był typem abnegata, z czasem jednak miało się to zmienić. Tym bardziej że wraz z rosnącą sławą pojawiały się coraz większe pieniądze. Oznaczało to nie tylko nowe samochody na podwórku czy zmianę jachtu, lecz także solidne ogrodzenie i kraty w oknach. Oczywiście od dawna dom był zelektryfikowany i posiadał kanalizację.

Chociaż pan Zbigniew nie był człowiekiem najłatwiejszym w pożyciu, to byli z Alicją przez prawie 27 lat. Nie wyobrażał sobie życia bez niej, a ona była mu całkowicie oddana. Nie myślał jednak o rozwodzie ani poślubieniu partnerki. I trudno powiedzieć właściwie dlaczego, tajemnicę zabrał ze sobą do grobu. Natomiast sama zainteresowana nigdy nie poruszała tego tematu. Kupił jej mieszkanie w Iławie, chciał też zapisać połowę swoich dochodów z tytułu tantiem autorских. Nie zgodziła się na to, czego później miała okazję pożałować.

Alicja miała dla swojego partnera dużo tolerancji, wiedziała bowiem, że nie był jej wierny. Wołała jednak, by odbywa-

ło się to „pod kontrolą”, i czasami nawet ułatwiała pisarzowi kontakty seksualne z innymi kobietami. Tak jak w przypadku mieszkającej w pobliżu nauczycielki, z którą nawiązał romans podczas pisania „Raz do roku w Skiroławkach”.

„Wpadła mu w oko żona leśniczego – potwierdzała Janeczek. – Ale sam nie miał odwagi podejść, więc ja go wyręczyłam. Przyszła z mężem na obiad, a ponieważ tamto małżeństwo się rozpadało, szybko zawiązał się romans. Potem Zbyszek skończył pisać »Skiroławki« i znajomość rozpadła się, choć ona liczyła, że mi Zbyszka zabierze. Gdy widać było, że kilkuletni romans kończy się, okazało się,



Zbigniew Nienacki FOT. ARCHIWUM

że nagle pisarzem zainteresowała się jej trzynasto- czy czternastoletnia córka”.

Matka i córka z dnia na dzień „zaczęły ze sobą rywalizować” o względy 50-letniego pisarza. Potem się okazało, że dziewczynka zaszła w ciążę, a sprawcą miał być „wujek Zbyszek”. Zanim jednak sprawa stała się głośna, dziewczynka nagle wyjechała i temat ucichł. Nic więcej o tej sprawie nie wiadomo...

Oddzielnym tematem są poglądy polityczne Nienackiego i jego działalność na niwie społeczno-politycznej. Był

zadeklarowanym komunistą i pozostał wierny swoim poglądom praktycznie do końca. Wstąpił w szeregi Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, zapewne dzięki temu ORMOWcem uczynił także Pana Samochodzika („Księga Strachu”, „Nowe przygody Pana Samochodzika”). Po latach tłumaczył, że zrobił to dlatego, by otrzymać broń, gdyż w Jerzwałdzie bał się czasami, gdy był sam w domu. Nie było to jednak prawdą, gdyż do ORMOW wstąpił, gdy jeszcze mieszkał w Łodzi.

ORMO, PRON i SB

Jeszcze w Łodzi został członkiem PZPR, był także ławnikiem sądowym. Znacznie większy ciężar gatunkowy miała jednak jego późniejsza współpraca z SB. W 1984 r. został zarejestrowany jako kontakt operacyjny o pseudonimie Eremita, gdyż jako członek PZPR nie mógł być tajnym współpracownikiem. Jego akta obejmowały dwa tomy, właściwie jednak nie wiadomo, co pisarz miał na sumieniu, dokumenty zostały bowiem zniszczone w styczniu 1990 r. Dlatego też nie dowiemy się, czy współpracował ze służbami też wcześniej, co wcale nie jest wykluczone.

SB nie musiała Nienackiego do niczego zmuszać, a współpraca ze służbami wynikała z jego przekonań. Zawsze popierał komunizm i starał się nie dostrzegać niczego, co skłoniłoby go do zmiany poglądów. Nawet wydarzenia na Wybrzeżu w 1970 r. czy w Radomiu sześć lat później. Był także zajadłym przeciwnikiem Solidarności, atakował jej działaczy w lokalnych mediach. Później popierał stan wojenny i osobiście podziwiał gen. Jaruzelskiego, którego uznawał za właściwego człowieka na właściwym miejscu i „twardego gościa”.

Prostą konsekwencją takiego stanu rzeczy było wstąpienie w szeregi Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Przypomnijmy – była to organizacja popierająca wprowadzenie stanu wojennego i grupująca wyjątkowej kategorii karierowiczów i konformistów. Dzięki temu Nienacki mógł zająć stanowisko przewodniczącego olsztyńskiego oddziału Związku Literatów Polskich, gdzie wprowadził popierał początkujących pisarzy, ale pod warunkiem, że prezentowali odpowiednią linię polityczną. Za złą recenzję „Raz



Jezioro Jeziorak, na pierwszym planie dom Zbigniewa Nienackiego FOT. WIKIPEDIA

■ do roku w Skiroławkach” w „Polityce” potrafił osobiście interweniować u Jaruzelskiego.

Przy okazji też spotkał się z ostracyzmem części społeczności Jerzwałdu, gdyż wśród postaci przedstawionych w „Skiroławkach” niektórzy z mieszkańców odnaleźli własne wizerunki. Z reguły nie były one specjalnie pozytywne, ale największe oburzenie wzbudził opis corocznej zbiorowej kopulacji mieszkańców wioski w starym młynie.

Awantura o spadek

Pierwszy zawał serca dopadł go w 1986 r., a siedem lat później kolejny. Nie zaprzestał jednak pracy, podróżował też po Polsce na spotkania z czytelnikami. Pomimo problemów zdrowotnych był z reguły w dobrym nastroju, gdyż upadek komunizmu przyniósł mu wydania jego książek w ogromnych nakładach, a co za tym idzie – duże dochody. Pod naciskiem wydawców postanowił także powrócić do serii o Panu Samochodzik, jednak kolejnej książki już nie ukończył.

W ostatnim roku życia Nienacki zaczął nadużywać alkoholu, nie ograniczył też palenia i we wrześniu 1994 r. doznał kolejnego zawału serca, którego już nie przeżył. Na pogrzeb przyjechali żona pisarza z synem, Alicja była nieobecna. Wolała się z nim pożegnać w kostnicy, nie

chcąc stwarzać sensacji na cmentarzu. Zaraz potem rozpoczęła się awantura o spadek po pisarzu.

Nienacki chciał, by w domu w Jerzwałdzie powstało muzeum poświęcone jego osobie. Uznał, że Alicja będzie najlepszym kustoszem, a poza tym zapewni to jej byt na długie lata. Zapomniał jednak, że liczą się akty prawne, a wola zmarłych nie ma żadnego znaczenia. Alicja nigdy nie chciała posiadać żadnych praw autorskich po partnerze. Wiedziała, że pozostawił testament, i to jej w zupełności wystarczało. Okazało się jednak, że Nienacki kompletnie zaniedbał sprawę pod względem prawnym.

Dwa tygodnie po pogrzebie Helena Nowicka złożyła w Sądzie Rejonowym w Łodzi wniosek o stwierdzenie nabycia spadku. Zaliczono do niego również „nieruchomość rolną nieużytkowaną rolniczo”, gdzie pisarz urządził „dom pracy twórczej, w którym w porze wiosenno-jesiennej przebywał i pracował”. We wniosku podkreślono, że nieruchomość w Jerzwałdzie małżonkowie nabyli wspólnie w 1967 r., a Nienacki nigdy się nie rozwodził ani nie przeprowadził rozdzielenia majątkowego.

Początkowo stosunki między „wdowami” ułożyły się względnie dobrze. Helena nie protestowała, gdy Janeczek snuł wizję przystosowania domu na potrzeby muzeum. Także syn pisarza, Marek, twierdził, że „o nią zadba, jak

ojcu przyrzekał”. Sytuacja zmieniła się, gdy wdowa i syn otrzymali wyrok sądowy o nabyciu spadku. Zaraz po jego otrzymaniu Helena Nowicka zadzwoniła do Jerzwałdu i zażądała, by konkubina męża opuściła dom. A gdy ta odmówiła, wezwała policję.

Wprawdzie pisarz pozostawił dokument z kwietnia 1991 r., ale w świetle prawa było to raczej oświadczenie woli, poza tym nie zostało poświadczane przez notariusza. Nie miało znaczenia też stwierdzenie, że „bez zgody Alicji Janeczek nie może się odbyć żadna transakcja handlowa sprzedaży lub kupna posiadłości w Jerzwałdzie”.

Alicja wniosła sprawę do sądu w Iławie, ten jednak przyznał dom pisarza wdowie i synowi. Od tej pory Helena Nowicka nie chciała już żadnego kompromisu, a była tak zajadła, że w ogóle nie wzięta pod uwagę rozsądnej propozycji rywalki, by sprzedać dom „pewnemu Polonusowi z Anglii”, który oferował warunki dogodne dla wszystkich.

Niestety, Helena Nowicka nie uwzględniła tej propozycji, gdyż nienawiść do byłej kochanki męża okazała się ważniejsza. Być może miała też bardziej atrakcyjną propozycję finansową i ostatecznie sprzedała posiadłość innemu nabywcy. Przeprowadzono remont i niewiele z dawnego wyposażenia pozostało w budynku. Na ścianie domu umieszczono jednak tablicę poświęconą pisarzowi. Listy i rękopisy Nienackiego trafiły do muzeum w Olsztynie, jednak „na wniosek wdowy nie są udostępniane zainteresowanym”.

Alicji pozostało wyłącznie mieszkanie w Iławie, gdyż było kupione na jej nazwisko i wdowa po pisarzu nie mogła go jej odebrać. To jednak całkiem niedużo jak na 27 lat wspólnego życia z jednym z najlepiej zarabiających literatów w Polsce.

Korzystałem z: M. Szyłak, „Zbigniew Nienacki. Życie i twórczość”, Olsztyn 2008; P. Łopuszański, „Pan Samochodzik i jego autor. O książkach Zbigniewa Nienackiego dla młodzieży”, Warszawa 2009; „Spotkanie z Alicją Janeczek w Iławie”, <https://www.youtube.com/watch?v=FEP7ZC9BRw>; L. Misiak, „Wdowy i kochanki, „Express Wieczorny”, 2-5.05.1996 r.; M. Michalski, „Pan Samochodzik, tajne służby i młoda kochanka, czyli niezwykły życiorys Zbigniewa Nienackiego”, <http://gazetaolsztynska.pl/331865,Pan-Samochodzik-tajne-sluzby-i-młoda-kochanka-czyli-niezwykły-zyciorys-Zbigniewa-Nienackiego.html> oraz T. Prusiński, „Spadek po Panu Samochodziku”, „Życie Warszawy”, 23-26.12.1995 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





Wschód

Antypolska propaganda Moskwy

Kino w służbie Putina



Mikołaj Iwanow

/ Ostatnie wydarzenia na Białorusi są jaskrawym dowodem ostatecznej utraty rosyjskich wpływów na terenie dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej

Rosyjski „Wiking” stał się jednym z najbardziej lubianych za Bugiem i kasowych rosyjskich filmów ostatnich lat. Nakręcony z istic hollywoodzkim rozmachem, jest pościwiony dramatycznej i wielowatkowej historii chrystianizacji Rosji w X w. W dużym skrócie jest to przeniesiona na ekran historia podboju ziem rosyjskich przez skandynawskich wikingów i gloryfikacja ich przywódcy księcia Włodzimierza, który zdecydował ochrzcić podbity naród. Film zrobiono profesjonalnie, nie szczędząc środków z dotacji ministerstwa kultury Federacji Rosyjskiej. Grają w nim najlepsi aktorzy: Daniał Kozłowski (ten grający księcia Olega w słynnym serialu Netflixa „Wikingowie”), Swietłana Chotczenkowa (szeroko znana w Polsce z roli tytułowej w „Małej Moskwie”) i wiele innych czołowych postaci współczesnego

kina rosyjskiego. Film obfituje w efekty specjalne.

Mimo swych walorów czysto artystycznych „Wiking” ma również znaczenie polityczne. Wpisuje się dość harmonijnie we współczesną kampanię propagandową prowadzoną w tym kraju na rzecz nowego nacjonalizmu rosyjskiego. Gloryfikuje własną wielkomocarstwową wersję historii państwa rosyjskiego i wzbudza nieufność oraz wrogość wobec obcych. Oglądały go miliony Rosjan, podziwiając mądrość i odwagę Włodzimierza, który zdecydował się przyjąć wiarę grecką (prawosławną), a nie zachodnią (rzymską), czasem tradycyjnie nazywaną do dziś w Rosji „wiarą polską”. Wydawałoby się, że z punktu widzenia rosyjskiej poprawności politycznej wszystko wygląda idealnie...

A jednak nie. Czołową rolę greckiego chrystianizatora Rosji, greckiego księcia Arystofila, gra Polak – Paweł Deląg, który mimo swej doskonałej, prawdopodobnie, znajomości języka rosyjskiego mówi w języku naszych wschodnich sąsiadów z wyraźnym polskim akcentem. Ten akcent w zamyśle autorów filmu ma być akcentem greckim. Czaruje on w ten sposób miliony Rosjan niepodświadomie prawdziwego rodowodu ich ulubieńca.

Antypolonizm

Na tę pikantną rysę dzisiejszego życia kulturalnego Rosji można by było nie

zwracać uwagi, gdyby nie to, że w tym kraju od lat jest prowadzona na wyjątkowo szeroką skalę antypolska kampania propagandowa, charakteryzująca się oczernianiem prawie wszystkiego, co polskie. Źródło tej kampanii tkwi we wspólnej trudnej, niekiedy krwawej i niezwykle skomplikowanej historii dwóch narodów.

Ostatnio aktywnie zaangażował się w tę kampanię prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin, obarczając Polskę winą za wybuch drugiej wojny światowej, rozbiór Czechosłowacji wspólnie z III Rzeszą w 1938 r., niewdzięczność Polaków za wyzwolenie swego kraju spod okupacji niemieckiej i inne ciężkie przewinienia. Gwoli sprawiedliwości trzeba odnotować, że na tle innych polskich win obecnych w wewnętrznej rosyjskiej przestrzeni propagandowej oskarżenia Putina wyglądają stosunkowo niewinnie. Czołowi rosyjscy propagandyści posuwają się o wiele dalej. Prym wiedzie grupa pisarzy, na czele z Jurijem Muchinem (autorem prawie bestsellerowej książki „Prawda o Katyniu”), zaprzeczających odpowiedzialności Stalina i jego otoczenia za zbrodnię katyńską i inne przestępstwa przeciwko Polakom okresu stalinizmu.

Przytoczmy jeden skandaliczny przykład przeinaczenia prawdy historycznej we współczesnej Rosji. Prawie 10 lat temu na ekrany tzw. wspólnego państwa białorusko-rosyjskiego (ZBiR)



Kadr z filmu „Wiking”, wpisującego się w ideę nowego nacjonalizmu rosyjskiego FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przy granicy. Raptem maszynista musi ostro hamować, bo partyzanci polscy postawili pośrodku torów i przywiązali do drzew z obu stron torów złapanego sowieckiego oficera. Liczą na to, że sowiecki pociąg rozjedzie swego żołnierza. Oczywiście lejtnant Burow, który w wykonaniu Bezrukowa przypomina sowieckiego Jamesa Bonda, ratuje nieszczęśliwca, trafiając z pistoletu w sznurki trzymające niedoszłą ofiarę na torach.

Odnotujmy gwoli sprawiedliwości, że zarówno autorzy filmu, jak i autor książki (Oleg Smirnow), na podstawie której ten film nakręcono, nie byli odkrywcami potwornego „okrucieństwa” Polaków. Przytoczony epizod filmowy prawdopodobnie oparty jest na fabule XIX-wiecznej pierwszej w historii rosyjskiej opery Michała Glinki „Życie za cara”, w czasach sowieckich zgodnie z poprawnością

polityczną przemianowanej na „Iwana Susanina”. Główny bohater opery Glinki Iwan Susanin w 1612 r. w okresie smuty w państwie rosyjskim podjął się zadania przeprowadzić przez lasy smoleńskie w charakterze przewodnika oddział żołnierzy polskich (litewskich) celem doprowadzenia do ukrywającego się w jednej ze wsi cara Michała Fiodorowicza. Zamiast do cara Iwan Susanin zaprowadził Polaków w bagna wśród chaszczy, gdzie czekała ich niechybna śmierć. W odwecie Polacy urządzili Susaninowi straszną kaźń. Rozerwano go na pół, przywiązawszy jedną nogę do jednej pochylonej brzozy, a drugą do drugiej... I drzewa puszczono. W filmie „W czerwcu 1941 roku” zawarto więc swoistą powtórkę z historii okrucieństwa Polaków.

Historia Iwana Susanina to program szkolny. Wiedzą o tym wszyscy. Co więcej, historia Susanina weszła za Bugiem do folkloru ludowego. Dość często we współczesnej Rosji, podobnie jak na Białorusi lub wschodniej Ukrainie, dochodzi do sytuacji, kiedy ktoś rzuca człowiekowi, który pomylił lub nie zna drogi: „A ty, Iwanie Susaninie”. Jak widzimy, Iwan Susanin mimo swej nieludzkiej śmier-

ci nadal żyje – żyje na terenie byłego Związku Sowieckiego i niestety żyje w propagandzie rosyjskiej.

Rywalizacja trwa

Czy Rosja Putina prowadzi dziś przeciwko Polsce wojnę propagandową? Na tak postawione pytanie trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Polsko-rosyjska rywalizacja we wschodniej i w centralnej Europie ma długą oraz bolesną historię. Polacy na równi z Rosjanami są jedynymi w świecie słowiańskim (może poza Serbami na Bałkanach) narodami, które mają jako część składową narodowej samoświadomości historycznej ideę mesjańską. Polsko-rosyjska rywalizacja o duchowe przywództwo w świecie słowiańskim trwa już co najmniej siedem stuleci. Polacy tę walkę o zjednoczenie wokół idei Rzeczypospolitej wielu narodów – Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i innych mieszkańców wschodniej Europy – w końcu przegrali. W wyniku rozbiorów, 123 lat niewoli, krwawych doświadczeń XX w. Polska już nie konkuruje z Rosją jak równy z równym.

Przed upadkiem Związku Sowieckiego wydawało się, że ta walka ostatecznie zakończyła się wielkim triumfem Rosjan. Tak jednak się nie stało. Rosyjska idea mesjańska doznaje dziś porażki. Dzieje się to powoli, ale bardzo boleśnie dla Rosji oraz Rosjan, a także z wielkimi oporami. Odpadła Ukraina w wyniku wojny w Donbasie i utraty Krymu. Ostatnie wydarzenia na Białorusi są jaskrawym dowodem ostatecznej utraty rosyjskich wpływów na terenie dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Dzisiejsza rosyjska antypolska propaganda na tle głębokiego kryzysu duchowego w Rosji stanowi podstawowy element kampanii przeciwdziałania utracie idei mesjańskiej. Napadając na Polskę, rosyjscy propagandyści od ideologii podejmują próbę ratowania tego, czego nie da się uratować. Jest to próba zachowania idei imperialnej, próba w zarodku skazana na niepowodzenie, świat cywilizowany podąża bowiem w XXI w. zupełnie w innym kierunku.

Jakie podstawowe winy Polski i Polaków wymieniają dziś rosyjscy propagandyści? Są to rzekome krzywdy wyrządzone Rosjanom przez Polaków:

wyszedł czteroodcinkowy serial telewizyjny „W czerwcu 1941 roku”. Film ten w koprodukcji rosyjsko-białoruskiej w reżyserii Aleksandra Franckiewicza-Łaje od tego czasu kilkakrotnie pokazywano na antenie. Zawiera on tak drastyczne fałszowanie historii, że inaczej niż paszkwilem nazwać go nie sposób.

Gdyby uwierzyć autorom filmu, w przededniu napaści III Rzeszy na stalinowski Związek Sowiecki na byłych północno-wschodnich kresach aktywnie działała polska partyzantka, powiązana w rządzie emigracyjnym w Londynie, która uderzyła Armię Czerwoną w plecy, kiedy Niemcy rozpoczęli natarcie. Polacy-partyzanci stosują wobec czerwonoarmistów podstępne, okrutne metody walki. W filmie jest taki epizod: pociąg pasażerski z głównym bohaterem filmu lejtnantem Iwanem Burowem (gra go prawdopodobnie najbardziej dziś popularny aktor rosyjski Siergiej Bezrukow) posuwa się przez las w stronę końcowej stacji kolejowej



1. Podbój „odwiecznych rosyjskich” ziem Ukrainy i Białorusi w okresie RP szlacheckiej.

2. Próba likwidacji prawosławia na terenach I RP w wyniku unii brzeskiej z 1596 r. Stworzenie cerkwi unickiej.

3. Próba „skatoliczenia” Rosji w okresie wojen początku XVII stulecia. Podbój Moskwy w 1612 r.

4. Udział Polaków w wojnach napoleońskich przeciwko Rosji. Spalenie Moskwy w 1812 r.

5. Zbrojne wystąpienie przeciwko Rosji w czasie wojny krymskiej – przemyśle z Turcją i innymi przeciwnikami Rosji w latach 1853–1856.

6. Ponadprzeciętny udział Polaków w rosyjskim ruchu rewolucyjnym pod koniec XIX i na początku XX stulecia. Zabójstwo cara Aleksandra II przez Polaka z kresów Ignacego Hryniewieckiego.

7. Zdrada polska w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Wizyty w Tokio Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego w celu nawiązania współpracy w walce przeciwko Imperium Rosyjskiemu. Przyjęcie pomocy finansowej od Japończyków w celu organizacji działań dywersyjnych na tyłach armii rosyjskiej.

8. Udział legionów polskich pod dowództwem Józefa Piłsudskiego w wojnie po stronie państw centralnych przeciwko armii rosyjskiej w okresie pierwszej wojny światowej.

9. Aktywny udział komunistów polskich na czele z Feliksem Dzierżyńskim w czerwonym terrorze. Wymordowanie przez polskich czekistów setek tysięcy „białych Rosjan”.

10. Stworzenie antybolszewickiego polsko-ukraińskiego przymierza w czasie wojny domowej w Rosji. Pochód na Kijów w 1920 r.

11. Wymordowanie 50–80 tys. jeńców sowieckich, którzy znaleźli się w polskiej niewoli w latach wojny polsko-bolszewickiej 1919–1920.

12. Agresywna antysowiecka polityka II Rzeczypospolitej. Poparcie przez Polskę licznych ruchów antybolszewickich.

13. Współodpowiedzialność Polski za wybuch drugiej wojny światowej. Przyjazne stosunki z III Rzeszą. Udział w rozbiórze Czechosłowacji w 1938 r.

14. Zdrada Polaków podczas drugiej wojny światowej. Odmowa polskiej armii pod dowództwem



Prezydent Władimir Putin podczas ceremonii położenia kamienia węgielnego pod główną cerkiew armii rosyjskiej

FOT. KREMLIN.RU/WIKIPEDIA

gen. Władysława Andersa wzięcia udziału we wspólnej walce z Wehrmachtem. Odejście armii polskiej ze Związku Sowieckiego latem–jesienią 1942 r. do Iranu w momencie decydujących krwawych walk bitwy stalingradzkiej.

15. Operacja „Burza”. Próba politycznego i zbrojnego wystąpienia przeciwko Armii Czerwonej w końcowym okresie drugiej wojny światowej.

16. Próba dyskredytacji ogromnego wysiłku Armii Czerwonej w sprawie wyzwolenia Polski spod okupacji niemieckiej. Powstanie Warszawskie jako dowód podważenia jedności koalicji antyhitlerowskiej.

17. Pomoc Węgrom w 1956 r. Wydarcia poznańskie i „polski październik” jako narzędzie osłabienia Układu Warszawskiego.

18. Niewdzięczność za ogromną pomoc materialną w powojennej odbudowie kraju i stworzenie w PRL nowoczesnego przemysłu.

19. Związek zawodowy Solidarność jako najbardziej skuteczne narzędzie zniszczenia światowego systemu socjalistycznego.

Półprawda z fałszem

To jedynie najważniejsze zarzuty rosyjskiej propagandy wobec Polski i Polaków. Są najczęściej używane w wojnie propagandowej prowadzonej przez Rosję Putina. Pełna lista podobnych zarzutów zawiera kolejne dziesiątki pozycji.

Większość przytoczonych zarzutów przeznaczona jest wyłącznie na użytek

wewnętrzny i jest oparta na większej lub mniejszej ignorancji zwykłych Rosjan wobec prawdziwej historii stosunków polsko-rosyjskich. Weźmy na przykład rzekomą odmowę żołnierzy gen. Andersa, aby wyruszyć na front i wziąć udział w bitwie stalingradzkiej. Dla zdecydowanej większości Rosjan wojna ojczyzniana to jakby nowa religia, święte zwycięstwo nad faszyzmem. Każde zwątpienie w to „święte zwycięstwo” odbiera się przez nich jako osobista obraza.

Dlatego tak łatwo uwierzyć im w „zdradę” andersowców. Natomiast w rzeczywistości nikt prawie nie wie, że ci andersowcy to przeważnie niedobitki ze stalinowskiego GUŁagu, które jeszcze wczoraj były prawie chodzącymi szkielecikami, umierającymi z głodu. Sam Anders wyszedł z więzienia na Łubiance jako inwalida i poruszał się początkowo o kulach. Nie mówiąc już o Katyniu. I ci ludzie mieli umierać dla ratowania swych wczorajszych katów?

Przy całej swej różnorodności i odległości czasowej tę krótką listę rosyjskich antypolskich zarzutów łączy jedna wspólna cecha. W każdym z nich zastosowano dla nadania większej wiarygodności jedną stosunkowo prostą metodę – łączenie prawdy lub półprawdy z przeinaczeniem faktów historycznych i otwartą falsyfikacją. Niektóre zarzuty mają uniwersalny ponadczasowy i ponadsystemowy charakter. Zarówno rosyjska władza carska, jak i komunistyczna oraz postkomunistyczna stawiają prawie identyczne zarzuty Polsce i Polakom. Dziedzictwo w tej materii jest znamienne, powoduje kształtowanie w społeczeństwie rosyjskim postaw wrogich, antagonistycznych wobec Polaków. Utrudnia to dialog międzyludzki i nie rokuje nam nic dobrego w przyszłości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Monarchia / Księżę Jerzy, diuk Kentu

Jerzy, książę Kentu,
i gen. Władysław Sikorski

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS

Anglik na tronie Polski

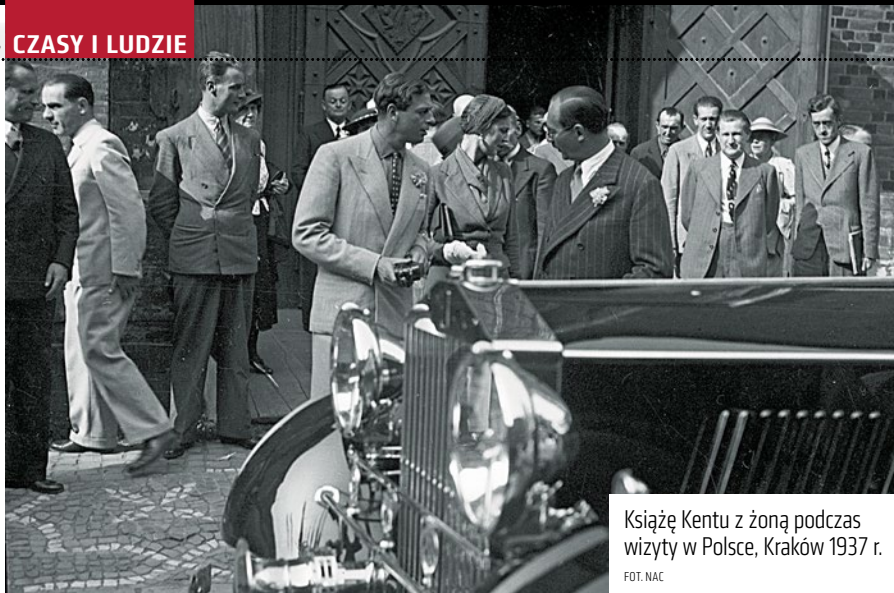


Radosław Golec

/ Podczas drugiej wojny światowej na emigracji pojawił się pomysł koronowania brytyjskiego arystokraty na polskiego monarchę

Windsor królem Polski? Dla większości Polaków pomysł taki wydaje się absurdalny i szalony, a w najlepszym razie może wzbudzać ironiczny uśmiech na twarzach zarówno zwolenników współczesnej „Polski dla Polaków”, jak i liberalnych demokratów. Dla kogoś jednak, kto zechce zagłębić się w rodzimą historię, jasne będzie, że kandydatury znanych Brytyjczyków do polskiej korony były całkiem serio roz-

patrywane w przeszłości. Co ciekawe, idea restaurowania monarchii w powojennej Rzeczypospolitej i postawienia na jej czele jednego z przedstawicieli angielskiej rodziny królewskiej zrodziła się w głowie premiera rządu na uchodźstwie i naczelnego wodza Władysława Sikorskiego, którego trudno posądzać o sympatie monarchistyczne. Do pewnego stopnia pomysł ten był przez niego konsekwentnie realizowany i – jak zapisał jego sekretarz Karol Estreicher – stanowił „największą tajemnicę Jenerała”.



Księżę Kentu z żoną podczas wizyty w Polsce, Kraków 1937 r.

FOT. NAC

■ Sikorski wierzył, że osoba króla na czele planowanej przez niego unii polsko-czechosłowackiej, a w późniejszym okresie federacji krajów środkowoeuropejskich wzmocni jej jedność i pozwoli przeciwstawić się zarówno niemieckiemu zagrożeniu, jak i rosyjskiemu/sowieckiemu. Monarcha pochodzący z Windsorów zaś zapewni wsparcie imperium brytyjskiego dla jej niezależności i nienaruszalności granic. Co zaskakujące, generał nie był odosobniony w swoich planach. Koncepcję Sikorskiego popierało także wielu jego przeciwników politycznych: monarchiści spod znaku Cata-Mackiewicza, gen. Kazimierz Sosnkowski, jeden z największych krytyków jego polityki Ignacy Matuszewski, przedstawiciele Kościoła na czele z prezydenckim kapłanem ks. Zygmunt Kaczyńskim, a nawet część socjalistów pokroju Hermana Liebermana.

Angielskie obawy

Wybrańcem Sikorskiego do polskiej korony został posługujący się tytułem księcia Kentu młodszy brat króla Jerzego VI – książę Jerzy (brano pod uwagę również któregoś z Habsburgów). Młody diuk posiadał wszelkie zadatki na władcę. Był wysoki, niezwykle przystojny i wszechstronnie wykształcony. Uwielbiał sztukę i sport. Wrodzony wdzięk z powodzeniem wykorzystywał na europejskich salonach arystokratycznych. W młodości prowadził hulastyczny tryb życia, za który zapłacił uzależnieniem od morfiny i kokainy. Był stałym bywalcem klubów nocnych. Wiązał się w liczne romanse, także homoseksualne. Na liście jego kochanków znajdowali się

m.in. argentyński ambasador, sowiecki szpieg

Anthony Blunt oraz słynny brytyjski aktor i śpiewak Noël Coward.

W połowie lat 30. ambitny diuk całkowicie zerwał z dotychczasowym stylem prowadzenia się. Ożenił się z grecką księżniczką Mariną i aktywnie zainteresował się polityką. Został przywódcą brytyjskiej loży masonskiej. Chętnie odwiedzał III Rzeszę i pośredniczył w kontaktach dworu królewskiego z nazistami. W przededniu drugiej wojny światowej brał udział w zakulisowych negocjacjach brytyjsko-niemieckich, które miały na celu zachowanie pokoju.

W sierpniu 1937 r. książę nawiązał kontakty z Polakami i po raz pierwszy odwiedził Polskę. W zastępstwie angielskiego monarchy gościł u Potockich w Łańcucie. Rozmawiał tam z Józefem Beckiem i najważniejszymi przedstawicielami rodzimej arystokracji. Zwiedził Kraków i Katowice. Wszędzie, gdzie się pojawił, przyjmowany był z igraszką królewskim rozmachem. Podróż zrobiła na nim ogromne wrażenie. Do końca życia z sentymentem wspominał swój pobyt. Wówczas to w prasie po raz pierwszy pojawiły się pogłoski o jego kandydaturze na króla Polski, którą mieli zgłosić krajowi monarchiści. Jego wizytę zorganizowali państwo Poklewscy-Koziełł: Zoja (wnuczka dyplomaty, który doprowadził do sprzedaży Alaski Stanom Zjednoczonym) oraz Alfons, który w czasie wojny stał się bezpośrednim łącznikiem między księciem Kentu a premierem Sikorskim.

Generał nie miał okazji poznać księcia podczas jego pobytu w Łańcucie. Był wówczas persona non grata na polskich salonach, osobą całkowicie odsuniętą od pełnienia jakichkolwiek funkcji

państwowych. Po raz pierwszy spotkał go w listopadzie 1939 r. już jako premier i wódz naczelny podczas swojej wizyty na polskich okrętach wojennych zakotwiczonych w Szkocji. To wówczas zdecydował się na forsowanie kandydatury diuka, czemu dał wyraz w rozmowach z Brytyjczykami na temat powojennej unii polsko-czechosłowackiej. „Obecnie Sikorski wydaje się skłaniać ku jakiejś widocznej i symbolicznej więzi między nimi w formie monarchii” – zanotował urzędnik Foreign Office. „Dobre wrażenie, jakie podczas pobytu w Szkocji wywarł na nim Księżę Kentu, zdaje się podsuwać myśl o nim jako o kandydacie. Według mnie to jest dziki pomysł. Polacy są nieuleczalnie romantyczni”.

Propozycje Sikorskiego spotkały się z chłodnym przyjęciem wśród dyplomatów rządu Jego Królewskiej Mości. Mimo to, pamiętając o swoich udanych doświadczeniach z restaurowaniem monarchii w Grecji z marionetkowym, zagranicznym królem (lata 30. XIX w.), zlecieli oni sporządzenie raportu na temat możliwości odtworzenia królestwa w powojennej Polsce.

Dość optymistyczne w swojej treści sprawozdanie poddano dalszej analizie w brytyjskim MSZ, co znacznie schłodziło płynące z niego wnioski. „Precedensy obcych (czy nawet rodzimych) królów Polski nie są zbyt szczęśliwe i ludność w Polsce niekoniecznie podzieli entuzjazm (o ile takowy w ogóle istnieje) tutejszych Polaków dla angielskiego króla, którego ze sobą przywiozł” – pisał dyplomata Frank Roberts. „Angielski król w Warszawie niekoniecznie ułatwi brytyjskie stosunki z Rosją, a za to może nas narazić na różne poważne zobowiązania”.

Sceptyczne podejście urzędników Albionu nie ostudziło zapału premiera do próby realizacji swojego pomysłu. Zmienił on jednak taktykę. Zamiast rozmawiać na ten temat z politykami, zwrócił się bezpośrednio do pałacu Buckingham. Jednak z uwagi na delikatność omawianej kwestii zdecydował się użyć drogi zakulisowej, co pozwalało na uniknięcie niepotrzebnego rozgłosu. Skorzystał on z usług wieloletniego przyjaciela rodziny królewskiej Louisa Greiga. Poprosił go o dyskretne zbadanie, jakie byłoby stanowisko króla wobec polskiej oferty. „Tą nieoficjalną drogą nadeszła odpowiedź w zasadzie przychylna” – wspominał szef gabinetu



wodza Zygmunt Borkowski. „W lecie 1941 r. mówił mi Sikorski, że dwór (król) zgodził się nieoficjalnie na kokie-towanie się wzajemne Polski i księcia Kentu” – pisał z kolei w swoim dzienniku sekretarz generała.

Według innej wersji kandydatura diuka miała zostać zgłoszona przez samego zainteresowanego. Dzisiaj trudno jednoznacznie stwierdzić, która strona była inicjatorem pomysłu. Nie ma to jednak większego znaczenia, biorąc pod uwagę to, że zarówno Sikorski, jak i rodzina królewska byli żywo zainteresowani współdziałaniem w tym zakresie. Najbliższa rodzina diuka przyjęła tę szansę z radością. Zwłaszcza jego kilkuletni synek, któremu polscy żołnierze wykonali piękną tarczę z białym orłem w koronie. Mały książę powiesił ją nad swoim łóżkiem i nikomu nie pozwalał zbliżyć się do godła, nawet swojej siostrze.

Od czasu przeniesienia rządu Sikorskiego z Francji do Wielkiej Brytanii książę Kentu trzymał się blisko polskich spraw. Kontakty z Polakami ułatwiał mu Poklewski-Kozieł, którego premier mianował wiceprezesem Polskiego Czerwonego Krzyża. Była to funkcja wyłącznie symboliczna. W rzeczywistości miał inną, znacznie ważniejszą: dbanie o doskonałe relacje diuka z jego przyszłymi moddanymi.

Niezwykle ambitny książę poważnie potraktował szansę, którą dawała mu kandydatura. W lipcu 1940 r. dokonał uroczystego otwarcia najważniejszego ośrodka polskiego na mapie Londynu – Ogniska Polskiego, gdzie napływający do stolicy rodacy mogli otrzymać namiastkę ojczyzny, uzyskać doraźną pomoc i gdzie organizowałyby się polskie życie kulturalne. Jako oficer RAF diuk w czasie wojny regularnie odwiedzał polskie oddziały stacjonujące w Wielkiej Brytanii. Przyjmował kompanie honorowe, rozmawiał z żołnierzami, spożywał wspólne posiłki i obserwował pokazy umiejętności bojowych. Wszędzie, gdzie się pojawiał, wzbudzał sympatię Polaków.

Także Sikorski pozostawał w szczególnie bliskich relacjach z diukiem – został jego sąsiadem w podlondyńskiej miejscowości Iwer. „Widziałem nieraz, jak [książę] przełaził przez płot dzielący dwie posesje, by wpaść do Generała na sąsiedzką pogawędkę” – wspominał Zygmunt Borkowski. Także Sikorski zaglądał do diuka. Często pojawiał się również

w jego posiadłości w Szkocji. Rezydencję księcia Kentu od szkockiej posiadłości premiera Gask dzieliło zaledwie 30 km. Wystarczająco niewiele, aby utrzymywać regularny kontakt. Panowie spotykali się średnio raz w tygodniu. Czy podczas tych spotkań omawiano tylko jego kandydaturę na króla Polski? Wszystko wskazuje na to, że dyskutowano sprawy najwyższej wagi, a nawet rozpatrywano możliwość zakończenia wojny za plecami brytyjskiego rządu.

W dniu, w którym Rudolf Hess wyładował na jednej ze szkockich farm nieopodal willi księcia Hamiltona, w posiadłości przebywała grupa tajemniczych gości. Świadkowie zapamiętali, że wśród zgromadzonych znajdował się książę Kentu wraz z kilkoma polskimi oficerami. Nie wiadomo, co 10 maja 1941 r. Polacy robili w miejscu, które za cel postawił sobie Hess. Pikanterii całej sprawie dodaje to, że po aresztowaniu Hessa przez członków obrony terytorialnej pierwszą osobą, która go przesłuchiwała, był polski konsul z Glasgow Roman Battaglia. Zjawił się znikąd i przez dwie godziny rozmawiał z nazistą po niemiecku, w języku, którego nie znał żaden z obecnych podczas przesłuchania Brytyjczyków. Było to o tyle dziwne, że Hess doskonale władał językiem angielskim.

Czy gen. Sikorski dowiedział się wcześniej o planowanej misji Niemca? Tłumaczyłoby to obecność w zapiskach w jego „Dzienniku czynności” nerwowość i naleganie na jak najszybszy powrót ze Stanów Zjednoczonych. Wódz naczelny



RADOSŁAW GOLEC
„GENERAL I DIUK”

FRONDA

powrócił ze swojej pierwszej wyprawy za ocean dokładnie 12 godzin po przylocie Hessa, lądując kilkadziesiąt kilometrów od willi Hamiltona. Polski wywiad już wówczas wiedział, że wybuch wojny niemiecko-sowieckiej jest tylko kwestią najbliższego czasu. W tej sytuacji polskie władze musiały zdawać sobie sprawę, że Niemcy mogą podjąć próbę wynegocjowania z Anglikami separatystycznego pokoju, co zapewniłoby im spokój na zachodzie Europy.

Kiedy pojawiła się szansa uczestniczenia w tych pertraktacjach (dzięki diukowi, któremu obiecano koronę przyszłej Polski), generał nie mógł odrzucić tej szansy. Obecność Polaków przy stole negocjacyjnym zabezpieczyłaby polskie interesy, tj. jako warunek podpisania porozumienia postawiono by zapewne postulat odtworzenia niepodległej Rzeczypospolitej. Niestety, z braku dostatecznych dowodów skazani jesteśmy w tej sprawie na poszlaki i spekulacje.

Tajemnicza śmierć w katastrofie

Książę Kentu miał duży wpływ na najważniejsze polityczne decyzje podejmowane przez polskiego przywódcę. To on ostatecznie przekonał generała do podpisania umowy z Sowietami w lipcu 1941 r., znanej jako układ Sikorski-Majski.

Porażką premiera okazała się próba prawnego zagwarantowania diukowi miejsca w przyszłej polskiej konstytucji. Istotnym elementem pracy nad nową ustawą zasadniczą było pozostawienie w niej możliwości powołania monarchii, co utworzyłoby Windsorowi drogę do objęcia tronu. Opracowany przez specjalną komisję projekt został jednak zdecydowanie odrzucony w Radzie Narodowej przez socjalistów.

Ostatecznie mrzonki o odtworzeniu w Polsce monarchii pod brytyjskim berłem zakończyła tragiczna śmierć księcia Kentu w sierpniu 1942 r. Zginął w tajemniczej katastrofie lotniczej. Z niewyjaśnionych powodów jego samolot rozbił się o jedno ze wzgórz północnej Szkocji. Podobno leciał do Szwecji prowadzić rozmowy pokojowe z Niemcami. Jego polski przyjaciel, który chciał go zrobić królem, podzielił jego los rok później w Gibraltarze...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Amerykański P-38 Lighting
i zestrzelony japoński
Mitsubishi G4M wiozący
admirala Yamamoto FOT. ARCHIWUM

1943 r. / Kulisy operacji „Zemsta”

Polowanie na Yamamoto



Piotr Zychowicz

/ Amerykanie dopadli i zabili najsłynniejszego japońskiego dowódcę admirała Yamamoto. Był to efekt karygodnego błędu japońskich szyfrantów

Klucz samolotów przeciągał ponad archipelagiem. Zieleń dżungli pokrywająca wyspy kontrastowała z błękitem oceanu. W skład formacji wchodziły dwa bombowce Mitsubishi eskortowane przez sześć myśliwców „Zero”. Słońce odbijało się od stalowych skrzydeł maszyn, na których widniały duże krwistoczerwone koła. Symbol sił powietrznych imperium Japonii.

To miał być rutynowy lot. Nie spodziewano się kłopotów. Była godz. 9.34, gdy pilot prowadzącej maszyny zastygł za

sterami z przerażenia. Z chmury wyłoniły się bowiem zarysy samolotów. Jeden, drugi, trzeci... osiemnaście! Charakterystyczne sylwetki nie pozostawały żadnych złudzeń. To były amerykańskie dwukadłubowe samoloty P-38 Lightning. Alarm! Nieprzyjaciół na horyzoncie!

Wydarzenia potoczyły się z zawrotną prędkością. Myśliwce „Zero” stanowiące eskortę bombowców odrzuciły dodatkowe zbiorniki z paliwem i z rykiem silników rzuciły się do przodu na przeciwnika. Obie strony otworzyły ogień z pokładowych karabinów maszynowych. Powietrze pruły serie pocisków, samoloty wykonywały niesamowite akrobacje. Japończycy i Amerykanie zwarli się w śmiertelnym starciu.

Bombowce nie brały udziału w walce. Ich piloci rzucili się do ucieczki. Tego dnia dwa mitsubishi G4M – przez aliantów nazywane pieszczotliwie „Betty” – nie miały na pokładzie bomb. Samoloty przewoziły znacznie ważniejszy i cenniejszy ładunek. Był nim legendarny adm. Isoroku Yamamoto wraz ze swoim sztabem. Dowódca cesarskiej floty, pod którego dowództwem zadała ona Anglosasom wiele upokarzających klęsk. Na czele z Pearl Harbor.

18 kwietnia 1943 r. – gdy rozgrywały się te dramatyczne wydarzenia – adm. Yamamoto przebywał na inspekcji japońskich jednostek na Wyspach Salomona. Wraz ze swoją świtą leciał pierwszym bombowcem, w drugim znajdował się szef sztabu Matome Ugaki wraz z innymi oficerami. Gdy myśliwce „Zero” w desperackiej, bohaterskiej szarży próbowały rozpędzić napastników, bombowce Mitsubishi zanurkowały w stronę dżungli.

Ziemia była dla nich jedynym ratunkiem. Niestety, ziemia była zbyt daleko. A przewaga nieprzyjaciela zbyt duża.

– Zostaw „Zera”, Tom! – krzyczał do interkomu dowodzący amerykańską misją mjr John W. Mitchell. – Wal na bombowce! Dorwij bombowce! Niech to szlag trafi, bombowce!

Część samolotów P-38 rzuciła się w pościg. Kapitan Thomas G. Lanphier wyrwał się „Zerom” i szybko znalazł się na ogonie japońskiego bombowca. Powolne japońskie maszyny były bez szans. Lanphier otworzył ogień. Serie pocisków przeszyły samolot Mitsubishi. Prawy silnik i skrzydło stanęły w płomieniach. Bombowiec w zawrotnym tempie pikował ku ziemi. Pozostawiał za sobą czarny ogon gęstego, smolistego dymu.

Już nad samą ziemią dosięgła go kolejna seria Amerykanów. Górna część ogona rozleciała się w drobne kawałki. Ułamek sekundy później bombowiec z impetem huknął w drzewa. Ponad miejscem wyrąbanym w dżungli w momencie kraksy zaczął unosić się dym płonącego wraku. Rozbitym samolotem był samolot adm. Yamamoto.

Amerykanie, nie wiedząc, w którym bombowcu znajdował się dowódca floty cesarskiej, popędzili tymczasem za drugą „Betty”.

Maszyna Ugakiego zachybotała się od trafienia w prawe skrzydło i runęła ku morzu – pisał amerykański reporter John Toland, który po latach przeprowadził wywiad z japońskim szefem sztabu. – Pilot ściągnął stery, ale nie mógł wyjść z nurkowania. Mitsubishi wpadł do wody.

Koniec z Ugakim! – powiedział szef sztabu sam do siebie, gdy ogarnęła go woda. Po ciemku nie próbował walczyć. Jakby we śnie zobaczył nad sobą światło i poczuł, jak unosi się ku powierzchni. Ciężko chwycił powietrze. Skrzydło samolotu płonęło, wszystko inne zniknęło. Znajdował się niecałe 200 metrów od wybrzeża i zaczął płynąć żabką. Wyczerpany, sięgnął unoszącej się na wodzie skrzyni, ale nie mógł się utrzymać i dopiero wtedy uświadomił sobie, że ma złamaną prawą rękę. Przywarł do skrzyni lewą i przebijając nogami, dopłynął do samego brzegu.

Oprócz wiceadmirała Matome Ugakiego przymusowe wodowanie przeżyło jeszcze dwóch Japończyków. Był to prawdziwy cud. Tymczasem amerykańskie samoloty zatoczyły koło ponad wybrzeżem wyspy Bougainville, obserwując dramatyczne efekty walki. Po czym triumfalnie zawróciły w stronę bazy.

Operacja „Vengeance” („Zemsta”) Sił Powietrznych USA dobiegła końca. Człowiek, który zniszczył amerykańską flotę w zatoce Pearl Harbor, największy japoński dowódca i bohater wojenny, nie żył. Azjatyckiemu imperium zadany został wyjątkowo dotkliwy i bolesny cios.

Wojna szyfrów

Wielkie tragedie historyczne często mają swój początek w drobnych ludzkich błędach i zaniedbaniach. Tak właśnie było w przypadku śmierci Yamamoto. Pięć dni wcześniej Japończycy nadali bowiem przez radio nie tylko informacje o podróży inspekcyjnej admirała, lecz także jej dokładny harmonogram. Mało tego, w wiadomości znalazły się typy i numery samolotów, które miały wejść w skład



Admirał Isoroku Yamamoto

FOT. WIKIPEDIA

podniebnego orszaku admirała!

Stało się tak mimo wyraźnego sprzeciwu kmdr. Watanabe, który obawiał się, że depesza może zostać przechwycona przez nieprzyjaciela. I chciał ją przesłać w tradycyjny sposób, za pomocą kuriera. Jego obawy zostały jednak wyśmiane.

Oficer łączności 8. Floty uznał, że japoński szyfr jest nie do złamania. Popełnił katastrofalną w skutkach pomyłkę. Depesza została nie tylko przechwycona przez Amerykanów, lecz także odczytana. O świcie 14 kwietnia 1943 r. nieprzyjacieli znał już dokładną treść dokumentu.

Amerykanie dowiedzieli się, że Yamamoto 18 kwietnia punktualnie o godz. 6 czasu tokijskiego opuścił Rabaul, aby polecieć na lotnisko Balalae na Wyspach Salomona. W bezpośrednim sąsiedztwie wyspy Bougainville.

Był to największy sukces supertajnego projektu „Magic”, w ramach którego Amerykanom udało się złamać japońskie kody. Co ciekawe, spory udział mieli w tym służący w wywiadzie USA Amerykanie japońskiego pochodzenia, tzw. Nisei. To właśnie jeden z nich, nazywał się Harold Fudenna, jako pierwszy przechwycił i odczytał depeszę dotyczącą lotu Yamamoto.

Wspomniani Nisei służyli wiernie i ofiarnie Stanom Zjednoczonym, mimo że Stany większość przedstawicieli mniejszości japońskiej w USA potraktowali paskudnie. Ludzie ci zostali internowani i ograbieni z własności. W ten sposób Amerykanie odbili sobie na bezbronnych Nisei upokorzenia z pierwszych miesięcy wojny z Japonią. Pretekstem do tych drakońskich działań była – niepodparta żadnymi dowodami – obawa, że Nisei stanowią potencjalną piątą kolumnę.

Wróćmy jednak do operacji „Vengan-

ce”. Kiedy Amerykanie odczytali wiadomość, początkowo nie mogli uwierzyć w jej autentyczność. Czy rzeczywiście Japończycy mogli być tak niefrasobliwi? Wkrótce jednak uznali, że stoją przed szansą wyeliminowania groźnego przeciwnika. A co za tym idzie – skruszenia morale narodu japońskiego.

Po początkowych wahaniach wynikających z oporów moralnych dowództwo na Pacyfiku dało zielone światło do akcji. Decyzję podjął adm. Chester Nimitz. Nie ma bezpośredniego dowodu, że wyrok śmierci na Yamamoto wydał prezydent Theodor D. Roosevelt. Jego wykonanie polecono natomiast lotnikom z 339. Szwadronu lotnictwa Stanów Zjednoczonych dowodzonego przez wspomnianego mjr. Mitchella.

Aby nie zostać zauważonym przez nieprzyjaciela, poprowadził on swoje P-38 nie prosto nad Bougainville (400 mil od bazy na Guadalcanal), ale drogą okrężną (600 mil od bazy). W sumie eskadra zabójców pokonała więc w trakcie misji 1 tys. mil (wracała już najkrótszą drogą). Czyli dokładnie tyle, ile wynosił zasięg maszyn. Gdy samoloty lądowały na lotnisku Guadalcanal, leciały na oparach paliwa. Silnik jednego z nich zgąsł w trakcie kołowania!

W operacji „Zemsta” Amerykanie stracili tylko jedną maszynę pilotowaną przez Raymonda K. Hine’a. O precyzji operacji może świadczyć to, że mimo kolosalnego dystansu Amerykanie na miejsce zasadzki dotarli... na 60 sekund przed Yamamoto. A może to nie była wcale precyzja, tylko zwykłe szczęście?

Maszynę Hine’a zestrzelił pilot jednego z myśliwców „Zero” Kenji Yanagiya, który rzucił się w pościg za napastnikami. Oddajmy zresztą głos japońskiemu oficerowi, który po wojnie ze szczegółami opisał walkę.

Było nas tylko sześciu – pisał. – Nie byliśmy w stanie obronić naszych dwóch bombowców przed wszystkimi napastnikami. Było ich zbyt wielu. Zobaczyłem jeden z bombowców idący w dół i zostawiający za sobą smugę dymu. I drugi walący się do morza. Wróg zaczął uchodzić z wielką szybkością.

Byłem pełen żalu. Poprzysięgłem natychmiastową zemstę. Samotnie rzuciłem się w ślad za Amerykanami. Myśliwce »Zero« miały bardzo duży zasięg 1929 mil. Wiedziałem, że Amerykanie mają swoją bazę na Guadalcanal. Postanowiłem spróbować i otrzymałem swoją szansę. Wkrótce złapałem jednego P-38 lecącego na wysokości 3,5 tys. m nad wyspą Kolombangara. Nie zauważył mnie.



Ostatnie zdjęcie admirała Yamamoto, wykonane w Rabaulu FOTOWIKIPEDIA

Wspiąłem się na 1000 metrów nad niego, a potem rzuciłem się na niego, aby trafić bez pudła. Wszystkie moje pociski trafiły w P-38. Samolot poszedł w dół do morza. Jego paliwo pozostawiało długi ogon białego dymu. P-38 został poważnie uszkodzony i nie miał najmniejszych szans na dotarcie do bazy. Zawróciłem.

Reszta Amerykanów dotarła bezpiecznie na Guadalcanal. Gdy samoloty po powrocie z misji kołowały na pasach startowych, towarzyszyły im oklaski i wiwaty zgromadzonych na lotnisku żołnierzy i marynarzy. Wieść o sukcesie roznosiła się szybko. Po zakończeniu misji z Guadalcanal wysłana została historyczna depesza do adm. Williama Halseya: „18 kwietnia to chyba nasz wielki dzień”.

Z kolei dla Japończyków śmierć Yamamoto była jednym z najczarniejszych dni wojny. Prawdziwym szokiem. Uznawany był on powszechnie za geniusza wojny morskiej. Japońska propaganda twierdziła, że dopóki dzielny admirał stoi na czele

cesarskiej floty, dopóty Amerykanie nie będą w stanie zwyciężyć. Nagle admirała zabrakło.

Dłoń na mieczu

Początkowo rząd Japonii o jego śmierci nie poinformował opinii publicznej. Na Bougainville wysłana została misja ratunkowa. Japońscy żołnierze przedarli się przez dżunglę i odnaleźli dymiący jeszcze wrak. Gdy przybyli na miejsce, nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Ciało adm. Yamamoto znajdowało się opodal rozbitej maszyny. Siła uderzenia o ziemię wyrzuciła je na zewnątrz razem z fotelem. Yamamoto nadal siedział w nim z opuszczoną głową. Dłoń w białej rękawiczce opierała na rękojeści samurajskiego miecza. Z daleka wyglądał, jakby był głęboko zamyślony.

Dopiero sekcja zwłok wykazała przyczynę zgonu. Okazało się, że w momencie kraksy admirał już nie żył. Jeszcze w powietrzu trafiły go dwie kule amerykańskiego karabinu maszynowego, które przeszły kadłub bombowca Mitsubishi. Jedna przeszła przez jego lewe ramie, a druga uderzyła w szczękę i wyszła ponad prawym okiem. To właśnie ta ostatnia rana – jak ustalili japoński lekarz dokonujący sekcji – zakończyła ziemską drogę cesarskiego wojownika.

Ciało adm. Yamamoto zostało skremowane na wyspie i wysłane do Japonii na pokładzie pancernika „Musashi”. Okrętu flagowego admirała. W urządzonym z kolosalną pompą państwowym pogrzebie – jak pisał John Toland w znakomitej książce „Wschodzące słońce” – wzięło udział milion Japończyków. Yamamoto pośmiertnie został mianowany marszałkiem i odznaczony najwyższym japońskim Orderem Chryzantemy. Adolf Hitler odznaczył go zaś Krzyżem Żelaznym z Liśćmi Dębu i Mieczami. Całe imperium pogrążyło się w żałobie.

Co ciekawe, wrak samolotu adm. Yamamoto do dziś leży w dżungli na wyspie Bougainville, która jest obecnie częścią nowego państwa – Papui-Nowej Gwinei. Z maszyny pozostał już tylko szkielet – wszystko, co dało się wyjąć lub wykryć, zabrali handlarze i kolekcjonerzy pamiątek historycznych. Samolot znajduje się na prywatnej ziemi, ale właściciel nie robi problemów i chętnie wpuszcza na nią turystów.

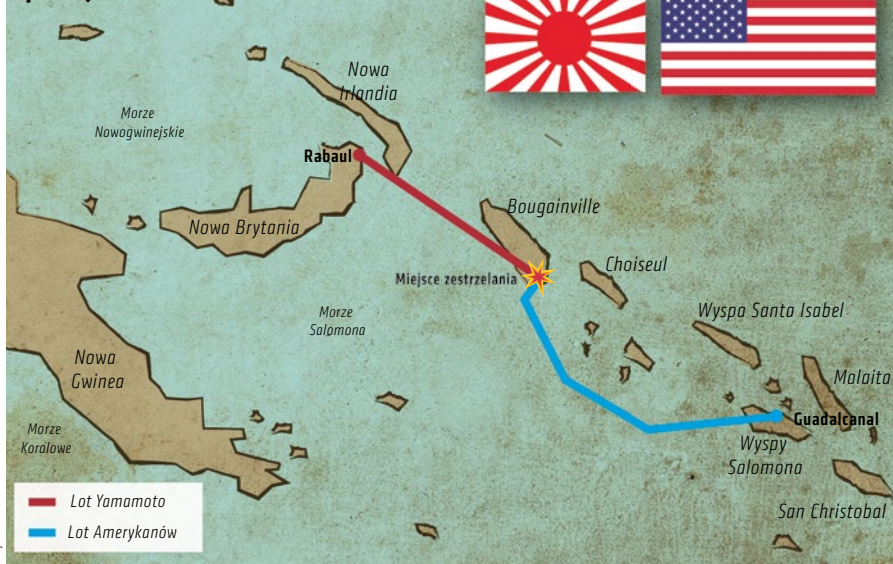
W USA długo trwała zaś burzliwa dyskusja na temat tego, kto właściwie zestrzelił mitsubishi z admirałem na pokładzie. Dwaj piloci (Thomas Lanphier i Rex Barber) przypisywali sobie tę zasługę, a spór – po ich śmierci – kontynuowali historycy. Próbowali go załagodzić sekretarz Sił Powietrznych Donald Rice.

„Historycy, piloci myślicieli i wszyscy inni, którzy badają tę niesamowitą misję – powiedział w 1993 r. – będą zawsze spierać się o szczegóły wydarzeń z tego dnia. Ale przecież chwała należy się całemu zespołowi”.

Trudno nie odmówić temu logiki. Amerykańscy piloci P-38, którzy dopadli i zabili adm. Yamamoto, do końca życia chodzi w historii bohaterów narodowych. To, co dla jednego narodu było wielką stratą i tragedią, dla drugiego było wielkim triumfem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Operacja „Zemsta” 18 kwietnia 1943 r.





Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



1914 /

Front Zachodni



Śmierć Władysława Szujewskiego w bitwie pod Sillery, obraz Jana Styki

FOT. WIKIPEDIA

34 kule sztandaru bajończyków



Marek Gałęzowski

/ Zanim powstała armia Hallera, u boku Francuzów z Niemcami dzielnie bili się polscy ochotnicy. Nazywano ich bajończykami

Przyczajeni czekamy, odłamki pocisków, padając, bryzgają na nas ziemią. Kapitan z nami, kilka ostatnich rozkazów. Jeszcze trzy minuty. [...] Już... En avant! Strzelać zakazano. Pędzimy, bagnetami podani naprzód. Niemcy strzelają. Ktoś koło mnie pada. Padł tak jak człowiek biegnący, któremu podcięto nogi, głową na dół. Już pierwsza linia okopów – przeskakujemy drugą. Rozkaz był zatrzymać się na trzeciej, ale gdzie

tam. Niemcy uciekają. I widać w polu, jak liczna gromada pędzi i chowa się do miasta Neuville-Saint-Vaast. Inna grupa, jeszcze większa, przeważnie bez broni, ucieka polami w stronę dominującego nad okolicą płaskowzgórza”.

Tak podczas pierwszej wojny światowej, w maju 1915 r., swój największy bój z Niemcami na froncie francuskim zwycięsko rozpoczął niewielki polski oddział wojskowy. Przeszedł on do historii pod nazwą bajończyków, uznany symbolicznie za protoplastę Armii Błękitnej gen. Józefa Hallera.

„Vive la Pologne!”

Nie minął jeszcze miesiąc od wybuchu wojny, kiedy wojska niemieckie zagroziły Paryżowi, podchodząc pod miasto wzdłuż rzeki Marny. Na front ściągano wszystkie siły, a 22 sierpnia 1914 r. w stolicy Francji odbyła się wielka demonstracja patriotyczna. Na pl. Inwalidów zjechały setki ochotników zamierzających wstąpić do armii. Wśród nich byli także przebywający we Francji Polacy. O przyczynach, które skłoniły ich do służby pod trójkolorowym sztandarem, czytamy w zapiskach jednego z nich: „Przeniknięci do głębi kulturą zachodnią, z francuskiego bogatego źródła do woli jej walory czerpiąc, wchłonięci zostali poza tym przez niezwykle silną więź wiekowej tradycji, łączącą ich ówczesne postanowienia z świetną pamięcią Legionów, przy boku Francji ongi tworzonych, z tradycją francusko-polskiego braterstwa broni, tylekroć krwią obopólną pieczętowanego. To był wzgląd jeden. Drugi – równie ważny, równie porywający, nierównie jednak głębszy i bardziej istotny – to służba Polsce. Walczyć z zaborcą, jednym z najgroźniejszych, świadczyć własną krwią i trudem żołnierskim o równie żywej, niepokonanej, wiecznie trwałej narodowej sprawie”.

Autor tych słów, 27-letni Marian Himner, był geografem i archeologiem, ledwie rok wcześniej uzyskał doktorat na Sorbonie i zaczął współpracę ze słynnym Muzeum Luwr. I tegoż 22 sierpnia był w grupie Polaków demonstrujących chęć udziału w obronie Francji, witanej przez paryżan starym hasłem: „Vive la Pologne!”. Słyszeli je po raz pierwszy przybywający na paryski bruk powstańcy listopadowi, później kolejne pokole-

nie niepodległościowych emigrantów, z których niektórzy bronili Francji przed bismarckowskimi Prusami w 1870 r. Wspomnijmy też, że trzy lata wcześniej słowa te rzucono w twarz carowi Aleksandrowi II, krótko po stłumieniu przezeń powstania styczniowego.

Od czasu sojuszu francusko-rosyjskiego zawartego na początku lat 90. XIX w. nie było ono już słyszane nad Sekwaną. Nadzieje Polaków, którzy tak jak Himner chcieli ochotniczo wstąpić do armii francuskiej, licząc, że będzie to miało jakiś wpływ na sprawę polską, nie miały podstaw. Francuzi uważali ją za wewnętrzny problem Rosji, której zresztą ambasada usilnie przeciwdziałała wszelkim próbom stworzenia jakiegokolwiek oddziału mającego walczyć pod polskim sztandarem.

W Bajonnie

Sama możliwość służby w armii francuskiej okazała się sprawą niełatwą. Francuzi wyjątkowo tylko przyjmowali do służby obcokrajowców, większość z nich oferowali natomiast służbę w Legii Cudzoziemskiej. Tam skierowano również polskich ochotników, którzy utworzyli kompanię narodową jako część 1. Pułku Legii (w sumie z ok. 500 chętnych przyjęto 300). Jeszcze 22 sierpnia Polacy opuścili Paryż i wyruszyli na przeszkolenie do Bajonny, miasta leżącego na południu Francji, znanego z powiedzenia „bajońskie sumy” (synonim ogromnej ilości pieniędzy, związany z relacjami polsko-francuskimi czasów napoleońskich). Od Bajonny pochodziła też potoczna nazwa nadana polskiemu oddziałowi.

Wśród ochotników, poza Himnerem, byli m.in. znany rzeźbiarz Xawery Duniowski, który wraz z malarzem Janem M. Żywnowskim zaprojektował sztandar oddziału, przedstawiający białego orła bez korony na czerwonym tle. Chorążym sztandaru został inż. Władysław Szujski „jako człowiek wiekowy i w znacznej części przyczyniający się do sformowania naszego legionu. Sympatią ogółu się nie cieszy, może z powodu zbyt szorstkiego obchodzenia się z niektórymi wolontariuszami na ćwiczeniach przygotowawczych w Paryżu” (Himner). Urodzony w Krakowie w 1865 r. (dlatego – z punktu widzenia młodszego odeń o ponad 20 lat



Francuscy żołnierze przed wejściem do stacji metra w Paryżu, 1914 r. FOT. WIKIPEDIA

Himnera – wiekowy), był synem Józefa Szujskiego, wybitnego historyka szkoły krakowskiej, jednego z czołowych konserwatystów, zwanych stańczykami.

Wśród szeregowych żołnierzy był m.in. 21-letni Jerzy Szurig, w przyszłości adwokat i jeden z najwybitniejszych działaczy ruchu syndykalistycznego w Polsce, zamordowany w czasie drugiej wojny światowej przez Niemców w Palmirach. Nie wszystkich jednak przyjmowano do oddziału. Nikodem Polak – warszawiak pochodzenia żydowskiego, studiujący w Paryżu prawo – nie został przyjęty, ponieważ władzom francuskim wydawało się naturalne, że obywatel sojuszniczej Rosji zaciągnie się do armii cara Mikołaja II. Polak jednak nie chciał tego uczynić. Ostatecznie przyjęto go później do armii francuskiej, a po dwóch latach służby, m.in. pod Verdun, został oficerem Armii Błękitnej gen. Hallera. Więcej szczęścia miał Jan Rotwand ze znanej rodziny pochodzenia żydowskiego z Warszawy. Niegdyś uczestnik strajku, w którym młodzież polska domagała się od rosyjskich władz zaborczych wprowadzenia języka polskiego do szkół, nie chcąc studiować na rosyjskiej uczelni, wyjechał do Paryża. W dniu, kiedy zaczęła się bitwa pod Arras, został mianowany podporucznikiem i dowódcą plutonu.

W Bajonnie Polacy odbywali najpierw szkolenie wojskowe. Jak pisał Wacław Lipiński, „umundurowani na wzór francuski w czerwone spodnie i takąż czapkę, granatową bluzę i niebieski płaszcz, zostali oddani pod instruktorskie oko oficerów bądź wojska bądź Legii Cudzoziemskiej. Pomieszczeni w bardzo złych warunkach higienicznych, źle odżywiani, traktowani surowo przez zwierzchników, topnieli legioniści z powodu chorób i wycieńczenia”. Dodać do tego należy

niezadkie przecenienie własnych sił. „Na ćwiczenia z karabinami wychodzimy na wspaniałe bajońskie błonia, lecz zapowiedziane są wkrótce marsze w Pireneje. Czujemy się zmęczeni, budzą nas wcześniej, zasypiamy późno. Co my zrobimy, gdy nam tornistry wwalą na plecy?” – zastanawiał się Himner. Dodał, że niektórzy, nienawykli do wojskowej dyscypliny, rezygnowali ze służby z powodu nieporozumień z instruktorami francuskimi. Ci bowiem dość szorstko traktowali ochotników, przechodząc do porządku nad ideowymi przyczynami ich wstąpienia do wojska. Kiedy pod koniec października oddział polski skierowano na front w Szampanii, nad kanał Aisne, liczył on już tylko ok. 200 żołnierzy.

Arras

Przez długie jesienne i zimowe miesiące bajończykom przyszło uczestniczyć w typowej dla pierwszej wojny światowej formie zmagania – walkach pozycyjnych. W tych pierwszych tygodniach, spędzonych na froncie najdonioślejszy okazał się epizod z wczesnego ranka 8 grudnia. Dzień wcześniej z nieodległych okopów niemieckich usłyszano polskie głosy. Nawiązano rozmowę – okazało się, że po przeciwnej stronie są rodacy z Poznańskiego. Bajończycy zaczęli ich nakłaniać do przejścia na stronę francuską. Z tamtej strony padła prośba, by pokazać sztandar z białym orłem. W odpowiedzi zatknięto go nad polskim okopem. Jednak o świcie ze strony niemieckiej zaczęto ostrzeliwać powiewającą nad okopami chorągiew. Wówczas Władysław Szujski podjął próbę ściągnięcia jej do okopu – chwycił drzewco rękoma, ale padł, trafiony nieprzyjacielską kulą

■ w czoło. Jak pisał Jan M. Żyznowski we wspomnieniach „Krwawy strzép”, chciano wierzyć, że jednak nie wystrzelił jej Polak.

W ciągu kolejnych zimowych, a później wiosennych miesięcy 1915 r. bająńczycy nadal trwali na pozycjach w Szampanii. Aż przyszedł 9 maja i bitwa pod Arras. Zaczęło się – jak wspomnieliśmy – zwycięsko. Nacierający z impetem Polacy zdobyli trzy linie okopów w rejonie miejscowości Carency. Relacjonował dalej Himner: „Na nieszczęście gorętsi wyrwali się naprzód, pociągając za sobą innych. Im to zawdzięczając, posunęliśmy się za szybko. Chwila – i to w sam środek naszej sekcji pada »75« [pocisk armatni]. Jak snopy podczas zawieruchy tak się powaliło kilkunastu naraz. Chwila zamieszania. Pociski i szrapnele padają zewsząd, z przodu, a teraz jeszcze z tyłu. Znowu biegniemy. Niemiecka artyleria zarzuca pociskami pole. Padają nasi. Lecz nic to. Pogoń za Niemcami trwa precz. Droga Béthune-Arras już poza nami. [...] Nasi są już u garbu płaskowzgórza. Jestem i ja. Walka zacięta. Niemcy, oparli się o drogę na samym szczycie i o zarośla, zaczęli nas ostrzeliwać. [...] Strzelanina trwała z kwadrans. Sąsiad mój leży. Na prawo, gdzie głównie byli nasi, wielu już leży. [...] Padł nasz Malcz – z rozkrzyżowanymi rękoma, szabla w jednej, rewolwer w drugiej, z twarzą zastygłą, z piekielnym ogniem w oczach, biegł jak męczennik. »Naprzód!« – krzyczał swoim donośnym głosem. [...] Chronimy się za miedzę, lecz już celują i ziemia od kul bryzga nam w oczy. Cofamy się jeszcze 50 metrów, na nieco wklęsłą drogę. Zza stogu coraz to nowi Niemcy wyskakują”.

Sukces odniesiony w walce pod Carency bająńczycy okupili stratami sięgającymi trzech czwartych oddziału, a wśród poległych byli prawie wszyscy oficerowie, na czele z francuskim dowódcą kompanii mjr. Osmonde'em. Dowództwo oddziału, który stopniał do ok. 50 żołnierzy, objął por. Jan Rotwand. Pięć tygodni później bająńczycy, nieco tylko uzupełnieni przez ściągniętych z innych oddziałów Polaków, z własnej inicjatywy uderzyli na Niemców pod Souchez, usiłując wesprzeć słabnącą tam obronę francuskich piechurów. I tym razem, mimo silnego ognia karabinów maszynowych i artylerii, atakowali z sukcesem. Wyrzucono Niemców z już zdobytych

pozycji Francuzów – „trwała ta krwawa rozprawa sekundy, po których z opętane-go pragnienia zwycięstwa [bająńczycy] wyrwali się z okopów i naprzód, jak upiory, krótko, ale straszliwie żyjące, niczego, prócz chwili niepomni, wdarli się w pierwszą linię okopów niemieckich. W samo piekło walki na noże, zęby, bagnety zerwane z karabinów wpadła pomoc francuskich strzelców alpejskich. Zwiąło bractwo niemieckie” – pisał z literackim zacięciem Żyznowski.

Zwycięstwo okazało się jednak pyrrusowe. Wielu bająńczyków poległo, m.in. Jan Rotwand, który zaraz po ataku uległ zatruciu gazem bojowym, z pozostałych



Allegoryczny obraz „Sen polskich ochotników w armii francuskiej” FOT. WIKIPEDIA

przy życiu mało który nie odniósł rany. Poniesione straty były tak dotkliwe, że oddział rozwiązano. Dwunastu bająńczyków, w tym Żyznowski, udało się do Rosji, licząc na to, że stamtąd dostaną się do kraju. Pozostali w większości zdecydowali się wstąpić do armii francuskiej. Był wśród nich Marian Himner. Ranny odłamkiem granatu w twarz pod Souchez, kiedy doszedł do pełni sił, zgłosił się do wojska, gdyż – jak deklarował – „dla Polaka wyboru nie ma, zwalczać on musi germanizm zawsze”.

W końcu 1915 r. przyjęto go do lotnictwa. Uczył się pilotażu w szkole w Pau, w Nowej Akwitanii. „Kiedy latamy w szyku zbiorowym, wyglądamy jak stado ptaków... Chwilami szczyty Pirenejów spoglądają na nas z wysoka, to znowu ja wzbijam się nad nie ze swym białym aparatem: czuję się wówczas białym

orłem Polski!” – zwierzał się dyrektorowi Luwru Edmundowi Pottierowi. Himner miał już być wysłany na front, kiedy w końcu lipca 1916 r., w czasie jednego z lotów ćwiczebnych, jego samolot doznał awarii i runął na ziemię. „Ach, szkoda by było nie móc przeżyć wojny!” – napisał niedługo przed śmiercią.

Virtuti na sztandarze

Straty poniesione w Szampanii doprowadziły do zakończenia krótkich dziejów bająńczyków. Udział Polaków w pierwszej wojnie światowej na froncie zachodnim został jednak zapoczątkowany ich czynem i – jak wspomnieliśmy – uznano ich symbolicznie za protoplastów Armii Błękitnej. Symbolicznie, ponieważ między jedną a drugą formacją była ciągłość tradycji, ale nie organizacji. Oddział bająńczyków, utworzony w początkach wojny, kiedy Francja uważała sprawę polską za wewnętrzną sprawę państwa rosyjskiego, i wedle słów jednego z zachodnich mężów stanu, nie było żadnej nadziei na odbudowę niepodległej Polski. Armia Błękitna powstawała od podstaw, w nowej sytuacji politycznej – późną wiosną 1917 r., dzięki upadkowi rosyjskiego caratu. To jej żołnierze otrzymali noszący ślady 34 kul sztandar bająńczyków, pod którym ci bili się pod Arras. Oni też kilka lat później przywieźli go do wolnej już Polski. Dzisiaj sztandar jest przechowywany w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

W niepodległej Polsce czyn bająńczyków doceniono i wkrótce po zakończeniu zmagania o granice Rzeczypospolitej, we wrześniu 1922 r., naczelny wódz Wojska Polskiego marszałek Józef Piłsudski nadał sztandarowi oddziału, temu samemu, który nosił ślady 34 niemieckich kul, Order Virtuti Militari, równocześnie dekorując tym najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym 18 jego żołnierzy, m.in. Szujskiego, który tę listę otwierał, a także Malcz, Rotwanda i Szuriga. Siedem lat później imię Legionu Bająńczyków nadano stacjonującemu w wołyńskim Dubnie 43. Pułkowi Piechoty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

Już 5 października w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**
www.ms.gov.pl



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**

RYŚ KRZYSZTOF WIERZKOWSKI

Krwawe waterpolo

Igrzyska olimpijskie
w Melbourne w 1956 r.
/ Film „Wolność i miłość”,
reż. Krisztina Goda



Jakub Ostromecki

Brutalność meczu w piłkę wodną Węgry – ZSRS potęgowały wiadomości o rzezi Budapesztu

Ktoś złośliwy napisał, że piłką wodną na co dzień fascynują się głównie rodziny zawodników i ich najbliżsi przyjaciele. Jednak 6 grudnia 1956 r. przed meczem Węgry-ZSRS basen olimpijski w Melbourne rozbrzmiewał gromkim „Go Hungary”. Do hali mieszczącej 6 tys. miejsc wcisnęło się 8 tys. kibiców – były to bowiem czasy, gdy nawet na Zachodzie

mało kto przejmował się przepisami o imprezach masowych. Bezpośrednio przed meczem ceny biletów u koników podskoczyły z 2 funtów australijskich do ponad 30. Dla widzów składających się w dużej części z węgierskich imigrantów nie było to tylko wydarzenie sportowe. Kilka dni wcześniej Sowietci brutalnie stłumili węgierskie powstanie i teraz nadarzyła się okazja, by przynajmniej w symboliczny sposób odpłacić się prześladowcom.

Pełen fauli mecz zakończył się brutalnie, gdy Walentin Prokopow uderzył Erwina Zádora w łuk brwiowy. Zdjęcie krwawiącego Węgra przeszło do historii. Stąd też spotkanie, które dało ostatecznie zwycięstwo Węgrom, nazywane jest często „Krwią w wodzie”. Film „Szabadság, Szerellem” („Wolność i miłość”) jest fabularyzowaną i udratyzowaną wersją tych wydarzeń, rozgrywaną się zarówno na barykadach Budapesztu, jak i na basenie.

Krisztina Goda rozpoczyna i kończy swoją opowieść na sportowo. Jest rok 1956, jeszcze przed powstaniem. Węgierska drużyna walczy w Moskwie. Sowietci grają brutalnie, sędzia sprzyja gospodarzom, dużą część publiczności stanowią skandujący komsomolcy, a w tłumie i w gracy uważnie wgapią się kagebiści. Węgrzy przegrywają. Jakby tego było mało, w szatni Sowietci zaczynają ubliżać im, wypominając sojusz z III Rzeszą. Kończy się to oczywiście bójką. Po powrocie do Budapesztu część zawodników poniesie tego srogie konsekwencje. AVH – odpowiednik naszego UB – wie bowiem już o wszystkim. „Nigdy nie ważcie się uderzyć radzieckiego towarzysza!” – słyszy od awosza główny bohater Karcsi Szabó. Awosze biją też jego kolegę z drużyny – Tibiego Vamosa. Oba nazwiska zawodników są fikcyjne. Pierwowzorem Szabó są wspomniany wyżej Ervin Zádor oraz legendarny Dezső Gyarmati,

ówczesny kapitan węgierskiej drużyny. Rozpoczynający film mecz w Moskwie też jest wydarzeniem fikcyjnym i trzeba je odczytywać jako alegorię ówczesnej sytuacji nad Dunajem, gdzie stalinizm jest jeszcze bardziej morderczy niż u nas. Ponad 10 proc. społeczeństwa doświadczyło różnej formy represji. Połowa z 850 tys. członków partii komunistycznej w wyniku czystek uciekła z kraju, siedziała w więzieniu lub została zamordowana.

Przed wybuchem powstania Węgrzy spotkali się z Sowietami na mistrzostwach Europy w piłce wodnej w Turynie latem 1954 r. i nie zanotowano tam żadnych incydentów. Inaczej wyglądało to z perspektywy Budapesztu. Na ulicach i w barach można było wówczas usłyszeć sporo antysowieckich okrzyków. Gdy na mistrzostwach Europy w koszykówce drużyna ZSRS weszła na halę sportową, wśród publiczności rozległy się gwizdy. Nie omieszkała tego skomentować sowiecka wierzuszka. Jak pisze Victor Sebestyén w „Dwanaście dni. Rewolucja węgierska 1956 r.”, podczas upokarzającej reprimendy, której Imre Nagy wysłuchiwał na swój temat w Moskwie, „Malenkow trzasnął teczką w stół i zagrzmiał: »Nie tego od was oczekiwaliśmy«”.

Sport i powstanie

W filmie Karcsi trafia na historyczny wiec studentów politechniki budapeszteńskiej, który odbył się 22 października 1956 r. Widzi powstawanie słynnych 16 postulatów. Z miejsca zakochuje się też w jednej z przywódczyń ruchu – fikcyjnej Viki Falk. Trudno będzie mu teraz pogodzić miłość do sportu i do kobiety. Karcsi weźmie udział w najważniejszych wydarzeniach pierwszej fazy węgierskiego powstania: ataku na siedzibę radia, wieczornym wiecu pod parlamentem, gdzie przemawiał Nagy, masakry na pl. Kossutha i w walkach ulicznych, zakończonych, chwilowym jak się potem okazało, wycofaniem wojsk sowieckiego Korpusu Specjalnego. Karcsi, naiwnie wierząc w wygraną powstania, wraca jako syn marnotrawny do drużyny i stamtąd, przez Czechosłowację, wraz z resztą wyrusza do Melbourne. Ku swojemu przerażeniu drużyna obserwuje jednak z autokaru powracające sowieckie czołgi.

Reżyser próbujący odtworzyć scenę przemówienia Nagya staje w obliczu

bardzo trudnego zadania i nie chodzi tu wcale o to, że – o dziwo – nie zachował się do dziś żaden oryginalny zapis owego wystąpienia. Premier rozczarował bowiem Węgrów, co dało się wówczas odczuć. „Doceniam wasz entuzjazm, ale idźcie do domu. Potrzebna jest dyscyplina, dajcie rządowi pracować” – taki był główny przekaz bezbarwnej mowy Nagya. Sebestyén konkluduje, iż „nawet najbardziej oddani zwolennicy Nagya przyznają, że katastrofalnie pomylił się w ocenie nastrojów tłumu i nie stanął na wysokości zadania”. Goda wybrnęła z tego sprytnie, zamiast rozczarowania tłumu na pierwszy plan wysuwając dialog głównych bohaterów, którzy zamierzają przenieść się pod siedzibę radia.



Węgier Erwin Zádor po krwawym meczu FOT. AP/EAST NEWS

W jednej z bram Viki i Karcsi uczestniczą w strzelaninie z awoszami. Zaraz potem widzimy ciała owych funkcjonariuszy powieszone na drzewach głową w dół z ustami wypchanymi pieniędzmi. Sugeruje to, jakoby w Budapeszcie, owszem, znęcano się nad ciałami bezpiekniaków, ale tych, którzy wcześniej polegli w walce. Rzeczywistość wyglądała jednak bardziej brutalnie. Jak pisze Sebestyén: „Nienawiść do służby bezpieczeństwa nigdy nie wygasła i miała tragiczne konsekwencje, nieograniczające się do barbarzyńskiej rozprawy z kilkudziesięcioma awoszami. [...] Inne ofiary wieszano za nogi, katowano prawie na śmierć, a następnie podpalano”. Podobne lincze, motywowane wcześniejszym okrucieństwem AVH, rozgrywały się w innych miastach na Węgrzech.

Goda jest niezłym kronikarzem i udało jej się nawet uniknąć zdjęciowej matni przy portretowaniu masakry na pl. Kossutha 25 października. Wówczas faktycznie sowieckie czołgi i węgierscy awosze strzelali do tłumu, w którym znajdowali się... inni sowieccy czołgiści uprzednio zbratani z pokojowymi demonstrantami. W filmie pierwsze strzały oddają awosze ukryci na dachu parlamentu, ale Sebestyén podaje też inną wersję zdarzeń, w której rozkaz strzelania do manifestacji wydał sowieckim czołgom znajdujący się niedaleko sam Iwan Sierow. Goda pogubiła się jedynie w scenach stricte batalistycznych. Zostawmy takie szczegóły jak brak odrzutu z broni automatycznej. Filmowi powstańcy mogą bowiem przeciwstawić sowieckim czołgom jedynie butelki z benzyną. A przecież na [asazu Korwina powstańcy używali zdobyczej artylerii przeciwpancernej. Nie mówiąc już o starciu na wzgórzu Jut (dziś teren fabryki Knorr-Bremse), gdzie czołgo Sowieciom stawiała regularna armia węgierska.

W filmie sowieckie tanki stoją w rzędzie gdzieś na przedmiejskich wzgórzach, łupiąc po kamienicach jak popadnie. Jest to scena mało wiarygodna. Czołgi i działa samobieżne w drugiej fazie dławienia powstania zatrzymywały się na ulicach lub placach dość szerokich, by nie nadawały się obrońcom na zasadzkę, i strzelały z dystansu w barykady lub w kamienice, wspierając atak piechoty. Często było to oczywiście niszczenie „na wszelki wypadek”, nawet gdy w danym budynku nie było w ogóle obrońców.

Krew w wodzie

Co w tym czasie naprawdę działało się z węgierskimi zawodnikami? Tylko dwóch z nich było w czasie powstania w Budapeszcie. Garmati był na pierwszym wiecu studentów i szybko wrócił do obozu treningowego, który znajdował się wśród wzgórz na północ od miasta. Po kilku dniach wymknął się z niego Zádor. Odwiedził rodzinę, ale nie brał udziału w walkach. Żaden z zawodników nie wiedział o ofiarach wśród cywili ani represjach. W czasie największych masakr wszyscy siedzieli bowiem w obozie i szybko zostali wywiezieni na dalsze przygotowania do Czechosłowacji, skąd polecili do Sowietów. Do Melbourne przywiózł ich sowiecki parowiec „Gruzia”.

■ O krwawym stłumieniu powstania piłkarze dowiedzieli się od jedynego znającego angielski członka ekipy olimpijskiej oraz od przedstawicieli innych dyscyplin, którzy w czasie walk przebywali w stolicy. Jeden z zawodników wspominał Sowieców: „Po tym, czego dowiedzieliśmy się po przylocie do Melbourne, nie chciałem ani chwili więcej przestawać z tymi rzeźnikami”. O węgierskim powstaniu jeszcze mniej wiedzieli zawodnicy sowieccy – o to akurat dbał sowiecki aparat. Dla nich powstanie miało pozostać jakąś burdą młodych chuliganów. Pamiętano jednocześnie Węgrom walkę po stronie III Rzeszy i sowieccy waterpoliści zamierzali to wnet wykorzystać.

Sowieckich oficjeli, którzy przebywali w Melbourne, zdenerwował inny gest Węgrów. Otóż w miasteczku olimpijskim dwóch kierowców ściągnęło flagę z herbem komunistycznym i powiesiło na jej miejsce powstańczą z przywróconym herbem Kossutha. Flaga ta powiewała nawet na ceremonii otwarcia igrzysk. W filmie widzimy ją przepasaną dodatkowo kirem na znak żałoby po ofiarach sowieckiej interwencji. Faktycznie czarny kir towarzyszył herbom, które Węgrzy naszywali na swoje dresy i szlafroki.

W filmie Sowieci rozpoczynają półfinałowy mecz od serii fauli. Łapią za kąpielówki, kopią pod wodą w krocze, podtapiają, chwytają za ręce i ubliżają. Mimo to Węgrzy są górą. Jeden z goli zdobywają podstępem – Karcsi zwodzi przeciwnika, wmawiając mu po rosyjsku, że sędzia coś od niego chce. Gdy jest już 4:0 dla Węgrów, inny sowiecki zawodnik nie wytrzymuje psychicznie perspektywy porażki i zadaje Karcsiemu potężny cios w łuk brwiowy. Publiczność jest wściekła na sowiecką drużynę, interweniować musi australijska policja. Po następnym, finałowym już meczu z Jugosławią złoto przypada Węgrom. Nad podium unosi się flaga pozbawiona komunistycznych symboli, za to z prawidłowym godłem Kossutha i dodaną do niego czarną wstęgą na znak żałoby po zdławionym powstaniu.

W prawdziwym Melbourne Węgrzy niestety też grali brudno, choć ich nowatorska taktyka polegająca na wprowadzeniu obrony sektorowej faktycznie górowała nad sowiecką. Podopieczni Beli Rajkiego (w filmie występuje jako „Trener Telki”) założyli, że celowo będą prowokować przeciwników, zaczepiając

i wymyślając im po rosyjsku. Rozgniewani Sowieci mieli zacząć faulować i grać gorzej. Prowokacja się powiodła. Mecz zrazu przebiegał spokojnie, ale rychło z gry zostało wykluczonych pięciu waterpolistów: trzech z drużyny sowieckiej i dwóch z węgierskiej. Sowieci po latach wspominali, że szwedzki sędzia wyraźnie przymykał oko na faule Węgrów. Nie musi być to wcale obłudne usprawiedliwianie porażki – to samo zauważył australijski dziennikarz sportowy Ken Knox. Według niego „mogło to mieć wpływ na zachowanie zawodników”.

Spotkanie zaczęło przypominać zgoła nie piłkę, ale pięściarstwo wodne. Na początku drugiej połowy Boris Markarow wymierzył cios sierpowy Antolowi Belvariemu, który sam wcześniej faulował innego sowieckiego zawodnika. Za karę pauzował też Waczesław Kuriennoj. Petre Mszwenieradze faulował węgierskiego kapitana Gyarmatiego, za co ten w ostatniej kwarcie uderzył go dwa razy w twarz. Grający w sowieckich barwach Gruzini nie chcieli pozostać dłuż-

łuk brwiowy. Ządor wyszedł jednak specjalnie z basenu w takim miejscu, aby być widzianym przez publiczność, w zdecydowanej większości sprzyjającą Węgrom. Kibice, widząc wodę w basenie zabarwioną na czerwono, wpadli we wściekłość – owe finałowe sceny meczu niemal dosłownie pokazano w filmie.

Węgierscy waterpoliści zapamiętali mecz w różny sposób. Miklós Martin wypowiadał się gorzko o Sowieciach: „Grają w sporcie tak jak w życiu – brutalnie i bez zwracania uwagi na fair play”. Sam Zádor zaś bardziej pojednawczo: „Zapomniałem mu [Prokopowowi – przyp. J.O.] ten cios. To, co Sowieci zrobili mojemu krajowi, nie było winą ich zawodników. W każdym innym meczu ta sytuacja nie byłaby żadną sensacją, ale wydarzyła się akurat na olimpiadzie zaraz po rewolucji”.

W filmie nie widzimy strachu zawodników sowieckich przed władzą, która nie zwykła puszczać takich przegranych płazem. Mszwenieradze wspominał: „Nie miałem wątpliwości, że czeka nas ten sam los co drużyny piłki nożnej z olimpiady



Sowiecki czołg w Budapeszcie, październik 1956 r. fot. WIKIPEDIA

ny. Po latach wspominał: „Popłynąłem za sprawcą, aby go podduśić lub przytopić, ale zdołał uciec”. Do najostrzejszego starcia doszło jednak w ostatnich minutach meczu. Zádor w wywiadzie dla „Independent” przyznał dużo później: „Popatrzyłem w oczy Prokopowowi przez dłuższą chwilę, po czym wywaliłem mu, że on i jego rodzina to frajerzy”. W tym momencie sędzia odgwiżdżał jakieś przewinięcie z innej części basenu, Zádor odwrócił się ku niemu i nagle spadł na niego cios wyprowadzonego z równowagi Prokopowa, rozwalając Węgrowi

w 1952 r.”. Przypomnijmy, że ZSRS przegrał wówczas z Jugosławią. Był to szczyt waśni między Stalinem a Tito, toteż w Moskwie potraktowano wynik meczu jako skrajne upokorzenie. Klub CSKA Moskwa, z którego rekrutowała się większość drużyny olimpijskiej, na kilka lat „za karę” został wycofany z rozgrywek, a trenera drużyny szkanowano.

W 1956 r. Stalin już nie żył, toteż „wbrew wszelkim obawom dostałem jednak po powrocie tytuł Honorowego Mistrza Sportu” – mówił Mszwenieradze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 26 października w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONETEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**
www.ms.gov.pl



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**

Żołnierze Serbskiego Korpusu
Ochotniczego FOT. WIKIPEDIA



Druga wojna / Kolaboracja w Europie



Arkadiusz Karbowski

Oprócz czerwonych partyzantów Tito i четників w Serbii była trzecia siła zbrojna. Proniemiecki Serbski Korpus Ochotniczy

W okresie międzywojennym Jugosławia – jako członek Małej Ententy, obok Rumunii i Czechosłowacji – postrzegana była

jako wierny sojusznik Paryża. Pewne zmiany w polityce zagranicznej Belgradu nastąpiły dopiero po objęciu teki premiera przez Milana Stojadinovicia. Poprawił on znacząco relacje zarówno z III Rzeszą, jak i z Królestwem Italii. W styczniu 1939 r. nowym szefem rządu jugosłowiańskiego został Dragiša Cvetković. Kontynuował on w zasadzie politykę swego poprzednika. W momencie wybuchu drugiej wojny światowej Jugosławia ogłosiła neutralność. Trwanie w tej postawie było możliwe do momentu, gdy kanclerz III Rzeszy podjął decyzję o ataku na ZSRS. Adolf Hitler chciał mieć pewność, że Bałkany nie zostaną objęte wpływami wrogich wobec Niemiec mocarstw.

Władze w Belgradzie stanęły wtedy przed dylematem: wybrać proaliantką czy proniemiecką opcję w polityce zagranicznej. Aby uchronić kraj przed zniszczeniem, regent Paweł zdecydował się na przystąpienie Jugosławii do paktu trzech. Stosowne dokumenty akcesyjne podpisano 25 marca 1941 r. w Wiedniu. Dwa dni później jednak rząd Cvetkovicia został obalony w wyniku przewrotu wojskowego, zorganizowanego przez generała lotnictwa Dušana Simovicia przy wsparciu brytyjskich służb specjalnych. W ten sposób Jugosławia znalazła się na drodze ku katastrofie. 6 kwietnia 1941 r. królestwo Karadžewićów (nazwa panującej rodziny)

Serbowie Hitlera

zaatakowały dywizje państw Osi. Zaledwie 11 dni później 17 kwietnia w Belgradzie generałowie Daniło Kalafatović i Miloško Janković podpisali akt kapitulacji królewskich sił zbrojnych.

Upadek kraju postawił serbskie elity przed pytaniem o dalsze funkcjonowanie pokonanego państwa. Führer pomimo że był nastawiony zdecydowanie niechętnie wobec Serbów, uznał za wskazane utworzenie serbskiego rządu kolaboracyjnego. Prace nad jego powołaniem rozpoczęły się już w dniu kapitulacji Jugosławii. Początkowo na czele tzw. Rządu Komisarzy miał stanąć lider serbskiej partii nacjonalistycznej Dimitrije Ljotić, ale ostatecznie funkcję tę objął 30 kwietnia 1941 r. Milan Aćimović, były przedwojenny adwokat, szef belgradzkiej policji i minister spraw wewnętrznych w rządzie Stojadinovicia.

Niedługo potem nowy ośrodek władzy stanął w obliczu wywołanego 7 lipca 1941 r. w Serbii komunistycznego powstania. W odpowiedzi na ten akt niemieckie władze okupacyjne zastośowały wobec Serbów i Żydów masowe represje. Chcąc uwidocznic inne niż insurekcyjne postawy panujące w społeczeństwie, 14 sierpnia 1941 r. 546 prominentnych postaci serbskiego życia społeczno-politycznego wystąpiło z apelem do narodu serbskiego, by nie dawał posłuchu antypatriotycznej i antynarodowej propagandzie komunistycznej. Dwa tygodnie później Niemcy postanowili dla rozładowania napiętej sytuacji sięgnąć po rozwiązania polityczne. Na podstawie wyrażonej przez nich zgody 29 sierpnia 1941 r. powołany został do życia Rząd Ocalenia Narodowego pod wodzą gen. Milana Nedicia.

Był on znanym dowódcą w armii jugosłowiańskiej. Urodził się w miejscowości Grocka, leżącej koło Belgradu. Do szkoły średniej uczęszczał w Kragujevacu (mieście, w którym Niemcy w październiku 1941 r. dokonali masakry serbskich cywili w odwecie za partyzanckie ataki na żołnierzy Wehrmachtu). Jako młody człowiek poświęcił się karierze wojskowej, wstępując do Akademii Wojskowej w Belgradzie. Po jej ukończeniu uczestniczył w wojnach bałkańskich oraz w pierwszej wojnie światowej. Awansował w 1930 r. na generała

armii jugosłowiańskiej. W drugiej połowie lat 30. w rządach Stojadinovicia i Cvetkovicia pełnił funkcję ministra obrony narodowej. Nedić nie należał do grona ludzi, których można określić mianem politycznych marionetek. Generał posiadał własne jasno skryształizowane poglądy. Jego błyskotliwa kariera uległa załamaniu, gdy 1 listopada 1940 r. wystąpił z memorandum, w którym uznał, że w obliczu geopolitycznego panowania na kontynencie III Rzeszy konieczne jest zerwanie Jugosławii z polityką neutralności i opowiedzenie się po stronie państw Osi.

Regent Paweł, wówczas jeszcze nie do końca utożsamiający się z owym poglądem, tydzień później poprosił go o złożenie dymisji. Powodami tej decyzji były obawa przed zamachem stanu oraz irytacja z powodu wchodzenia Nedicia w zakres kompetencji głowy państwa. Z pewnością treść memorandum była znana stronie niemieckiej, stąd trudno się dziwić, że Niemcy postanowili powierzyć generałowi stanowisko premiera kolaboracyjnego rządu tzw. Serbii Szczątkowej. Dowódca sił Wehrmachtu w Serbii gen. Franz Böhme po spotkaniu z Nedićem powiedział o nim: „To całkowicie uczciwy człowiek”.

Powołanie SDK

Wraz z powstaniem rządu kolaboracyjnego rozpoczął się proces tworzenia formacji wojskowo-policyjnych w postaci żandarmerii, Serbskiego Korpusu Ochotniczego oraz prorządowych oddziałów czetnickich Kosty Pećanaca. Ci ostatni zrzeczynowali z działalności podziemnej i stali się legalną strukturą serbskiego państwa. Zadania, które stały przed jedną ze wspomnianych



formacji bezpieczeństwa, przedstawił w informacji z 1 września 1941 r. dowódca żandarmerii płk Jovan Trisić: „Od chwili powstania rządu generała Nedicia niemieckie siły zbrojne nie ingerują w żadne wewnętrzne sprawy Serbii, w tym także w pracę żandarmerii [...]. Żandarmeria działa całkowicie autonomicznie wyłącznie w interesie serbskiego społeczeństwa [...] zgodnie z wytycznymi rządu serbskiego”. W grudniu liczebność serbskich sił bezpieczeństwa wynosiła 18 tys. żołnierzy. Ich trzonem było Serbskie Dowództwo Ochotnicze, przekształcone potem w Serbski Korpus Ochotniczy (Srpski Dobrovoljački Korpus – SDK).

Żołnierzami byli członkowie „Zboru”, czyli Jugosłowiańskiego

Ruchu Narodowego, organizacji o zdecydowanie monarchistycznym, antydemokratycznym, nacjonalistycznym, antykomunistycznym i antysemickim charakterze. Założenia programowe ważną rolę przyznawały chłopom-rolnikom. Mieli oni w ramach systemu korporacyjnego, preferowanego przez „Zbor”, zrzeczać się w związki produkcyjne. Uznanie ich znaczenia w społeczeństwie uwidocznione zostało w symbolice ruchu – mieczu i tarczy z namalowanym kłosem pszenicy. Przywódcą „Zboru” został adwokat Dimitrije Ljotić zafascynowany konserwatywno-narodową ideologią Charles’a Maurrasa i jego Action Française. Ljoticia często postrzegano jako polityka o faszystowskich, a czasami nawet narodowosocjalistycznych inklinacjach. Faktycznie przywódca „Zboru” imponował Hitler, choć Ljotić – jako wyznawca prawosławia – miał bardzo krytyczny stosunek do antychrześcijańskiej ideologii narodowosocjalistycznej.

Ljotić poparł decyzję o powołaniu SDK. Zapadła ona 14 września 1941 r. ■



Generał Milan Nedić, premier kolaboracyjnego rządu Serbii, i żołnierze Serbskiego Korpusu Ochotniczego. FOT. ARCHIWUM

■ na posiedzeniu rządu. Już następnego dnia zgłosiło się 234 chętnych do służby w tej formacji. W ciągu kilku następnych dni do korpusu zaciągnęło się kolejnych 600 ochotników. 6 października 1941 r. na dowódcę sił SDK wyznaczono pułkownika wojsk inżynieryjnych Kostę Mušickiego, byłego adiutanta króla Aleksandra i królowej Marii. Podlegli mu żołnierze nosili mundury wojsk armii jugosłowiańskiej. Na ich czapkach znajdował się serbski herb w postaci dwugłowego orła. Kieszenie mundurów zdobiły srebrny krzyż św. Jerzego walczącego ze smokiem oraz napis: „Za wiarę w Boga, za Króla i Ojczyznę – Ochotnicy”.

Głównym zadaniem żołnierzy korpusu była walka z komunistyczną partyzantką. Obustronne starcia miały bardzo zacięty charakter i w ich trakcie rzadko brano jeńców, a jeśli to nastąpiło, to byli oni po przesłuchaniu przeważnie rozstrzeliwani. Podobne represje stosowano także wobec sympatyków czy członków siatki cywilnej komunistycznego podziemia. Korpus uczestniczył niekiedy w egzekucjach zakładników. Tak było choćby w Kragujewacu, gdzie oddział SDK wykorzystany został m.in. do konwojowania zakładników na miejsce straceń.

Na początku 1942 r. liczebność korpusu według stanu z 15 lutego 1942 r. wynosiła 172 oficerów oraz 3513

szeregowych i podoficerów. Pomimo udziału korpusu w działaniach antypartyzanckich, prowadzonych także przeciw czetnikom, jego żołnierze i dowódcy sympatyzowali z antyniemieckim ruchem Draży Mihajlovicia. Pierwsze kontakty pomiędzy czetnikami a serbskimi kolaborantami to maj 1941 r. Wtedy to Mihajlović wystąpił do Belgradu na spotkanie z Ljoticiem swego wysłannika ppor. Vladimiera Lenaca. Lenac był przed wojną szefem młodzieżówki „Zboru” na uniwersytecie w Zagrzebiu. Przekazał on Ljoticiowi informację, że lider czetników zainteresowany jest zawarciem tajnego porozumienia. W sierpniu 1941 r. z propozycją nawiązania kontaktu wystąpił gen. Nedić. Pismo premiera w tej sprawie dostarczył ppłk Zvimir Djurić. Zawierało ono sugestie dotyczące podjęcia wspólnych działań przeciwko partyzantce komunistycznej, podjęcia współpracy z Niemcami i zalegalizowania oddziałów czetnickich. Według zeznań Nedicia złożonych przed komunistycznymi śledczymi Mihajlović miał wówczas ową ofertę przyjąć.

Z uwagi na udział rojalistycznych partyzantów w powstaniu antyniemieckim pod koniec 1941 r. gen. Böhme wydał rozkaz zakazujący kontaktów z czetnikami. Dotyczył on także rządu Milana Nedicia. Naturalnie do praktycznej jego realizacji nie doszło.

Zarówno nediciowcy, jak i czetnicy uważali współpracę za nieuchronną konieczność (choć nie zawsze tak było, o czym poniżej). Tak jedni, jak drudzy walczyli bowiem o ten sam cel, a było nim odbudowanie niepodległej Jugosławii pod berłem króla Piotra II. Pomoc SDK dla czetników często polegała na stworzeniu im możliwości przechodzenia na stronę rządową. Do takiej sytuacji doszło po ofensywie niemieckiej przeprowadzonej na przełomie lat 1941 i 1942, kiedy to część oddziałów czetnickich podporządkowanych Mihajlovićowi zalegalizowano jako siły kolaboranckie Koste Pećanaca. Warto nadmienić, że czasami w proceder pomocy angażowały się nawet osoby znajdujące się w serbskim rządzie na najwyższych szczeblach władzy.

Ich wsparcia doświadczył czetnicki dowódca z Sandżaku i Czarnogóry ppłk Pavle Đurišić, który – jako człowiek sprzymierzony z Włochami – został aresztowany przez Niemców w marcu 1943 r. w Kolašinie i deportowany do obozu jenieckiego w Stryju. Po ucieczce i powrocie do Serbii ujęła go serbska żandarmeria i przekazała gestapo. Z pomocą przyszedł mu gen. Nedić. Premier przekonał do pomysłu uwolnienia czetnickiego oficera posła pełnomocnego Rzeszy na Bałkanach Hermanna Neubachera. Niedługo po tym, jak Đurišić odzyskał wolność, szef rządu awansował go do stopnia podpułkownika. W Czarnogórze, gdzie się znalazł, Niemcy uznali go za pełnowartościowego sojusznika zwalczającego komunistycznych rebeliantów, dostarczając mu broń, amunicję i żywność. Wiosną 1944 r. Đurišić stanął na czele Czarnogórskiego Korpusu Ochotniczego (Crnogorski dobrovoljački korpus – CDK). Jego liczebność wynosiła 8 tys. żołnierzy. Korpus formalnie wszedł w skład SDK, nieźle radząc sobie w walkach z komunistyczną partyzantką. W uznaniu zasług 11 października 1944 r. dowódca Wehrmachtu w Czarnogórze gen. Wilhelm Keiper odznaczył Đurišicia Krzyżem Żelaznym II klasy.

Na równi pochyłej

W marcu 1945 r. Đurišić podporządkował się Radzie Państwowej Czarnogóry i uznał zwierzchnictwo przywódcy

czarnogórskich separatystów Sekuli Drljevia. Dowodzony przez niego korpus przekształcono w Czarnogórską Armię Narodową (Crnogorska narodna vojska). Współpraca z czarnogórskimi niepodległościowcami miała zapewnić четnikom bezpieczne przejście przez terytorium NDH (Niepodległe Państwo Chorwackie). Jednak porozumienie z nimi zawarte, a kontrasygnowane przez ustaszy, nie zostało dotrzymane. W kwietniu 1945 r. wojska NDH otoczyły i rozbroiły siły четnicko-czarnogórskie. Pavle Đurišić wraz z 33 innymi dowódcami dostał się do niewoli i na wyraźne żądanie Sekuli Drljevia został stracony w ustaszowskim obozie koncentracyjnym Stara Gradiška (podobóz Jasenovaca). Z pewnością znaczący wpływ na decyzję o likwidacji Pavle Đurišića miał fakt jego odpowiedzialności za masowe mordy, których się dopuścili dowodzone przez niego oddziały четnickie na chorwackiej i muzułmańskiej ludności cywilnej.

Đurišić i jego towarzysze broni nie byli jedynymi serbskimi żołnierzami, którzy doświadczyli tragicznego losu podczas przemieszczania się przez obszary NDH. W podobnych okolicznościach zakończyli życie, rozstrzelani w grudniu 1944 r. w Zagrzebiu, żołnierze 5. Pułku Serbskiego Korpusu Ochotniczego.

O ile oczywiste jest, że konflikt serbsko-chorwacki determinował relacje SDK z siłami zbrojnymi NDH, o tyle trudniejsze do zrozumienia są incydentalne co prawda, ale zdarzające się starcia żołnierzy SDK z четnikami. Ci ostatni w 1943 r. zastrzelili w Belgradzie szefa gabinetu Nedicia – Miodraga Mesalovića. Do końca 1943 r. w walkach z четnikami zginęło ok. 100 żołnierzy korpusu. Wśród nich byli: dowódca IV Batalionu SDK kpt. Dušan Markoć oraz dowódca III Batalionu SDK kpt. Miloš Vojnović. Jako bardzo dobre natomiast można określić stosunki panujące między SDK a Rosyjskim Korpusem Serbia. Służący w nim biali Rosjanie byli kulturowo, politycznie i ideowo bardzo bliscy serbskim kolaborantom.

W roku 1943, w obliczu narastającej aktywizacji komunistycznej partyzantki, rząd Milana Nedicia wystąpił do władz niemieckich z prośbą o zwiększenie liczebności SDK. Zgodę na poszerzenie wielkości korpusu 10 ba-



Czetnicy na wspólnym zdjęciu z żołnierzami niemieckimi FOT. WIKIPEDIA

talionów premier otrzymał po spotkaniu, które odbył z Hitlerem w Wilczym Szańcu 16 sierpnia 1943 r. Decyzja ta – poza kontekstem politycznym – stanowiła potwierdzenie wysokiej oceny walorów bojowych żołnierzy korpusu. Poza Niemcami miał je okazję dostrzec lider четników Draža Mihajlović, którego sztab okrążyli komunistyczni partyzanci 13 września 1944 r. po bitwie pod Jelovą Gorą. Od dostania się w ręce czerwonych uratowała „Cicę” (wujaszek – tak pieśszczotliwie nazywano przywódcę четników) dopiero interwencja III Batalionu 1. Pułku SDK. Miesiąc później Serbia została zajęta przez Armię Czerwoną i partyzantkę komunistyczną. Straty SDK poniesione w walkach wyniosły ogółem 700 zabitych i 1,8 tys. rannych.

Na początku listopada 1944 r. decyzją SS-Reichsführera Hansa Himmlera włączono SDK do Waffen-SS. Żołnierze Serbskie SS Freiwilligen Korps, jak ich nazywano oficjalnie, podobnie jak Kozacy z XV Korpusu Kawalerii SS podlegali siłom zbrojnym SS tylko formalnie, czego oznaką było nieprzydzielenie esesmańskich sortów mundurowych.

W końcu roku 1944 oddziały SDK wycofały się na terytorium Słowenii, która miała stać się według koncepcji Ljoticia swoistym antykomunistycznym bastionem. Przywódca „Zboru” uważał, że powinny na jej obszarze znaleźć się wszystkie walczące przeciw komunistom serbskie formacje zbrojne. Broniąc się tam, miały one czekać na

nadejście wojsk zachodnich aliantów. Podczas pobytu na słoweńskiej ziemi w marcu 1945 r. doszło do zmian personalnych na stanowisku dowódcy korpusu. Kostę Mušickiego zastąpił na rozkaz Mihajlovicia gen. Miodrag Damjanović. Od tego momentu korpus stał się formalnie częścią Jugosłowiańskiej Armii w Kraju (Jugoslovenska vojska u otadžbini – JVuO).

W końcowym okresie wojny siły SDK podzielono na dwie grupy bojowe. Pierwsza w składzie trzech pułków wycofała się do Austrii, gdzie poddała się i dostała do niewoli Brytyjczyków. Ci zaś 12 maja 1945 r. przekazali żołnierzy korpusu jednostkom Narodowej Armii Wyzwolenia Jugosławii (NOV). Komuniści rozstrzelali ich potem w okolicach słoweńskiego Kočevskiego Rogu. Więcej szczęścia mieli, niewydani czerwonym, żołnierze drugiej grupy, którzy przedarli się do Włoch i złożyli broń w okolicy miasta Palmanova. W kraju przed komunistycznym sądem postawiono dowódcę SDK, gen. Kostę Mušickiego. Wraz z Drażą Mihajlovićem i kilkoma innymi dowódcami четnickimi skazano go na śmierć i rozstrzelano 17 lipca 1946 r. W rękach komunistów znalazł się także premier Milan Nedić. Nie doczekał on jednak „ludowej” sprawiedliwości, bo 4 lutego 1946 r. popełnił samobójstwo, wyskakując z okna więziennego budynku. Według innej wersji miał zostać wyrzucony z okna po uprzednim zakatowaniu podczas śledztwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

40 lat temu / Entuzjazm Polaków i „samoograniczająca się rewolucja”

Triumf po sądowej rejestracji NSZZ „Solidarność”, 24 listopada 1980 r.

FOT. JAN MOREK/PAP

Złota wolna jesień '80



Piotr Semka

**/ Solidarność
przypominała
wpuszczony do ruchu
kolejowego dodatkowy
pociąg poza
rozkładem...**

Pierwsze trzy miesiące po wygranej strajku w Stoczni Gdańskiej 40 lat temu były triumfalnym pochodem ruchu Solidarności po Polsce. Władze komunistyczne były wówczas w głębokiej defensywie, przerażone szybkim wzrostem liczebności nowego związku. Kolejne środowiska prostowały wówczas grzbiet i domagały się demokracji. Wszystko wydawało się wtedy proste i każdy postulat uważano za możliwy do spełnienia. Takiego entuzjazmu nigdy już potem nie było, nawet w 1989 r. Cztery porozumienia komunistycznej władzy z robotnikami z przełomu sierpnia i września 1980 r. – w Szczecinie, Gdańsku, Jastrzębiu i Katowicach – wywróciły władzę Edwarda Gierka. Pierwszy sekretarz KC PZPR z lat 70. formalnie podał

się do dymisji „z przyczyn zdrowotnych”, ale mało kto wierzył w szczerość tych deklaracji.

„On chory, on chory, on leży w szpitalu” – kpił z Gierka kabaret Trzeci Oddech Kaczuchy w popularnej wówczas piosence.

Jego następca na stanowisku lidera PZPR Stanisław Kania nie jawił się jako zbyt dynamiczna postać. Podobnie było z bezbarwnym, nowym premierem PRL – Józefem Pińkowskim. Władze komunistyczne miały początkowo nadzieję, że stworzenie niezależnych związków zawodowych nie wprowadzi wielkich zmian. Ot, jeszcze jedno ciało, wepchnięte gdzieś między radę zakładową a stare fasadowe związki. Jednak impet fali powstawania nowych związków przypominał pożar na wysuszonej prerii. Komisje zakładowe powstawały w całej Polsce, a rady opozycjonistów pomagały unikać wielu błędów.

Kluczowe dla losów przyszłej Solidarności było spotkanie 17 września w Gdańsku, na którym po raz pierwszy zjechało się ok. 300 delegacji inicjatorów nowych związków z całego kraju. Starły się dwie koncepcje – czy ma powstać sieć pojedynczych związków w poszczególnych zakładach czy jedna scentralizowana struktura. Wałęsa był za pierwszą koncepcją, działacze z mniejszych, słabszych ośrodków woleli jedną organizację. W końcu zwolennicy jednej struktury

– m.in. Jan Olszewski, Karol Modzelewski i Lech Kaczyński – postawili na swoim.

Ustalono, że przyszły unitarny związek, który przyjął nazwę „Solidarność”, miał się dzielić nie na branże, ale na regiony. Z czasem dopiero okazało się, jak przewidujący był ten pomysł. Struktura terytorialna pozwalała na szybką mobilizację strajkową wszystkich członków związku w danym regionie, gdy dochodziło do prowokacji lub aktu agresji ze strony władz. A przede wszystkim – Solidarność była ruchem narodowej rewolucji, a nie jednym z wielu związków zawodowych. Mniej ważne były w niej interesy poszczególnych branż, a bardziej – narodowy solidaryzm.

Przykład nowego związku podzielał na dziesiątki innych środowisk i grup. Szybko skrzyknęli się opozycyjni studenci, którzy zaczęli tworzyć Niezależne Zrzeszenie Studentów. W ślad za nimi polityczna gorączka objęła szkoły średnie, gdzie próbowano na wzór NZS stworzyć Federację Młodzieży Szkolnej. Ferment dotarł też do związków twórczych – stowarzyszeń artystów plastyków, filmowców, dziennikarzy czy do Związku Literatów Polskich. Wszędzie tam stara ukształtowana w gierkowskiej epoce hierarchia władzy chwiała się teraz pod naciskiem żądań wolnych wyborów i radykalnych zmian. Starzy prezisi albo poddawali się bez walki, albo próbowali

„ucieczki do przodu” – sami stawali na czele ruchu zmian.

Cechą tamtej rozdyktowanej jesieni były wielogodzinne zebrania, na których dokonywano rozrachunku z poprzednią epoką. Napchane sale, z wiszącą w powietrzu chmurą dymu z kiepskich papierosów. Szybko też zaczęto odkłamywanie historii. Przykładowo już jesienią 1980 r. Region Gdański zwrócił się do mieszkańców Trójmiasta o przynoszenie zdjęć z Grudnia 1970 r. do sekcji historycznej NSZZ „Solidarność”. Ludzie ukradkiem robione zdjęcia masakry grudniowej oddawali związkowcom jak swoje najcenniejsze relikwie. Gdy w grudniu 1980 r. doszło do wystawy tych zdjęć w gdańskim Dworze Artusa, kolejka ciągnęła się aż pod Bramę Zieloną. W teatrze muzycznym w Gdyni musical „Kolęda nocka” grano przy nabitej sali. Wszystko było nowe, ciekawe, dające nadzieję.

Tour de Solidarite

Tamtej jesieni najważniejszy był jednak Lech Wałęsa. Po Gdańsku poznawała go dopiero cała Polska. Razem z małżeństwem Gwiazdów, do pewnego czasu z Anną Walentynowicz i Bogdanem Lisem, udał się w końcu września i w październiku 1980 r. na objazd po południu kraju. Trasa była ambitna: Kraków, Nowa Huta, Nowy Targ, Nowy Sącz, Tarnów, Jastrzębie, Katowice i Częstochowa. Spotkania na stadionach i w wielkich halach sportowych przyciągały dziesiątki tysięcy ludzi.

Natychmiast sięgano po historyczne analogie. Gdy w październiku 1980 r. Wałęsa odwiedził Kraków, na żądanie tłumy, wzorem Tadeusza Kościuszki, złożył na rynku przysięgę, że będzie walczył o wolność Polski. Na Podhalu fetował go grupy tatrzańskich górali, którzy nieśli go na rękach, wcześniej zakładając „Lechowi” na głowę góralski kapelusz i wciskając w ręce ciupagę. Wałęsa z tygodnia na tydzień coraz bardziej uczył się, jak uwodzić tłumy.

Jan Skórzyński, biograf Wałęsy, pisał „Urodzony trybun świetnie czuł się na wiecach, improwizował, dowcipkował, z reflekssem odpowiadał na padające z tłumy pytania. Miał nie wiadomo skąd zaczerpniętą umiejętność poruszania najtrudniejszych tematów”. Mimo olśniewających zonglerek słownych Wałęsy

podstawowy dylemat solidarnościowej rewolucji nie ulegał zmianie. Opozycyjni intelektualiści byli rozdarci między wolnościowym entuzjazmem a gorzką pamięcią o losach próby reform w Czechosłowacji. Wówczas, w 1968 r., praską wiosnę zmiążdżyły sowieckie czołgi. Teraz lęki były podobne. Jak poszerzać przestrzeń wolności, ale nie rozdrażnić Misia ze wschodu?

Ukuto wtedy hasło „samoograniczającej się rewolucji”. Wspominano październik 1956 r., gdy Władysław Gomułka przeprowadził destalinizację, ale nie uczynił sobie z ZSRS wroga. Tyle że wtedy robił to jako szef partii komunistycznej, a teraz liderem zmian był ruch powstały w opozycji do systemu. Jeszcze inni wskazywali jako model dla Polski Finlandię – kraj, w którym zachowano kapitalizm, ale za cenę daleko idącego ograniczenia polityki zagranicznej – tak by nie sprowokować Kremla.

Sam Wałęsa starał się bagatelizować zagrożenia, aby nie wpędzać Polaków w zbytne lęki przed Moskwą. „Nikt z zewnątrz nie musi bronić nas i socjalizmu – mówił w październiku 1980 r. na mityngu w Krakowie. – My nie podważamy sojuszów, nie podważamy podstaw”. Na innym wiecu, w Nowym Sączu, argumentował: „My nie zagrażamy innym krajom, my nie podważamy socjalizmu. My robimy porządek – ten mały i ten wielki – i przypuszczamy, że gdzie indziej też należałoby zrobić swoimi siłami porządek. My się nikogo nie boimy [...] ale nie przypuszczam, żeby ktokolwiek śmiał nam robić porządek. My jesteśmy sami do porządku”.

Pierwsze starcia

Pojawienie się niezależnego związku zawodowego w państwie, w którym formalnie władzę mieli sprawować robotnicy i chłopci, było jednak na dłuższą metę nie do pogodzenia z dogmatami marksizmu. Jacek Kuroń mawiał, że Solidarność przypomina wpuszczony do ruchu kolejowego dodatkowy pociąg poza rozkładem. Albo wszystkie inne pociągi dostosują się do nowego uczestnika ruchu, albo dojść musi do katastrofy.

10 listopada 1980 r. na posiedzeniu Sądu Najwyższego w Warszawie zakończył miano proces rejestracji NSZZ „Solidarność”. Ogłaszając rejestrację związku, sędzia Zdzisław Kościelniak, bez uzgodnienia z władzami Solidarności, ogłosił, że do statutu dodano zapis o kierowniczej roli PZPR w porządku prawnym PRL. Wybuchł ostry konflikt, który z trudnością uśmierzono w końcu 24 listopada, przyjmując kompromisowe rozwiązanie. Do statutu Solidarności dodano aneks: postanowienia konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz fragment porozumienia gdańskiego, w którym Międzyzakładowy Komitet Założycielski „Solidarność” uznawał kierowniczą rolę partii w państwie.

O tym, że aparat przemocy PRL po chwilowym szoku stara się powoli okiełznać „solidarnościową zarazę”, świadczył kryzys wokół dwóch działaczy mazowieckiej Solidarności – Jana Narożniaka i Pawła Sapełły. Zdobyli oni w jednej z drukarni i ujawnili dokument o nazwie „Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej”. Jej autor, prokurator generalny PRL gen. Lucjan Czubński, zalecał prokuratorom nowe metody walki z opozycją. Władze oskarżyły działaczy Solidarności o kradzież i upublicznienie tajnej instrukcji oraz dokonały aresztowania Narożniaka oraz Sapełły. Gdy władze zignorowały wezwania Solidarności do zwolnienia aktywistów, doszło w Regionie Mazowsze do strajku ostrzegawczego. W końcu wskutek mediacji jednego z liderów SDP Stefana Bratkowskiego władze uległy i zwolniły dwóch działaczy.

Jednak obie sprawy – kryzys wokół rejestracji Solidarności i sprawa Narożniaka oraz Sapełły – były zapowiedzią przyszłych kłopotów Solidarności. Nie sposób było szybko zmienić mentalności tysięcy funkcjonariuszy SB, wojskowych, prokuratury i aparatu partyjnego. Po rozładowaniu jednych konfliktów

pojawiały się nowe. W obozie władzy coraz częściej do głosu dochodzić zaczęło hasło: „Nie możemy się więcej cofać”. Wszystkie te tendencje kursu na konfrontację objawiają się w ostrej formie w 1981 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Historia na obrazie / Jadwiga, Wilhelm i Jagiełło

Jan Matejko „Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja”, 1882 r., olej/tektura, 46 x 38 cm

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Królowa z toporem



Leszek Lubicki

/ Dwóch wybitnych polskich malarzy przedstawiło na swych obrazach dramatyczny moment, który mógł kompletnie zmienić bieg naszej historii

Głoszono nadto i liczne są o tym podania, że Jadwiga tak dalece brzydziła się związkami z Jagiełłą, ksiąźciem litewskim, iż bez względu na przeciwnie rady i przełożenia panów polskich, nie chcąc oddać ręki Jagiełłę, postanowiła w tym właśnie czasie, kiedy wieść się rozeszła, że Jagiełło dla objęcia rządów królestwa i zaślubienia Jadwigi jechał do Polski, związki ślubne z Wilhelmem, ksiąźciem Austrii, od dawna z woli ojca Ludwika

jawnie i w kościele zawarte, wobec swoich dworzan i przychylnych panów uzupełnić sprawą małżeńską. Ale gdy wbiegł na zamek, gdzie miał z królową Jadwigą wejść do łóżnicy, z rozkazu i za sprawą panów polskich, którym takowe pokładziny wielce się nie podobały, niedopuszczony do komnaty sypialnej i z zamku sromotnie wypchnięty, sprawy cielesnej z królową zaniechać musiał. Jadwiga zaś królowa, tknięta do żywego takowym Wilhelma z zamku wypędzeniem, chciała sama dostać się do niego do miasta. A gdy wrota zamkowe z rozkazu panów przed nią zawarto, porwawszy siekiere, którą jej słudzy podali, własną ręką usiłowała je wyrąbać. Na koniec zmiękczonego prośbami rycerza Dymitra z Goraja przedsięwzięcia swego zaniechała”.

Tak pod rokiem 1385 zapisał Jan Długosz.

Gerson i Matejko

Dwóch polskich malarzy historycznych bierze do ręki pędzle i uwieczniają

ten moment z życia królowej Jadwigi. W XIX-wiecznym malarstwie historycznym jednym z ulubionych tematów tego nurtu były sensacyjne czy nawet romantyczne historie z dawnych wieków, a szczególnie takie, których uczestnikami były osoby z rodu królewskiego. Takim niezwykłym wydarzeniem była próba ucieczki z Wawelu królowej Jadwigi, gdy dowiedziała się, że jej mężem ma zostać „dzikus” Litwin, a nie jej ukochany i za dziecięcia zaślubiony Wilhelm Habsburg. „Opowieść emocjonująca, ale czy do końca prawdziwa? – pyta Andrzej Nowak. – Czy ułożona na niezwykle pobożnym dworze andegaweńskim 11-latką mogła z toporem rzucić się na drzwi wawelskie, by torować drogę swojej namiętności?”.

Pozwolimy sobie gdybanie w tym temacie zostawić na później. Teraz musimy spojrzeć na dwa najbardziej znane dzieła malarskie ukazujące tę opowieść naszego wybitnego kronikarza.

Najpierw za pędzel bierze Wojciech Gerson. Córka artysty, Maria Gerson-Dąbrowska, tak po wielu latach napisze o obrazie ojca. „A oto młodziutka Królowa Jadwiga z toporem w dłoni w chwili, gdy przemocą chce się wydobyć z zamku krakowskiego. O wrota zamkowe oparty stoi Dymitr z Goraja, starzec nieustraszony, który nie waha się oprzeć królewskiej woli i surowem słowem przypomina obowiązki panującego. U boku Jadwigi dwór strwożony i pomieszany, młody paż tylko chwyta ciekawie porzucony list, przez Wilhelma królowej przysłany”. Widzimy na obrazie, że topór nie jest jeszcze użyty, a prowadzony jest dopiero dialog między królową a możnowładcą. Jakich argumentów może on używać, aby Jadwiga zaniechała swych planów?

Artysta znany z patriotyzmu obrazem tym „zdaje się przekonywać widza, że nawet w możliwości utraty szczęścia osobistego należy wybrać dobro kraju” – pisze Piotr Kopszak. Obraz Gersona to także alegoria, bo – jak zauważa Armand Vetulani – malarz tym dziełem pokazał „klasyczny konflikt uczucia i obowiązku”.

W dziele Matejki widzimy więcej osób. Sam mówił: „Ja maluję epokę, a zapiski kronikarzy i historyków, to nie ewangelia [...], ja robię po swojemu i basta”. Jego sekretarz opisał osoby, które na obrazie zobaczymy: Jadwiga, bp Bodzanta, Dymitr z Goraja, Zawisza z Kurozwęk – kasztelan krakowski, Gniewosz z Dalewic. Dodatkowo w górnym rogu pojawia się dama

dworu. Tutaj już jest bardziej ostro. O ile w dziele Gersona królowa dopiero podchodzi z toporem pod drzwi, które zasłania swoim ciałem Dymitr, i prowadzi z nim rozmowę, o tyle u Matejki już zamiar rozbicia ciężkich wrót zamierza zrealizować. Niechybnie mogłoby to nastąpić, gdyby nie tenże Dymitr, który za topór zdążył pochwycić.

Na obydwu tych dziełach widzimy Jadwigę jako osobę wprawdzie młodą, ale już dojrzałą. Jednak w tym czasie królowa miała ok. 11 lat. Obaj artyści zastosowali tutaj najważniejszą bodaj zasadę malarstwa historycznego, wybierając „owocny moment”, czyli taki, kiedy nie wszystko jeszcze zostało rozstrzygnięte, a akcja zmierza wyraźnie do zakończenia.

Mąż dla króla

Kim był ten Dymitr z Goraja, że śmiał się przeciwstawić woli króla Polski? Na obrazie Gersona rzeczywiście starzec, u Matejki człowiek młodziej wyglądający. W rzeczywistości miał wówczas 45 lat. Z pochodzenia Rusin, podskarbi królewski, wierny wcześniej Kazimierzowi Wielkiemu. On sam, ale i inni panowie krakowscy w Jadwidze jako noszącej w swoich żyłach piastowską krew widzieli naturalną spadkobierczynię wielkiego, ostatniego Piasta na polskim tronie. Jadwiga, choć była Andegawenką, to jednak krwi piastowskiej płynęło w niej wystarczająco dużo – dwie babki Piastówny, a nade wszystko prawnuczka Władysława Łokietka.

Możni polscy wiedzieli, że musi wyjść za mąż, bo trzeba nam również króla męczyzny. Problemem było tylko to, kto ma nim zostać. Jako najmłodsza, trzecia córka Ludwika Węgierskiego i Elżbiety Bośniaczki nie była przez rodziców w ogóle planowana na żonę jakiegokolwiek króla. Jako czteroletnie dziecko została zaręczona, czy wręcz zaślubiona, z o kilka tylko lat starszym od niej Wilhelmem Habsburgiem. Historia jednak potoczyła się nie tak, jak planowali rodzice. Po śmierci Ludwika Węgierskiego, wobec wcześniejszych ustaleń z polskimi możnymi, że polski tron będzie mogła objąć jedna z jego córek, gdy najstarszej się zmarło, wypadło na najmłodszą.



Wojciech Gerson „Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja”, 1869 r., olej/plótno; 95 x 68 cm,

FOT. MUZEUM LUBELSKIE

I tak jesienią 1384 r. koronowano Jadwigę na króla Polski. I właśnie królem, a nie królową, była aż do śmierci. Książę habsburski jako mąż i król Polski naszym możnowładcom nie odpowiadał. Wymyślono więc, że najlepszą partią, oczywiście dla dobra Królestwa Polskiego, a nie Jadwigi, będzie nasz najbliższy sąsiad, wielki książę litewski. Czy – o ile tak w rzeczywistości było z tym toporem, jak zapisał Długosz – gdyby udało się Jadwidze rozbić drzwi, a nasi panowie nie zachowaliby czujności, to nigdy w Polsce nie nastałaby dynastia Jagiellonów? Paweł Jasienica pisze: „Komesowie mieli słuszną, co muszą im przyznać nawet przeciwnicy unii. Habsburskie małżeństwo nie rokowało żadnych zysków, przyniosłoby natomiast same szkody, chociażby w postaci nagłego zerwania z Litwą. [...] Dobrze świadczy o ówczesnej Polsce, że nie pozwolono, by rozstrzygnięty anonimowy wpływ oraz Opolczyk, który działał zdecydowanie na niekorzyść kraju”.

A sama Jadwiga jak mogła przyjąć myśl panów polskich, aby wydać ją za Litwin? To, że bała się z nim małżeństwa, to raczej nie podlega dyskusji. Pogański książę opisywany był jej jako nieokrzesany dzikus, a i zapewne z wyglądu straszny, bo ołtosiony jak niedźwiedź. I w dodatku poganin. Tyle mogła wiedzieć młoda królowa wychowana w „cieplarnianych” warunkach na

ekskluzywnym wręcz węgierskim dworze.

Jasienica odnosi się do piastowskiego księcia Władysława Opolczyka, który w imieniu Wilhelma knuł w Budzie z matką Jadwigą Elżbietą Bośniaczką. Nalegał, aby królowa nie zgodziła się na ślub z Jagiełłą, ale nakazała, jak to wcześniej było w umowie, poślubić córcę Habsburga. Opolczyk sprowadza zatem Wilhelma do Krakowa i chce doprowadzić do skonsumowania związku. Młodzi spotykają się czasami w pobliskim kościele franciszkanów, ale czujni polscy panowie nie pozwalają na zbliżenia. Poza tym Jadwiga nie była jeszcze w wieku sprawnym, który dla kobiety wynosił lat 12, kiedy można było związek legalnie skonsumować. Choć Krzyżacy plotki rozgłaszali, a i Habsburgowie również, że do zbliżenia cielesnego doszło. Byli zawiedzeni, że polska korona przeszła im koło nosa.

Czy chęć spotykania się Jadwigi z Wilhelmem podczas jego pobytu w Krakowie wynikała z trwającego od dzieciństwa uczucia miłości? Tutaj, w dużym uproszczeniu oczywiście, zdania historyków są podzielone. Marek Urbański pisze: „Pobyt królowy na dworze habsburskim nie potrwał wprawdzie długo, dzieci jednak żyły się ze sobą i nie ulega żadnej wątpliwości, że uczucie, jakim Jadwiga zapalała do Wilhelma, bliższe było miłości niż siostrzanego przywiązania. Późniejsze wypadki dowiodły tego jednoznacznie”.

Odmienne sprawę widzi Maria Koczerska: „Podczas ceremonii ich symbolicznych zaślubin Jadwiga miała cztery lata, a Wilhelm – osiem. Widzieli się krótko jako małe dzieci. Co ośmiolatek mógł wiedzieć o czterolatce? Czy czterolatka mogła go w ogóle zapamiętać? W sierpniu 1385 r. Jadwiga z pewnością niewiele z tej ceremonii pamiętała. Właściwie nie znała Wilhelma, nie sądzę więc, że walczyła o spełnienie dawnej miłości, bo jej po prostu nie było”.

Jeżeli w ogóle coś ją do niego zbliżało, to pragnienie posiadania męża z europejskiego i chrześcijańskiego dworu. Prawie jej rówieśnika, bardziej gładkiego zapewne w obyczajach od nieznanego jej oraz starszego o lat 20 „barbarzyńcy” z Litwy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Masłoń

/ Wilhelm Mach miał patriotyczny, chłopski rodowód. W PRL starał się trzymać z dala od politycznej aktywności. Dziś wyciąga się jego homoseksualizm

Zmarły w 1965 r. Wilhelm Mach jako pisarz został ze szczerem zapomniany, choć w swoim czasie pięć jego powieści krytycy wychwalali bez umiaru, a „Agnieszka, córka Kolumba” trafiła nawet na listę lektur szkolnych. Przywoływali go natomiast, jako człowieka, koledzy – literaci, podkreślając jedną i tę samą stronę jego osobowości. Właściwie jedynie Piotr Kuncewicz pochylił się serio nad twórczością Macha, utrzymując, że zostaną po nim „na pewno” dwie książki: „Rdza” i „Życie duże i małe”, „nowoczesne, wolne od serwitutów politycznych, »zaangażowania«, publicystyki. Mroczne, gorzkie i piękne, odkupiające manowce życia i literatury”.

Gdyby ktoś nie wiedział, o jakie „manowce” chodziło, to przed pięciu laty, w 50. rocznicę śmierci twórcy „Rdzy”, „Krytyka Polityczna” stosowny (?) tekst działacza LGBT Krzysztofa Tomasika, zaczerpnięty z jego „Homo-biografii”, zatytułowała wymownie: „Mach, ty pierdolony pedale!”.

W „Pięknych dwudziestoletnich” Marek Hłasko opowiedział całe, godne kamery filmowej, zdarzenie z Wilhelmem Machem w jednej z ról głównych:

„[...] wyjechaliśmy z kolegą Bernstem [prawdziwe nazwisko Edwarda Żebrowskiego, scenarzysty i reżysera – przyp. K.M.] na Mazury. [...] Mieszkaliśmy w miejscowości nazwanej malowniczo Wyspą Róż i za towarzystwo mieliśmy czterech rybaków wyrzuconych z Dalmoru za pijaństwo i bójki. Jeden z nich miał jednak żonę i dziecko, które postanowił ochrzcić; w tym celu nabył pięknego prosiaka i zapowiedział uroczystość. [...] Nie pamiętam już,

Jarosław Iwaszkiewicz i Wilhelm Mach
FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS



1916–1965

Fatalne zauroczenia
Wilhelma Macha

Pisarz na manowcach

czy to ja, czy Edward zgłosił projekt zaproszenia na rzeczony chrzciny Wilhelma Macha; w każdym razie Mach odpisał, że przyjedzie, i rzeczywiście zjawił się tak zwanego fatalnego ranka – jak o tych sprawach piszą gazety. Mach zjawił się i po nieprzespanej nocy poszedł spać, a my wszyscy pracowaliśmy nad przyrzadzeniem prosięcia, które tegoż ranka pozbawiłem życia strasznym ciosem noża. Ci z Dalmoru zachowywali się niespokojnie; czekało

ich pijaństwo i spodziewali się towarzystwa kobiet, którego pozbawieni byli od miesięcy. Tu trzeba dodać, że do najbliższego miasta było około dwudziestu kilometrów, tak że ulubionym tematem wieczornych wspólnych rozmów i pieśni była nikczemność i przewrotność kobiet. Wreszcie zjawili się goście; była tam tylko jedna, ale za to bardzo ładna dziewczyna; posadzono ją po prawej stronie Wilhelma Macha, któremu, zapewne dzięki jego godne-



wości neutralność, ale kiedy ryki ich pozbawiły go – jak to genialnie mówi poeta – możliwości zasłużonego wyczynu, uniósł ze snu skroń i w sposób pełen szlachetnej prostoty pozbawił ich wszystkich przytomności: jednego po drugim. Nazajutrz przerażony i postarzały o lat dwadzieścia Mach opuścił Wyspę Róż”.

Hłasko pominął tu jednak milczeniem to, że Wilhelm Mach kochał się w nim. To o jego względy rywalizował z Jerzym Andrzejewskim. Pisał do niego listy takie jak ten: „Ukochany, Ukochany, Marku mój, Przyjacielu, Bracie najdroższy, najbliższy mi na świecie Człowieku, Światło moje, radości moja i smutku, Wszystko, co mam, i Wszystko, czego mi brak. Ty jesteś miarą mojego czasu, objętością mojego serca, drogą doń, niecierpliwością szczęśliwą lub biedną przebudzeń. Ty jesteś moim mówieniem do ludzi, których co dzień spotykam, jesteś też wszystkim, na co patrzę, jesteś formą jak gdyby mojej świadomości, kierunkiem myśli, bólem serca, rozpaczą nad mijającym czasem, nadzieją i brakiem nadziei, szczęściem i bezsensownością, krzykiem wśród nocy, milczeniem wśród zgiełku dnia, jesteś tym, co znalazłem, i jest tak, bo Cię Kocham, i będzie tak, póki Cię Kocham – a wiesz, ile uczciwej i aż bolesnej lęklivosti zawieram w takim sformułowaniu, a wiesz już i powinieneś wiedzieć, że najważniejszą jest wierność w sobie niezadufana”.

Jak meteor

„Był człowiekiem skomplikowanym, niespokojnym, jakby skrywał głęboko jakąś tajemnicę – w 2012 r. w »Piórze« odwoływał się do osobistych wspomnień Marek Nowakowski. – Wkrótce odkryłem, że wykazuje skłonności homoseksualne. Kiedyś, rozgrzany alkoholem, zaczął traktować mnie jako obiekt do uwiedzenia, jego dłoń spoczęła na moim udzie, zamglone oczy, nierówny oddech. Nie miałem żadnych inklinacji. Odczułem wstręt przed tą uwodzicielską ofertą. Wreszcie odepchnąłem go brutalnie. Postawiłem sprawę jasno i uczciwie. [...] zrozumiał, że postawiłem wyraźną

barierę w naszej zażyłości, wytyczyłem jej granice. Zostaliśmy przyjaciółmi, mimo znacznej różnicy wieku, mogę tak śmiało powiedzieć”.

Mimo upływu lat wciąż oceniał go Nowakowski pozytywnie: „Wydawał mi się bardziej uczciwy, rzetelny. Miał godne poczucie patriotycznego, chłopskiego rodowodu z galicyjskiej wsi i starał się trzymać na uboczu od politycznej aktywności. [Do końca tak nie było; Mach popełnił nie tylko socrealistyczny »Jaworowy dom« (1954), ale i jakąś propagandową broszurę związaną z pełnioną przez niego funkcją konsultanta literackiego Domu Wojska Polskiego, i »krotochwilę« o wymownym tytule »Traktor i dziewczyna« razem z Tadeuszem Kwiatkowskim i Stefanem Otwinowskim – przyp. K.M.]. Pisał niewiele, najwyraźniej dusił go przymus ograniczeń w pisaniu. Obezwładniał go szczególnie skrywany homoseksualizm i również skryta obcość wobec powojennej rzeczywistości, tak odmiennej od wyobrażeń o niepodległości, która miała nastać po okupacji niemieckiej. Największą satysfakcję sprawiało mu wyławianie młodych talentów. Każdy nadesłany tekst czytał z najwyższą starannością, dostrzegając w lot zalety i wady. Odkrywał oryginalność, własny ton. Tępił imitację, zręczne naśladownictwo”.

Tadeusz Konwicki wspominał wcześniejsze, krakowskie lata: „Na początku 1946 Mach zaprotegował mnie do »Odrodzenia«. Karol Kuryluk przyjął mnie na korektora i od tego momentu zaczęła się moja kariera życiowa, którą Mach nadzorował z sąsiedniego pokoju, ponieważ redakcje »Odrodzenia« i »Twórczości«, w której Mach pracował, mieściły się w jednym lokalu na Basztowej. [...] chyba pół roku później Zbigniew Bienkowski, sekretarz »Odrodzenia«, wyjechał na stypendium do Francji. Obaj z Machem objęliśmy opuszczone czasowo mieszkanie Zbyszka na ulicy św. Teresy. Mieszkaliśmy tam do 1947 roku w nadzwyczajnych luksusach: były dwa wspaniałe, słoneczne pokoje, była kuchnia, była łazienka. [...] Mach przeżywał chyba w tym czasie swoje najpiękniejsze lata. Pojawił się jak meteor na krakowskim niebie na przełomie wojny i pokoju. Pierwsze numery »Twórczości« przyniosły jego fascynujące eseje i chyba

mu wyglądowni, ci nożownicy z Dalmoru nadali tytuł profesora. Trzeba wyjaśnić, że Wilhelm Mach nie interesował się w sposób przesadny kobietami, co było dziwne przy jego silnie rozwiniętych instynktach rodzinnych; mam na myśli jego bratanków. W czasie biesiady zauważyłem skurcze przerażenia i wstrętu przebiegające po twarzy Macha i domyśliłem się, że młoda dama czyni mu daleko posunięte awanse. Zauważyli to także nożownicy z Dalmoru, którzy ostrzyli sobie zęby w związku z pobytom owej młodej damy, i usłyszałem, że w rozmowach poruszają sprawę porachunków z »profesorem«. I rzeczywiście, około północy zaczęła się ogólna rzeź. My z Wilhelmem zamknęliśmy się na górę, a tamci gonili się po całej Wyspie Róż uzbrojeni w noże do patroszenia ryb. Nie wiem, co by z nami było, gdyby nie kolega Bernstein, który z początku zachowywał wobec walczących pełną życzli-



Reklama filmu „Do widzenia, do jutra” Janusza Morgensterna
FOT. ARCHIWUM

■ fragmenty debiutanckiej powieści »Rdza«. Chłonna, wyposzczona, chciwa życia socjeta krakowska przywitała go jak młodego księcia”.

Ino kurz leciał

W redakcjach, gdzie pracowano z Machem (był sekretarzem w „Twórczości” w latach 1945–1950, a następnie prowadził dział prozy w „Nowej Kulturze” – do 1958 r.), słuchano jego wystąpień z otwartym ustami, domagając się ich nagrywania i natychmiastowej publikacji. Niewątpliwie jego kwieciste, erudycyjne popisy mogły robić na odbiorcach duże wrażenie. Jednak też warto odnotować trzeźwy głos Marii Dąbrowskiej, która w 1959 r. w swoich „Dziennikach” odnotowała: „Na obiedzie Wilhelm Mach, który mi przyniósł bułgarską umowę o wydanie »Nocy i dni«. To dziwny człowiek – miodopłynny orator na użytek zwykłej codziennej rozmowy towarzyskiej. Mówi, że jest z pochodzenia chłopem (małopolskim, a więc sądząc z imienia i nazwiska, chyba pochodzenia niemieckiego), który dopiero kształcił się, poznał język literacki. Używa go aż nazbyt kunsztownie i jakoś po staroświecku”.

To, co uwierało Dąbrowską, bardzo musiało przypaść do gustu... Andrzej-

jowi Bobkowskemu. O ich powojennej przyjaźni całkiem niedawno napisał Maciej Urbanowski w książce „Paralele, korespondencje, dedykacje” (Arcana, 2020). Pisarze poznali się w Paryżu, w 1947 r., gdy Mach przyjechał tam jako stypendysta rządu francuskiego. W liście do Jarosława Iwaszkiewicza tak autor „Szkieł w piórkiem” opisywał jedno z ich spotkań: „Wziąłem Wilka pod pachę i poszliśmy do takiej małej restauracyjki koło Luksemburgu, w której było przyjemnie, cicho i miękko, jak w safianowym puzderku. [...] Przepiliśmy na »Ty« i gadali. To wspaniały chłopak. I jak myśmy się dogadali od razu. To dziwne – tyle lat, taka rozpiętość przeżyć, warunków, wszystkiego – a tu nic, żadnej obcości, żadnego luzu, wszystko dokręcone od pierwszego słowa. Ani ja nie miałem przez chwilę uczucia, że mówię z kimś – jak to się mówi – »stamtąd«, ani chyba on, że mówi z kimś »stad«. On czuje się świetnie. Nie ma w nim żadnych ślepych »zachwyków«, ustawia wszystko dobrze. Marzy, żeby wyrwać się ze mną na wiosnę na jakąś włóczęgę po Francji. Chciałbym mu to urządzić. Ach – jak nam się gadało i jak nam się milczało, to jeszcze ważniejsze od rozmowy. Nasza rozmowa była jak przedświadczone trzepanie dywanów. Ino kurz leciał, kurz całych lat zdarzeń, słów, ludzi,

prozy i poezji, teatru i muzyki. Po kolacji przejechaliśmy na Strasburg-St. Denis i stamtąd na piechotę bulwami aż do »Viela«, gdzie w cichej Sali grała damska muzyczka, o której Wilek powiedział, że jest jak gramofon w dobrym stylu. Było tam drobnomieszczańsko. Siedzieliśmy do dwunastej”.

Ze wspólnej wyprawy nic nie wyszło. Bobkowski wyjechał do Gwatemali, Mach wrócił do Polski. Ten pierwszy jednak jeszcze wiosną 1949 r. prosił w liście matkę, by spotkała się „koniecznie z Wilhelmem M., kochanym, roślinnym chłopcem”. Pamiętajmy, że urodzony w 1917 r. Mach był trzy lata młodszy od Bobkowskiego. Łączyła ich pamięć wojny, choć autor „Rdzy” wziął w niej udział (we wrześniu 1939 r. dowodził drużyną w 6. Dywizji Piechoty Armii Kraków), a autor „Szkieł w piórkiem” w 1940 r. z Niemcami nie walczył. Ale te ich najważniejsze utwory – że zacytuje prof. Urbanowskiego – „reprezentowały wprawdzie odmienne konwencje prozatorskie, bo Mach stworzył powieść psychologiczną, Bobkowski dziennik intymny, ale oba oryginalnie mierzyły się z doświadczeniem niedawnej wojny. Ich autorzy ukazywali ją jako katastrofę starego świata i wartości, które go fundowały. Opisywali ją też z perspektywy »cywilnej« jako katastrofę starego świata i wartości, które go fundowały. Opisywali ją też z perspektywy »cywilnej« jako krytyczny sprawdzian wartości »inteligentkich«”.

Dzieckiem przecież nie był

„Rdzę” wydał Wilhelm Mach w roku 1950, następną swoją dobrą książkę – zdaniami Piotra Kuncewicza – dopiero po następnych dziewięciu latach. Było to „Życie duże i małe” – „komentarz dorosłego mężczyzny do jego własnego widzenia świata, gdy jako półsierota, syn kłusownika i robotnika leśnego, oglądał na leśnych południowo-wschodnich kresach Polski wysiedlenie »Greków«, czyli zapewne unickich Łemków, oglądał wielkie namiętności i nienawiści, walkę i śmierć. Rzadki to przypadek, by w literaturze pokazano wieś, gdzie Ukraińcy i Polacy żyją

w przyjaźni i bez nienawiści, a przecież nieraz tak bywało. Świat pięknie, gdy zezwolimy, by go baśń oplotła, czy to się tylko dziecku udaje? Mach, gdy pisał to swoje małe arcydzieło [! – przyp. K.M.], dzieckiem przecież nie był [...]”.

Pisarz urodził się we wsi Kamionka pod Ropczycami (Rzeszowskie) w rodzinie chłopskiej. Wczesnie osierocony, wychowywany był przez najstarszą siostrę. Od 1928 r. uczył się w prywatnym gimnazjum w Ropczycach, a następnie w państwowym Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Maturę zdał w roku 1936, po czym przygotowywał się do pracy pedagogicznej w Krakowie. Studia polonistyczne dokończył po wojnie na Uniwersytecie Jagiellońskim, łącząc je z pracą w „Twórczości” i Polskim Radiu, gdzie omawiał bieżące wydarzenia kulturalne. Po przeprowadzce do Warszawy w 1950 r. działał na forum Związku Literatów Polskich, zaczął wyjeżdżać za granicę, współpracował też z Filmem Polskim (był m.in. współscenarzystą „Do widzenia, do jutra”, kultowego dziś obrazu Janusza Morgensterna z 1960 r.). Dwukrotnie dostawał nagrody państwowe: w 1955 r. III stopnia za „Jaworowy dom” i w 1964 r. II stopnia za „Agnieszkę, córkę Kolumba”.

Z jego książek wymienić jeszcze należy „Góry nad czarnym morzem” (1961), ni to dziennik pisarski, ni powieść, znów o stosunkach polsko-ukraińskich, tym razem jednak zupełnie nie sielankowych. Wyraźne są też tutaj odwołania do wcześniejszych utworów pisarza, także do „Rdzy”, w której gorzko oceniał świat, w jakim przyszło nam żyć: „Słuszność – maska pychy. Pycha – rdza cnót ludzkich. Człowiek – rdza ziemi. Ziemia bezludna – jedna z gwiazd. Spokój doskonały. Najdoskonalszy, bo bez podmiotu. Nikt. A więc: nic”.

Stała się czynić dobro

Przez dłuższy czas ukrywane były prawdziwe okoliczności śmierci Macha. Jeszcze w 1978 r. Janusz Termer w niewielkiej rozmiarami książce „Wilhelm Mach” pisał o nagłej śmierci swojego bohatera z powodu ataku serca. Jednak po latach nawet wiekowy Ryszard Matuszewski musiał przyznać: „[...] za

jego śmiercią krył się jakiś głęboki dramat. Wrócił do domu ze SPATiF-u, zażył dużą ilość proszków nasennych po alkoholu i koniec. Na czym ów dramat polegał? Porzucony kochanek? Nie wiedziałem i nie wiem. Paru wspominających Wilka próbowało ów dramat rozszyfrować. Kazik Brandys [...]”.

No właśnie. Wilhelm Mach zakochał się w młodym Bułgarze. Nazywał się Toszek, był z Burgas, przynajmniej dwa razy przyjeżdżał do Polski, w tym na „sty-pendium”, które wydebił Mach dla niego w ZLP. W tygodniu poprzedzającym śmierć autora „Rdzy” Brandys spotkał ich nad morzem, w Sopocie. „Bułgar był niewysoki, silnie umięśniony. Dość ładna, sprytna twarz. Mieszkaliśmy w domu ZAiKS-u, oni w jednym pokoju, ja w sąsiednim. Często przez ścianę dochodził do mnie głos Wilka, uwodzicielski, pieścizotliwy”. Przybysz z Bułgarii oglądał się jednak za kobietami, co wpędzało w rozpacz jego wielbiiciela.

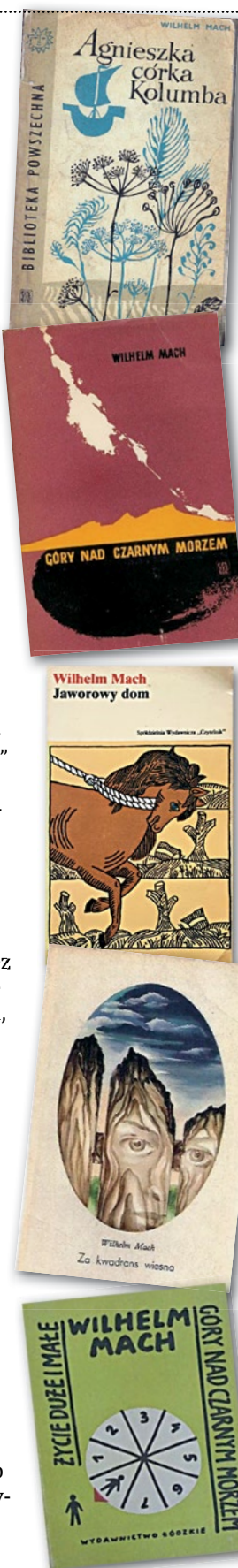
„Wilhelm Mach był jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich znałem – pisał Kazimierz Brandys. – Nie mogłem pojąć jego zauroczenia kimś tak pospolitym. Bułgar był może niezłym chłopcem, wymykał się z domu wieczorem w poszukiwaniu przygód zgodnych z jego naturą i pewnie nie przychodziło mu do głowy, że postępuje okrutnie. W przeddzień ich wyjazdu zaproponowałem, aby

po kolacji pójść razem na wino do Grand Hotelu. Wilek spojrzał na mnie z wdzięcznością. W kawiarni byłem nadzwyczaj elokwentny i wzniosłem toast ku czci »Gór nad czarnym morzem«. Od sąsiedniego stolika zerknęły na nas dwie kobiety. Tuż przed wyjściem z kawiarni zauważyłem, że Bułgar dał im zapraszający, jakby umówiony znak. Ulotnił się zaraz po wyjściu. Wilek miał oczy trupa. Odmówił, kiedy prosiłem, by zająć do mnie i chwilę jeszcze porozmawiać. Zrozumiałem, że chce być sam. Chciał czekać. [...] Odechali wczesnym pociągami, ja zostałem do końca tygodnia. Po moim powrocie do Warszawy rano zadzwonił telefon z wiadomością, że Wilek Mach nie żyje”. Był 2 lipca 1965 r.

Jeśli wierzyć Barbarze Stanisławczyk („Miłosne gry Marka Hłaski”, Rebis 2009), ów bułgarski Toszek „zdradził [Macha – przyp. K.M.] z Andrzejewskim i z własną dziewczyną. Aż wreszcie wrócił do swojego kraju i się z nią ożenił”. A autor „Pięknych dwudziestoletnich”, od siedmiu latach przebywający na emigracji, napisał z Palermo do matki: „Śmierć Wilhelma bardzo mnie poruszyła. Znałem go dobrze. Wiem, że bardzo cierpiał nad swymi nieszczęsnymi skłonnościami. Wiem, że ludzie wyszukiwali go bez litości. I wiem, że zawsze starał się czynić dobro w miarę swoich skromnych możliwości. Nasze drogi rozeszły się jakoś pewnego dnia, ale zawsze byliśmy w przyjaźni”.

Niewykluczone, że i okoliczności śmierci pisarza, i inne mroki jego życia (sugerowane np. przez Tadeusza Konwickiego) mogłoby rozjaśnić archiwum Wilhelma Macha, bacznie jednak strzeżone przez rodzinę. Co zupełnie nie dziwi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Pierwsza książka Agnieszki Cubały o Powstaniu Warszawskim ukazała się kilkanaście lat temu, zanim jeszcze autorka rozpoczęła pracę przy utworzeniu słynnego dziś muzeum przy ul. Grzybowskiej. Pamiętam, że lektura „Ku wolności... Międzynarodowe, polityczne i psychologiczno-socjologiczne aspekty Powstania Warszawskiego” sprawiła mi przyjemną niespodziankę. Oto w młodszym pokoleniu pojawia się osoba, która stara się pisać uczciwie o tym wydarzeniu. Która naprawdę zna fakty i potrafi je interesująco przedstawiać. A patrzy na te dramatyczne 63 dni płonącej Warszawy w taki sposób, że dodaje nową wartość do powstańczego księgozbioru, bez taniej apologii, ale i bez dość obmierzłej totalnej negacji.

Takie też były jej następne książki. Kolejno: „Sten pod pachą, bimber w szklance, dziewczyna i... Warszawa”; „Skazani na zagładę? 15 sierpnia 1944”; „Igrzyska życia i śmierci. Sportowcy w Powstaniu Warszawskim”. Wreszcie w ubiegłym roku ukazały się: „Miłość '44” oraz „Piaseczno '44”. dopełnieniem tego powstańczego fresku są wydane tego roku „Kobiety '44”. Dobrze, że te historie zostały zebrane i opisane. Dobrze, że uczyniła to właśnie kobieta, potrafiąca dostrzegać szczegóły i oceniać przede wszystkim realia – i mająca przy tym wszelkie zalety badacza przeszłości i pisarza trafiającego do swego pokolenia.

Ta książka jest – wedle autorki – „O trudnych, czasami wręcz niewiarygodnych historiach kobiet, które uczestniczyły w Powstaniu Warszawskim. O wydarzeniach, doświadczeniach i emocjach, które stały się udziałem tysięcy warszawianek. O sprawach, o których do tej pory nie mówiło się wcale albo wspominało jedynie gdzieś na marginesie innych historii. I o najbardziej prywatnych, czasami wręcz intymnych sferach życia kobiet. Tych, o których one same bardzo długo nie chciały lub nie potrafiły opowiadać, ponieważ uważały, że ten, kto sam nie przeżył podobnego piekła, nie będzie w stanie tego zrozumieć”.

Często słyszała od tych kobiet: „To bardzo trudne do opowiedzenia”, „Nie chcę do tego wracać”, „Tego nie da się opisać słowami”. Tak mówiły m.in. wielka aktorka Danuta Szaflarska ps. Młynarzówna, narciarka i olimpijka z Oslo – Teresa Kodelska-Łaszek,



W oddziałach powstańczych dziewczęta były przede wszystkim łączniczkami i sanitariuszkami FOT. PRÓSZYŃSKI I S-KA

Książka miesiąca / Kobiety '44

Warszawianki w powstaniu

ps. Kinga, poetka i dramatopisarka Anna Świrszczyńska, najlepsza przewodniczka kanałowa Natalia Sendys ps. Zyta czy pieśniarka okupowanej Warszawy i królowa polskiego jazzu – Hanka Brzezińska. Również znakomita aktorka Irena Kwiakowska ps. Katarzyna uważała, że „kolejnym pokoleniom nie ma sensu opowiadać o tych przeżyciach, bo to wszystko nieważne, a w dodatku i tak nikt tego nie zrozumie”. Liczba wspominanych Polek, w tym wielu powszechnie znanych, których wypowiedzi zawiera książka, jest imponująca. Cubała znalazła je m.in. w setkach dokumentów, zapisach „Historii mówionej”, publikacjach samych bohaterek, we wspomnieniach zawartych w wywiadach prasowych.

Przy opisie gwałtów i mordów dokonywanych przez psychopatycznych zbirów – esesmanów Dirlewangera i ronowców Kamińskiego – zamieszcza m.in. fragment relacji z targowiska Zielieniak na Ochocie, gdzie piekło kobietom urządzili żołdacy z kolaboracyjnej RONA: „8 sierpnia widziałam rzecz następującą: obok nas siedział małżeństwo z dzieckiem. Po żonę przyszli ronowcy. Mąż zaczął krzyczeć, próbował ją bronić, ale na próżno. Bandyci zagrozili, że go

zabiją. Wtedy on rzekł: – Zosiu, idź! To było okropne. Po jakimś czasie wróciła. Była pobita, ubranie miała poszarpane, płakała spazmatycznie. Zgwałciło ją dziewięciu ronowców. Mąż uspokajał ją. Innego dnia byłam świadkiem śmierci jedenastoletniej dziewczynki, zgwałconej i pobitej przez ronowców. Umierała pod murem, przy niej klęczała i płakała matka...”

Dobrze, że w innym z rozdziałów czytamy o znanym „warszawskim poczuciu humoru”, który towarzyszył mieszkańcom stolicy podczas tego dramatu. Danuta Szaflarska wielokrotnie podkreślała: „Ratował nas humor! [...] Czekaając w długiej kolejce po wodę, siadaliśmy na grobach – bo wszędzie były groby – i opowiadaliśmy dowcipy. W sytuacji zagrożenia człowiek po prostu broni się, by nie oszaleć...”. ©©

Maciej Rosalak



AGNIESZKA CUBAŁA
„KOBIEITY '44.
PRAWDZIWE HISTORIE
Kobiet w Powstańczej
Warszawie”

WYDAWNICTWO PRÓSZYŃSKI I S-KA

145 dzielnych ludzi

Tych niewielu” – to książka opisująca niesamowite dokonania polskich lotników podczas bitwy o Anglię. Tytuł został zaczerpnięty z przemówienia Winstona Churchilla, który mówił o „tych niewielu” zagranicznych lotnikach, którzy pomogli ocalić Wielką Brytanię przed katastrofą. Pomogli w odparciu Luftwaffe, a co za tym idzie – uniemożliwili Niemcom inwazję na Wyspy.

Ilu konkretnie było „tych niewielu”? 145. Tyłu polskich pilotów wzięto udział w Bitwie o Anglię. Stanowili najliczniejszą grupę obcokrajowców biorących udział w podniebnych walkach z Niemcami. A ich skuteczność zapierała dech w piersiach. Piotr Sikora, znakomity znawca zagadnienia, pisze o walce polskich lotników w sposób pasjonujący. A jednocześnie niezmiernie fachowy.

Książka ma również gorzkie momenty. Wydawałoby się, że Brytyjczycy byli dłużnikami Polaków, którzy w 1940 r. walczyli i przelewali krew w obronie Wielkiej Brytanii. Nic bardziej mylnego! Rząd Jego Królewskiej Mości miał w tej sprawie diametralnie inny pogląd.

„Po zakończeniu drugiej wojny światowej – pisze autor – polski rząd na uchodźstwie, który zaczynał być dla gabinetu brytyjskiego premiera Clementa Attlee nie tyle niewygodny, co wręcz kłopotliwy, otrzymał rachunek opiewający na przeszło 107 milionów funtów. Suma ta miała stanowić pokrycie wszelkich wydatków związanych z działalnością Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Krótko mówiąc, Polacy powinni zapłacić za każdą bombę zrzuconą na niemieckie cele, każdy pocisk wystrzelony we wspólnego wroga; każdy przywdziany mundur i każdy przyszyty na tymże mundurze guzik, każdą spożytą kromkę chleba i każdy opatrunek dla rannych...”

Można się na to oburzać lub wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. ©©

Piotr Zychowicz



PIOTR SIKORA

„TYCH NIEWIELU. POLSCY LOTNICY W BITWIE O ANGLIĘ”

REBIS

Niemcy i bolszewicy przeciw Polsce

Autorzy książki przedstawiają na szerokim tle historycznym przebieg Bitwy Warszawskiej i wydarzenia z nią związane. A wśród nich wciąż mało znany fakt intensywniej współpracy Niemiec z bolszewicką Rosją podczas wojny, którą toczyła z nią Polska.

Berlin i Moskwę połączyło wówczas – mimo różnic ideologicznych – przekonanie, że Polska powinna znów zniknąć z mapy Europy. Dlatego nawiązano rozmowy i współpracę wojskową. Autorzy piszą, że z armii niemieckiej do Armii Czerwonej oddelegowano prawie 4 tys. oficerów i podoficerów. Na wrogię Polskę Litwie Niemcy otworzyli biura werbun-

kowe dla swoich rodaków i Litwinów, rekrutujące do Armii Czerwonej. W sierpniu 1920 r., korzystając z przejścia przez teren Prus Wschodnich, oddziały bolszewickie zaatakowały i zdobyły Działdowo. Dowódca 4. Armii Aleksander Szuwajew, widząc się już zwycięzcą, planował przekazanie Pomorza Niemcom. ©© (t.s.)



GRZEGORZ ŁUKOMSKI,
ELŻBIETA SZUMIEC-ZIELIŃSKA
**„ZWYCIĘSTWO POLSKI,
OCALENIE EUROPY.
BITWA WARSZAWSKA 1920”**

LTW



SIMON KING, CLARE NASIR

„JAK PACHNIE DESZCZ”

DOM WYDAWNICZY REBIS

POGODA I HISTORIA

Znajdujemy tu 100 pytań o zadziwiające zjawiska pogodowe. Przykładowo o prądy strumieniowe – wiatry wiejące na wysokości 12 km z prędkością do 400 km/godz., zmieniające pogodę na powierzchni globu. Zależy od tego m.in. przebieg wojen. Dlatego całe wieki ludzie starali się przewidzieć zmiany pogody. Meteorologia narodziła się w II połowie XIX w. w Anglii, ale prognozy są nadal zawodne... ©© (m.r.)



(PRACA ZBIOROWA)

**„RAPORTY POLSKIE STASI
1981-1989, T. I”**

IPN

PRL OCZAMI STASI

Wszyscy znamy tę anegdotę. O ile PRL był najweselszym barakiem w sowieckim obozie, o tyle w baraku NRD panował najbardziej ponury i represyjny reżim. Stasi – NRD-owska policja polityczna – żywo interesowała się tym, co działo się za wschodnią granicą. Zbiór dokumentów „Raporty polskie Stasi” zawiera analizy przygotowywane w przededniu stanu wojennego. Kolejne tomy – wkrótce. ©© (p.z.)



ANGELIKA KLUŹNIAK

„BOZNAŃSKA. NON FINITO”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

FASCYNUJĄCA BOZNAŃSKA

Życie znakomitej malarki zostało bardzo ciekawie opowiedziane w książce Angeliki Kluźniak. Autorka przedstawia drogę artystki z Krakowa do sukcesu w Paryżu. Boznańska była nagradzana na prestiżowych wystawach na Zachodzie. Pieniądze się jednak jej nie trzymały, rozdawała je potrzebującym, niestety i wydrwigroszom. Ze stron książki wylania się portret osoby samotnej, trudnej, nawet zdziwaczalnej, a zarazem szlachetnej. ©© (t.s.)



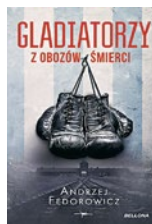
Tadeusz Pietrzykowski
FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

Bokserzy z kacetów

schwitz w pierwszym transporcie. Pierwszą walkę stoczył z kapo Walte-rem Dünningiem. Walka była wyrównana, mimo że różnica wagi wynosiła aż 30 kg na niekorzyść Polaka. Dunning docenił jego postawę i skierował go do lepszych prac.

Pietrzykowski stoczył w Auschwitz i Neuengamme 60 walk, z których jedną tylko przegrał, a jedną zremisował. A nagrodę za zwycięstwo wypłacano w jedzeniu, od pół bochenka chleba i kostki margaryny do 10 bochenków i tłuź kostek, a nawet dwóch kotłów zupy. Pietrzykowski dzielił się wygraną ze współwięźniami. Pisał z obozu do rodziny, że jest mistrzem KL Auschwitz.

Na obozowym ringu w Auschwitz zastąpił Pietrzykowskiego Antoni Czortek, przedwojenny trzykrotny mistrz Polski i wicemistrz Europy. Był uczestnikiem wojny z Niemcami w 1939 r., a w obozie tłukł ich na ringu. Obserwującym jego walki więźniom wyrzywały się okrzyki: „Bij Niemca!”. A kiedy pokonał Dünninga, maszerował wśród szpaleru więźniów wiwatujących na jego cześć.



Zwycięstwa Polaków budziły u jed-nych Niemców – esesmanów i kapo – podziw i szacunek, u drugich jednak złość i chęć zemsty. Lekarz SS celowo zaraził Pietrzykowskiego tyfusem, a to oznaczało, że będzie przeznaczony do zagazowania. Uratowali go współto-warzysze z konspiracyjnej organizacji. Czortkowi zaś zakazano walk.

Innym bokserem walczącym w kac-etchach był Edward Rinke z Pomorza, w 1939 r. uczestnik samoobrony zwalczającej niemieckich dywersantów. Aresztowany, trafił do Mauthausen i stoczył tam m.in. walkę z Czortkiem.

Autor pisze też o obozowej pięściar-skiej karierze Salamo Aroucha, greckiego Żyda, mistrza Grecji i Bałkanów, specjalisty od nokautów, który walczył w obozie m.in. z Antonim Czortkiem. Historia Aroucha została częściowo wykorzystana w filmie „Triumf ducha” w reżyserii Roberta M. Younga,

w którym główną rolę zagrał Willem Dafoe. Jednak obraz wywołał sprzeciw Jacko Razona, który twierdził, że Arouch i Young ukradli jego historię. ©©

Tomasz Stańczyk

ANDRZEJ
FEDOROWICZ
„GLADIATORZY
Z OBOZÓW
ŚMIERCI”

BELLONA

Krucjaty na miarę naszych czasów

Brytyjski popularyzator historii, autor opowieści o średniowieczu – „Templariusze”, „Plantageneci”, „Wojna Dwóch Róż” – napisał w ubiegłym roku niewątpliwie ciekawą książkę. Jones stara się ukazać przełomowe momenty podczas krucjat w Ziemi Świętej oraz w Hiszpanii, Europie Wschodniej i południowej Francji. Dowiadujemy się licznych szczegółów o ludziach, wydarzeniach i obyczajach w tamtych czasach.

Oto np. dwóch sławnych rycerzy z końca XIV w. – angielski Bolingbroke oraz francuski Boucicaud. Nasi bohaterowie, w przerwach wojny stuletniej między swoimi krajami, rywalizowali

przyjaźnie na turniejach rycerskich albo jeździli na Litwę, aby wspólnie z krzyżakami wyrzynać – rzekomo w ramach krucjaty – pogańskich Litwinów. Pierwszy został później królem Henrykiem IV. Drugi na czele rycerstwa francuskiego przegrał przez krańcową głupotę podczas prawdziwej wyprawy krzyżowej pod Nikopolis (1396) z Turkami, a potem z Anglikami pod Azincourt (1415).

Jones sprostą też wymogom poprawności politycznej. Otóż, wedle niego, łacinnicy zabierali ziemie obcym, a nie odbierali tereny należące od półtora tysiąca lat do kultury greckiej, przy tym od tysiąca lat – chrześcijańskiej. O rzad-

ko którym łacinniku czytamy cokolwiek dobrego. O porywającej postaci Baldwina IV – młodocianego króla trędowatego, dzięki którego męstwu, mądrości i pobożności krzyżowcy pokonali Saladyna pod Montgisard – niemal nic! ©©

Maciej Rosalak

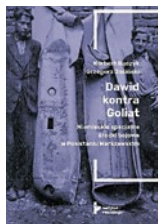


DAN JONES
„KRZYŻOWCY. EPICKA
HISTORIA WOJEN O ZIEMIĘ
ŚWIĘTĄ”

ZNAK HORYZONT

1944. Rozerwać Warszawę!

Powstanie Warszawskie, pomimo upływu lat od jego wybuchu, wciąż wydaje się wydarzeniem nie do końca zbadanym. Widać to wyraźnie w obszarze zagadnień dotyczących strony niemieckiej. Szczególny deficyt wiedzy związany jest z brakiem ostatecznego rozpoznania jednostek Wehrmachtu, Luftwaffe, Waffen-SS, żandarmerii, Policji Bezpieczeństwa, biorących udział w walkach i uczestniczących w masakrach ludności cywilnej. Dlatego z wielkim uznaniem należy odnotować pojawienie się na rynku wydawniczym książki „Dawid kontra Goliath”, w której autorzy opisali specjalne środki bojowe użyte przez Niemców w Powstaniu Warszawskim.



wykorzystywanych do walk przeciw powstańcom.

Zupełnie inaczej jeśli chodzi o wiedzę powszechną, wygląda kwestia wprowadzenia do walki systemu typu Tajfun. Pluton posiadający ten środek walki – liczący 53 żołnierzy, a dowodzony przez por. Ericha Schunkego – włączony został do kompanii sztabowej wspomnianego 500. Batalionu. Tajfun był gazowym materiałem wybuchowym działającym na bazie

pyłu węglowego lub mieszanek tlenku węgla i etylenu. Mieszano go z tlenem i wtłaczano za pomocą gumowych węży, a potem za pomocą kabla zapłonowego detonowano. Do

**NORBERT BĄCZYK,
GRZEGORZ JASIŃSKI**
**„DAWID
KONTRA GOLIATH”**

INSTYTUT PIŁECKIEGO

użycia systemu Tajfun doszło 16 sierpnia 1944 r. podczas walk na ul. Przejazd 3. Wtedy też gruz wysadzonej kamienicy pogrzebały znanego poetę związanego z Konfederacją Narodu Tadeusza Gajcego „Topora”.

Wymienić należy także na ogół zdalnie sterowane, choć czasami naprowadzane przez kierowcę, borgwardy (nazwa pochodziła od nazwiska właściciela firmy produkującej te pojazdy), czyli nosiciele ładunków wybuchowych Sprengstofftrager B IV c, oznaczane też jako Sd.Kfz 301. Pojazdy tego typu znajdowały się na wyposażeniu 302. Batalionu Pancernego dowodzonego przez mjr. Reinela. Jeden z nich 13 sierpnia 1944 r., podczas walk na Starym Mieście, wbił się w barykadę obsadzoną przez żołnierzy AK z batalionu „Gustaw”. Niestety, powstańcy, nie znając specyfiki tej broni, zabrali pojazd, wykonując nim triumfalny objazd ulicami Starówki. Na ul. Kilińskiego prowadzący go kierowca przypadkowo dokonał zrzutu skrzyni zawierającej 500-kilogramowy ładunek wybuchowy, co spowodowało eksplozję, która zabiła ok. 300 osób.

O tym i wielu innych epizodach związanych z użyciem specjalnych środków bojowych będzie mógł przeczytać każdy, kto sięgnie po tę niezwykle ciekawą i interesującą lekturę. ©©

Arkadiusz Karbowski

13 mgnień Polski

Nie ma co obrażać się na zachodnich – czyli prawdziwych – Europejczyków, że na ogół kompletnie nie znają historii Polski. Nie muszą. Dla nich wschodnie granice Europy wyznaczył Karol Wielki na Łabie. Reszta to jakaś ziemia niczyja, ewentualnie teren teutońskiego Lebensraumu. Europejczycy to narody germańskie oraz romańskie i tylko ich historią warto się zajmować. No, może jeszcze Rosją. Potwierdza to książka Simona Jenkinsa, cenionego w Wielkiej Brytanii popularyzatora historii.

Aż do II połowy XVIII stulecia Polskę zauważył dokładnie 13 razy, i to tylko w urywkach zdań dotyczących poważnych krajów i narodów. Dwukrotnie pozytywnie – bo Żydzi znaleźli tu azyl przed prześladowaniami. Również dwukrotnie w kontekście negatywnym, bo zakony – najpierw w średniowieczu, np. benedyktyni, dominikanie czy cystersi, a po soborze trydenckim jezuici – rzekomo opanowały nasz kraj. Renesans rozdzielił się tu dzięki zamążpójściu włoskiej księżniczki, szwedzcy królowie mieli co podbijać, a inni władcy walczyli o „sukcesję polską”. Gdzie Grunwald 1410 r. i wyjątkowa na kontynencie unia z Litwą? Gdzie wolność i tolerancja religijna, o której nie śniło się nad Tamizą i Sekwaną? Gdzie Wiedeń 1683 i antemurale christianitatis? W 24 rozdziałach i w dziesiątkach podrozdziałów za brakło na takie wydarzenia miejsca...

I nie ma co się obrażać. Tak to jest – i już. Liczą się tylko nadal silni albo dobrze urodzeni. Książkę Jenkinsa warto przeczytać, aby to zrozumieć.

©©

Maciej Rosalak



SIMON JENKINS
**„KRÓTKA HISTORIA
EUROPY. OD PERYKLESA
DO PUTINA”**

DOM WYDAWNICZY REBIS



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Powrót **biesów**

/ Z nudy, przesyty, ze zmęczenia dobrobytem i bezpieczeństwem rodzi się głód perwersji rewolucji i jej nieudaczných heroldów

kraży widmo kolejnej rewolucji, tym razem wywijającej flagą w barwach zubożonej o jeden kolor tęczy. O rewolucji zaś, a zwłaszcza o rewolucjonistach, Dostojewski wiedział wszystko i wszystko napisał.

I, jak to jest z literaturą, nawet tą największą, nikogo to przed niczym nie ocaliło ani nikomu nie rozjaśniło w łepety. Wydana prawie pół wieku przed październikowym zamachem Trockiego i Lenina powieść zawnazła, proroczco, postawiła diagnozy, które, mimo jej wielkiego sukcesu i trwałego miejsca w literaturze, nie są rozumiane ani przyjmowane. Przeciwnie, zaprzeczają się im

gorliwie, kultywując i mitologizując propagandowe zmyślenia.

Konkretnie: Dostojewski, który knujących narodników i anarchistów dobrze znał z autopsji, sam przecież za młodu uległ rewolucyjnemu zapałowi i omal nie przyplącił tego życiem, pokazuje jasno, że rewolucje stoją nieudacznikami. Bynajmniej nie decydują w nich herosi, niezłomni bojownicy, którzy po prometejsku obrali sobie za cel zbawienie ludzkości i niezłomnie dążą do zrealizowania swej wizji. Nie, siłą sprawczą rewolucji jest frustracja nieudaczników, niepotrafiących spełnić oczekiwań, które narzuca na nich społeczeństwo. Nie mogąc zrobić kariery, zdobyć pięknych kobiet ani życiowej stabilizacji, szukają dla siebie ścieżki alternatywnej – i znajdują ją w przejściu na pozycję „wywrotowe”. W tym wcieleniu oto nagle nieudacznik staje się kimś, ba, zaczyna imponować – tak jak powieściowy Wierchowienśki imponuje żonie samego gubernatora.

Żeby nieudacznik, „loser”, z osobnika, którym się gardzi, stać się mógł osobnikiem podziwianym i pogromcą niewieścich... no, powiedzmy po staroświecku, że serc, musi jednak zająć wcześniej inna przemiana. Społeczny ład musi się znudzić, i to przede wszystkim znudzić się tym, których ten ład uprzywilejowuje. Skądinąd to właśnie oni, elity, są na takie znudzenie, na dekadencję najbardziej podatni. Z tej nudy, przesyty, ze zmęczenia dobrobytem i bezpieczeństwem rodzi się głód perwersji rewolucji i jej nieudaczných heroldów.

Prawda jest dokładnie odwrotna od rewolucyjnych mitologii. Nie zdrowa krzepa „ludu”, ale zgnilizna elit, nie wiara, ale zniechęcenie, nie heroizm, ale nieudacznictwo, nie pęd ku wyzwoleniu wreszcie, ale „ucieczka od wolności” obalały królestwa i ustroje. To są właśnie biesy rewolucji. Podnieśmy wzrok znad kart Dostojewskiego i patrzmy, jak znowu tańczą po zgnuśniętym i zbrzydzonym samym sobą Zachodzie. ©©

Toreadorzy Hitlera” – tak brzmi tytuł wydanej niedawno przez Capital książki Wojciecha Jerzego Muszyńskiego o División Azul, czyli Błękitnej

Dywizji wysłanej przez gen. Franco do Rosji. Przyznam się, że przeczytałem ją jednym tchem. Skąd tytułowe porównanie do toreadorów? Tak poczuł się kpr. José García Moreto, gdy czekał

stami rozmaite porachunki do wyrównania. Powtórzmy jednak – z komunistami, a nie Rosjanami. Dlatego bardzo źle patrzyli na brutalność w traktowaniu sowieckich jeńców, mieli przyjazny stosunek do Polaków i mierzył ich sadyzm Niemców wobec Żydów.

Muszyński cytuje wspomnienia Wacława Pardo, polskiego robotnika przymusowego wywiezionego do Prus Wschodnich: „Jechałem właśnie rowe-

zasad polityki hitlerowskiej. Jaskrawym przykładem nieuzgodnienia światopoglądów było starcie w Grodnie. Oddział hiszpański, maszerując ulicą, napotkał oddział pędzonych przez Niemców jeńców sowieckich, którzy błagali o żywność. Jakaś kobieta rzuciła im spoza parkanu kilka paczek. Gdy w odpowiedzi na to jeden z konwojentów strzelił do kobiety, a inny rzucił się z kolbą na podnoszących paczki jeńców, bijąc ich z całej siły, Hiszpanie złamali szeregi i wyciągnąwszy sztylety (nie nosili wtedy broni palnej), pospieszyli czerwonoarmistom na pomoc. Wywiązała się formalna bitwa niemiecko-hiszpańska, co wykorzystali jeńcy, którzy w liczbie około 200 rozbiegli się. W rezultacie jeden Niemiec został zasztyletowany, 6 rannych, a Hiszpanie również ponieśli ofiary”.

Te okresowe niesnaski w relacjach z hitlerowcami nie zmieniały jednak faktu, że Hiszpanie bili się z Armią Czerwoną z entuzjazmem, choć byli jeszcze bardziej od



Piotr Semka

/ Felieton

Ostfront po hiszpańsku

/ **Hiszpanie źle patrzyli na brutalność wobec sowieckich jeńców, okazywali przyjaźń Polakom i mierzył ich sadyzm Niemców wobec Żydów**

w śnieżnym okopie na atak sowieckich czołgów.

„Ziemia drży, stalowy potwór jest coraz bliżej, a ty w rękach trzymasz pancerfaust. [...] wtedy była w nas wewnętrzna cisza i spokój, jak u toreadora, gdy stoi sam ze szpadą na środku areny. Tak, czuliśmy się toreadorami i byliśmy nimi dosłownie, gdy samotnie niszczyliśmy sowieckie T-34 w samym środku bitwy. To był wspaniały moment triumfu, choć nie było muzyki i nikt nie bił nam braw”.

Muszyński wyjaśnia, jak sprawnym politykiem był Francisco Franco, który w pierwszej fazie wojny, gdy Niemcy zagrażali suwerenności Hiszpanii, wykipił się od udziału w wojnie po stronie Hitlera, wysyłając na front dywizję ideowych antykomunistów.

W większości byli to falangiści z lat wojny domowej, którzy mieli z komuni-

rem na pastwisko, kiedy zwrotniczy zamknął tor kolejowy. [...] Nadchodzi pociąg wojskowy. To dziwo! Jadą hiszpańscy żołnierze. Ciepło. Zakasane rękawy, czarne zarosty, opalone twarze. [...] Stojącego przy szlabanie robotnika Polaka witają okrzykami »Polacco!« i »Viva Polonia!« (miałem z lewej strony literę »P«). Jeden z żołnierzy krzyczy »Polska«, a w uniesionych ramionach trzyma różaniec”.

O innym spotkaniu z Polską informował podziemny biuletyn narodowców „Szaniec”, który po ataku na ZSRS i zdobyciu Grodna w 1941 r. przez Niemców tak opisywał przemarsz Hiszpanów 26 sierpnia przez miasto.

„Przybyło ich sześć batalionów. Stosunek ich do Polaków był zupełnie przyjazny, co już świadczyło o niezupełnym przyswojeniu sobie kardynalnych

Niemców nieprzyzwyczajeni do srogich mrozów. Przybysze z południa bardzo cierpieli w wyniku odmrożeń. Bawiły ich jednak zimowe podróże saniami – pojazdem, którego w Hiszpanii nikt nie znał.

Cała przygoda Błękitnej Dywizji skończyła się w połowie 1943 r. Franco uznał, że po lądowaniu Amerykanów w północnej Afryce nie musi bać się już inwazji Hitlera na swój kraj. Większość dywizji odwołano do kraju, zostawiając jeszcze – dla niepalenia mostów z Niemcami – mniejszy oddział ochotników. W końcu i on został ściągnięty do kraju w marcu 1944 r.

W ojczyźnie witano ich entuzjastycznie. Rozumiano, że to „błękitni” ponieśli koszt pozostawienia Hiszpanii przez Hitlera w spokoju. Ostatni do kraju wrócili w 1956 r. jeńcy hiszpańscy, którzy przetrwali łagry. To oni zapłacili najbardziej słoną cenę za politykę uników gen. Franco. ©©

1934–1939

/ Prawdy i zmyślenia o sanacyjnym „kacecie”

Były budynek obozowy w Berezie Kartuskiej. Obok symbol Obozu Narodowo-Radykalnego FOT. WIKIMEDIA



Bereza komunistów i kryminalistów



Tomasz Stańczyk

/ Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej był i jest uważany za hańbę II Rzeczypospolitej

Obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej pisało w zasadzie tak samo w Polsce pod rządami komunistów i po przełomowym roku 1989. Hańba, czarna plama II Rzeczypospolitej – te określenia były i są używane obecnie.

Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego, co działo się w Berezie – dla łamania i tak surowego regulaminu, bicia osadzonych, poniewierania nimi, łżenia ordynarnymi słowami przez policjantów-strażników. Nie ma usprawiedliwienia dla naruszenia zasady, że pozbawienie wolności może nastąpić jedynie na mocy wyroku sądowego.

Niemal wszyscy piszący o hańbie i czarnej plamie w dziejach II Rzeczypospolitej – zarówno w czasach komunistycznych, jak i po nich, aż do dziś – koncentrują się na aktach bezprawnej przemocy fizycznej i dręczenia osadzonych. Podkreśla się przy tym często uwagę na to, że w tak brutalny sposób byli traktowani przez rządzące ugrupowanie marszałka Józefa Piłsudskiego członkowie opozycji.

A tą opozycją osadzaną w Berezie byli komuniści, agenci płatni i bezpłatni Związku Sowieckiego, bo takimi byli członkowie Komunistycznej Partii Polski i jej przybudówek, wrogowie niepodległej Polski. Tą opozycją byli też ukraińscy separatyści i terroryści pragnący oderwać od terytorium Rzeczypospolitej cztery województwa kresowe. A także radykalni narodowcy, z dużymi sympatiami dla faszyzmu włoskiego i z wielką niechęcią do Żydów, dopuszczający się słownej i fizycznej agresji wobec nich. Z punktu widzenia władz komunistów, ukraińscy i polscy nacjonaliści byli niebezpiecznymi wywrotowcami.

Przez obóz w Berezie Kartuskiej przewinęło się 3 tys. ludzi. Przytłaczającą większość, ok. 90 proc., osadzonych w latach 1934–1939 stanowili komuniści

oraz kryminaliści. Ci ostatni jednak rzadko są wspomniani w tekstach o Berezie. Nie pasują bowiem do obrazka obozu jako miejsca izolowania politycznych przeciwników władz.

Dekret Mościckiego

15 czerwca 1934 r. został zamordowany wicepremier i minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Był to bezpośredni powód, ale bardziej pretekst do stworzenia obozu odosobnienia dla wywrotowców. Zgodę wyraził Józef Piłsudski, jednak uważał, że jest to rozwiązanie doraźne, tylko na jeden rok. Po roku Marszałek już nie żył i mimo różnych opinii w elicie rządzącej na temat celowości istnienia obozu przetrwał on do września 1939 r.

Dekret prezydenta Mościckiego wprowadzał możliwość pozbawienia obywatela wolności na trzy miesiące, z ewentualnością przedłużenia na następne trzy miesiące w drodze administracyjnej, bez postępowania sądowego. Było to oczywiście złamanie konstytucji. Bywało i tak, że niektórzy osadzeni w Berezie – wyłącznie jednak komuniści – spędzali tam

więcej niż pół roku, co było złamaniem prawa.

Żeby trafić do Berez-y Kartuskiej, wystarczyło, by starosta lub wojewoda uznali, że działalność i postępowanie danego obywatela dają podstawy do obaw, iż grozi z jego strony naruszenie „bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego”. Starosta składał wniosek do wojewody, ten wysyłał pismo do departamentu politycznego MSW.

Jeśli tam zatwierdzono wniosek, wówczas wysyłano go do sędziego w Brześciu nad Bugiem (stolicy województwa poleskiego, na którego terenie znajdował się obóz odosobnienia). To nie administracja państwowa, jak się powszechnie uważa, ale władza sądowa ostatecznie decydowała o pozbawieniu wolności, jakkolwiek bez wyroku. A znaczny odsetek wniosków o osadzenie w Berezie był odrzucany przez sędziego (w 1936 r. na 493 wnioski zaakceptowano 369).

Ten bardzo istotny fakt, świadczący o istnieniu niezależnej kontroli sądowej nad wnioskami administracyjnymi o pozbawienie wolności, jest z reguły pomijany przez piszących o obozie odosobnienia. Nie pasuje bowiem do obrazka administracyjnego bezprawia.

O lokalizacji miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej miały zadecydować dwa argumenty. Województwo poleskie należało do najmniej zaludnionych w Polsce, stąd ewentualne próby zbliżenia się do terenu obozu, w celu nawiązania kontaktu z osadzonymi, były łatwe do zauważenia. Wojewodą poleskim był Wacław Kostek-Biernacki, jeden z realizatorów drastycznej rozprawy z opozycją parlamentarną, którą w 1930 r. przeprowadził Józef Piłsudski. Jej działacze zostali wówczas uwięzieni w Brześciu, a Kostek-Biernacki sprawował nad nimi nadzór. Miejsce i człowiek mieli gwarantować skuteczne i zarazem spokojne funkcjonowanie obozu. Kostek-Biernacki jako wojewoda przystosował byłe koszar-y do potrzeb miejsca odosobnienia.

Zamach na Pierackiego przeprowadziła Organizacja Ukraińskich Nacjona-



listów, ale pierwszymi osadzonymi w obozie w Berezie nie byli jej członkowie, lecz młodzi działacze Obozu Narodowo-Radykalnego. Wysłanie ich do miejsca odosobnienia nie wiązało się z trwającymi bardzo krótko podejrzeniami, że to oni są sprawcami zabójstwa ministra. Władzom chodziło o sparaliżowanie działalności zdelegalizowanego już ONR, ugrupowania nacjonalistycznego, antysemickiego i bliskiego ideowo faszystowskiemu. Oczywiście, w ten sposób piłsudczycy starali się utracić konkurentów do władzy. Radykalni narodowcy, a był wśród nich znany wówczas później Bolesław Piasecki, zostali zwolnieni jesienią 1934 r., później tylko sporadycznie trafiali do miejsca odosobnienia. Byli wśród nich działacze obwiniani o prowadzenie zajęć antysemickich. W pierwszym roku istnienia obozu w Berezie Kartuskiej trafili do niego także komuniści i członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Policjanci funkcjonariusze miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej zdecydowanie najgorzej traktowali komunistów. Byli z reguły na powitanie bici pałkami i w zasadzie tylko ich dotyczyła brutalna przemoc fizyczna. Bito za odmowę powtarzania za policjantami: „Nie będę więcej komunistą” i kazano się „modlić” słowami: „Stalin, ażebyś cię jasny szlag trafił, Stalin, ażebyś zdechł jak sobaka”. Policjanci obiecywali, że kto się wyrzeknie Stalina i komunizmu, ten będzie zwolniony. Komuniści wspominali, że tylko nieliczni z nich zdecydowali się na to. Dręczono też komunistów, każąc im pokonywać zwirowaną drogę w obozie na kolanach, z rękami uniesionymi do góry. Policjanci nazywali tę szykanę „podróżą do Stalina”. Organizowano też w rocznicę bolszewickiej rewolucji w Rosji karną, ciężką gimnastykę dla komunistów.

Pobyt w obozie odosobnienia zamiast złamać komunistów, miał ich zaharto-

wać, jak twierdzili „bereziazi”. Jednak Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polski stwierdzał, że wypuszczeni z Berez-y są często tak „psychicznie zmaltretowani i oszołomieni”, że przez dłuższy czas nie będą się nadawali do pracy partyjnej.

Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej miał być miejscem narodzin „nowych, komunistycznych herosów” – jak stwierdzono w zbiorze wspomnień „bereziazków”.

A wśród tych „herosów” był Fiodor Markow, dowódca oddziału partyzantki sowieckiej, na którego rozkaz wymordowano w 1943 r. kadrę pierwszego oddziału Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, na czele z jego dowódcą Antonim Burzyńskim „Kmicicem”. Innym „herosem” był Władysław Sobczyński-Spychaj, szef wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego w Kielcach oraz Rzeszowie. Szczytów władzy w komunistycznej Polsce sięgnęli „herosi” Roman Zambrowski, jesienią 1939 r. pomocnik grupy operacyjnej NKWD w Baranowiczach, jeden z czołowych ideologów komunistycznych, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR w latach stalinowskich, oraz Władysław Wicha, minister spraw wewnętrznych PRL, zwierzchnik Służby Bezpieczeństwa.

Osadzeni w Berezie Kartuskiej działacze i sympatycy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów byli traktowani znacznie



Wacław Kostek-Biernacki, wojewoda poleski FOT. NAC



Policjanci z załogi obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej FOT. ARCHIWUM

■ lepiej niż komuniści. W efekcie ugody polsko-ukraińskiej zawartej w 1935 r. zostali zwolnieni z Berezki. A w obozie przebywali m.in. Roman Szuchewycz, przyszły dowódca Ukraińskiej Powstańczej Armii, odpowiedzialny za masowe zbrodnie przeciwko Polakom w latach 1943–1944, Iwan Kłymyszyn, dowódca UPA-Południe, która mordowała Polaków na Wołyniu oraz Jarosław Staruch, po uwolnieniu z Berezki zastępca Stefana Bandery.

Źli i dobrzy policjanci

Działacz OUN, Władimir Makar, uważał, że wśród policjantów było kilku, kilkunastu oprawców i tyłuż życzliwych oraz dobrych dla osadzonych. „Reszta ani źli, ani dobrzy, a raczej raz byli źli, raz doskonali, w zależności od nacisków z góry, od... pogody i pory dnia”. Policjanci Markowski i Sitek bili bezlitośnie. Jednak w wyniku inspekcji zostali usunięci z obozu. Komendant obozu karał też policjantów, ale tylko wtedy, gdy były widoczne ślady i skutki bicia osadzonych.

Spośród ok. 3 tys. osadzonych zmarło kilkanaście osób, niemal wszyscy w szpitalu w Kobryniu. Niemożliwe jest dziś do zweryfikowania, czy wszystkie te zgony – jak twierdził Ireneusz Polit, autor jednej z książek o miejscu odosobnienia w Berezie – były wynikiem „sadyistycznego traktowania i ciężkiej pracy”. Historyk nie podaje bowiem żadnych źródeł, które przemawiałyby za jego opinią. Jednak zapewne było i tak. Wielu osadzonych komunistów było schorowanych i wycień-

czonych po pobytach, często wieloletnich, w więzieniach i z pewnością ich stan zdrowia w Berezie mógł się pogorszyć, a to doprowadziło do śmierci.

Do śmiertelnych ofiar brutalności ze strony policjantów zalicza się: Abrama Germańskiego, Aleksandra Mozyrkę oraz Józefa Niedzielskiego. Wszyscy byli komunistami. Germański miał umrzeć na skutek pobicia. Według jednej wersji Mozyrko został zakopany po szyję w ziemi, którą wokół niego ubito, tak, że się udusił. Jednak w rzeczywistości Mozyrko zmarł w szpitalu w Kobryniu. Według drugiej wersji policjant kazał nasypać liście na leżącego komunistę, po czym „urządził sobie po nim spacer”. Tego samego dnia Mozyrko zachorował na zapalenie płuc i kilka dni później umarł.

Śmiertelną ofiarą Berezki był komunist Dawid Cymerman, który po 10 latach spędzonych w więzieniu trafił do Berezki. Popełnił samobójstwo, zapewne pod zaciętą z powodu kolejnego pozbawienia wolności. Narodowcy uważali, że śmierć jednego z nich, Henryka Rossmanna, po wyjściu w 1935 r. z obozu na uramię dwa lata później była spowodowana tym, że kilkakrotnie dostał pałką w Berezie po plecach, a później narzekał na ból nerek.

Obozowa codzienność

Wyżywienie było marne i niedostateczne, lecz za konfabulację należy uznać twierdzenie jednego z komunistów, że osadzeni aż „puchli z głodu”. Niemniej jednak więźniowie byli z pewnością mocno niedożywieni, a nawet bardzo

wycieńczeni, głównie ci, którzy wykonywali ciężkie prace. Obozowe menu nie pozwalało bowiem na regenerację sił. Do kawy zbożowej nie dawano cukru, żur był bez smaku, inne zupy też nie były wyrażone (kartoflanka, barszcz, kapuśniak). Nie były też z reguły okraszone lub były bardzo skąpo. Na obiad podawano „mały ochłap mięsa”. Nic więc dziwnego, że komunist Edmund Horowitz, przed osadzeniem w Berezie, „tęgi i zdrowy mężczyzna” ważący 105 kg, schudł do 70 kg.

Wizytujący oboz w Berezie wiceminister spraw wewnętrznych Henryk Kawecki spostrzegł, że osadzeni nie mają chleba do zupy wydawanej na kolację. Gdy zapytał dlaczego, odpowiedziano mu, że cały chleb jedzą na śniadanie. Jak wspominał ukraiński nacjonalista, „Kawecki tylko pokiwał głową, ale następnego dnia zaczęliśmy otrzymywać 75 dkg chleba zamiast dotychczasowych 35”.

Do kąpiei prowadzono osadzonych raz w tygodniu. Strzyżenie i golenie było bolesne, gdyż posługiwano się tępymi brzytwami i „wybrakowanymi wojskowymi maszynkami”.

Szykaną był zakaz palenia papierosów. Pilnujący osadzonych policjanci potrafili uderzyć pałką palacza za przekroczenie regulaminu. Nałogowcy korzystali jednak z uprzejmości mniej surowych policjantów, którzy dostarczali im tytoń. Policjant Lewantyński był jednym z tych, którzy przymykali oko na palenie, a gdy złapał osadzonego na gorącym uczynku, mawiał: „Przecież aresztowany wie, że Lewantyński jeszcze na nikogo ręki nie podniósł”.

Wszystkie nakazane czynności, ćwiczenia i prace osadzeni musieli wykonywać biegiem. Biegano więc do pracy, na stołówkę i do toalety. „Do najcięższych wspomnień zaliczam również kolektywne spełnianie funkcji fizjologicznych – na gwizdki, z wyliczoną minutą przeznaczoną na ten cel i pod stałą groźbą, że przy najmniejszym przekroczeniu tego czasu trzeba będzie własnymi rękami zbierać ekskrementy wszystkich pozostałych” – opisywał jeden z osadzonych ten szczególnie sposób poniewierania ludźmi. Jednak można było pójść do ubikacji za pozwoleniem policjanta.

„Celem wykonywanych prac nie była ekonomiczna wydajność – twierdził Wojciech Śleszyński, autor pracy o miejscu odosobnienia w Berezie Kartuskiej – ale przede wszystkim fizyczne i psychiczne wycieńczenie więźniów”. Rzeczywiście

było tak w przypadku niektórych prac. Przy budowie drogi osadzeni musieli ciągnąć kilkotonowy walec, a na polu – pługi i brony, dźwigali też nadmierne ciężary, przesypywali piach z miejsca na miejsce lub kopali doły tylko po to, by je następnie zasypywać.

Jednak inne prace trudno zaliczyć do ciężkich, a były nimi: obieranie ziemniaków w kuchni (pracowali tam inwalidzi i chorzy, a także zwolnieni z ciężkich prac i karnych ćwiczeń), porządkowanie parku i cmentarza, gdzie zbierano suche gałęzie i wyrwano chwasty, jednak bez rękawiczek, praca w warsztacie szewskim i krawieckim. Wbrew pozorom nie była ciężka praca w betoniarni. To właśnie tam każda sala kierowała do pracy najsłabszych więźniów.

Za łamanie regulaminu osadzeni trafiali do karceru. Rekordzistą był komunista Jakub Pancer, który spędził w nim aż 234 dni, jedną trzecią pobytu w obozie.

W roku 1936 zaczęli trafiać do Berez Kartuskiej ludzie ze środowisk kryminalnych, w tym recydywiści, paserzy, podpalacze, przemytnicy, złodzieje kieszonek, sutenerzy, był też jeden pedofil. Cat-Mackiewicz stwierdzał, że więźniowie z najcięższych zakładów karnych mówili mu, iż wolą tam siedzieć rok niż w Berezie miesiąc.

Do Berez można było trafić także za spekulację i oszustwa w działalności handlowej. „Najnieszcześliwsi byli – jak relacjonował Cat-Mackiewicz – wśród nas ci przestępcy skarbowi. Byli to zwykłe bogaci brzuchaci kupcy, w starszym wieku, przeważnie Żydzi, zesłani tu przez Składkowskiego, w celach demagogii za »pasek«, niepłacenie podatków itd.”. Niezahartowani w więzieniach i w konspiracji, tak jak komuniści i ukraińscy nacjonaliści, ciężko znosili obozowy reżim.

Stanisław Cat-Mackiewicz, redaktor wileńskiego konserwatywnego „Słowa”, został osadzony w Berezie Kartuskiej w kwietniu 1939 r. Urzędowy komunikat stwierdzał, że publicysta podrywał zaufanie do zdolności obronnych państwa i szerzył nastroje defetystyczne. Cat-Mackiewicz pisał o potęgze militarnej Niemiec i był zwolennikiem polsko-niemieckiego porozumienia. Wiosną 1939 r. stwierdzał, że położenie Polski jest poważne i wymaga „wykonania szeregu zadań zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej”. Postulował, by prezydent mianował nowy rząd.



Roman Suchewycz,
dowódca Ukraińskiej
Powstańczej Armii
FOT. WIKIPEDIA

Władze uznały, że Cat-Mackiewicz domaga się powołania rządu, który pójdzie na ustępstwa wobec Berlina. Nie może to być jednak usprawiedliwienie dla pozabawienia publicysty wolności.

Oprócz przypadkowego uderzenia pałką nic się Catowi-Mackiewiczowi złego nie stało. Ten wielki smakosz, a nawet żarłok, niewątpliwie jednak cierpiał z powodu niskokalorycznej diety i niesmacznych potraw. Niedługo jednak. Został zwolniony po trzech tygodniach.

Wojewoda Kostek

Z Berezą Kartuską łączy się powszechnie Waclawa Kostka-Biernackiego, wojewodę poleskiego, czasami powielana jest wciąż nieprawdziwa informacja, że był komendantem obozu. Wpływ Kostka-Biernackiego na to, co działo się w obozie i zdarzające się tam akty bezprawia, został zdemonizowany nie tylko przez komunistów, lecz także przez Cat-Mackiewicza. Publicysta utrzymywał, że Kostek-Biernacki, „chorobliwy sadysta [...] z lubością wymyślał tortury, z prawdziwie degeneracką lubością nazywając je piśczętliwymi nazwami: »gimnastyką«, »regulaminem« itp.”.

Osadzony w Berezie narodowiec nazwał Kostka nawet psychopatą nie gorszym od „dygnitarzy” z obozów niemieckich.

Piotr Cichoracki, biograf Kostka-Biernackiego, stwierdza, że nic nie wskazuje na to, iż spowodował on zastrzeżenie terroru, a relacje na ten temat mają wątpliwą wiarygodność. Kostek-Biernacki natomiast doprowadził do zwiększenia racji żywnościowych dla ciężko pracu-



Roman Zambrowski, członek Biura
Politycznego PZPR i sekretarz
Komitetu Centralnego
FOT. WIKIPEDIA

jących i po jednej z wizyt w obozie uznał opiekę medyczną nad osadzonymi za niedostateczną. Żądał – jak stwierdza Cichoracki – by do Berez kierowano albo funkcjonariuszy zaraz po szkole policyjnej, a oni – według relacji osadzonych – nigdy nie bili, albo niekaranych dyscyplinarnie.

Niewiarygodne są więc wspomnienia Stanisława Cata-Mackiewicza, który twierdził, że policjantów przysyłano do Berez dyscyplinarnie, za bicie aresztowanych. „Zbierano więc ludzi z całej Polski lubiących bić bezbronnych”.

Nie ma dowodów, że Kostek-Biernacki dopingował policjantów do okrucieństwa. Był wojewoda był sądzony w komunistycznej Polsce, w latach 50. W akcie oskarżenia nie postawiono jednak – jak zauważał Piotr Cichoracki – zarzutu znęcania się nad więźniami ani opracowania regulaminu obozu w Berezie Kartuskiej i działań w celu dręczenia więźniów. Kara śmierci – za zły stosunek do Związku Sowieckiego i komunizmu – została zamieniona Kostkowi-Biernackiemu na 16 lat pozbawienia wolności. Wyszedł z więzienia po 10 latach, ze zrujnowanym zdrowiem, na zwolnienie warunkowe i zmarł w 1957 r.

Po sowieckiej agresji, w nocy z 17 na 18 września 1939 r., policyjna załoga obozu opuściła jego teren. Osadzeni wydostali się na wolność. Najbardziej chyba cieszyli się komuniści. „Marzenie staje się rzeczywistością [...]. Oto, co tało się w prostych słowach: idzie Armia Czerwona!” – stwierdzał jeden z nich. I pomaszzerowali na spotkanie czerwonarmistów. Wrócili z nimi w 1945 r., by budować w Polsce komunizm.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Lato/jesień 1920 r. / Druga polska ofensywa w Galicji



Bolszewika



Maciej Rosalak

/ Jazda Budionnego była dla Armii Czerwonej tym, czym kły są dla wilka. Pod Komarowem wyrwali je polscy ułani

Porywające wiadomości z Mazowsza o zwycięstwie w Bitwie Warszawskiej wzmocniły wolę walki żołnierzy w Małopolsce Wschodniej, dodały otuchy obrońcom Lwowa. Jego zdobycie okazało się ponad siły wojsk bolszewickich. 20 sierpnia odszedł jak niepyszny spod zawsze wiernego Polsce miasta Siemion Budionny, zabierając stamtąd swą 1. Armię Konną, straszliwą dla bezbronnej ludności i jeńców, ale też bardzo skuteczną w warunkach tamtej wojny.

Od czerwca 1920 r. stanowiła ona mobilny 30-tysięczny taran czerwonego

frontu południowo-zachodniego, bez przerwy oskrzydłający nasze zgrupowania. Jednak na przełomie lipca i sierpnia omal sama nie została otoczona i rozbita przez polskie wojska pod Brodami. Tylko wycofaniu przez Piłsudskiego kilku najlepszych dywizji, niezbędnych do ofensywy pod Warszawą, zawdzięczać mogła ocalenie. Po niepowodzeniu pod Lwowem Budionny zdecydował się posłuchać rozkazów naczelnego dowództwa Armii Czerwonej i ruszył – rychło w czas... – na Warszawę. Po drodze stał Zamość...

Już od 19 sierpnia podchodzili pod Zamość bolszewickie oddziały zwiadowcze, a od 29 do 31 sierpnia oblegała go 1. Armia Konna. Miasta bronili niedawno tu przybyli 31. Pułk Strzelców Kaniowskich pod dowództwem kpt. Mikołaja Bołtucia oraz kilkuset żołnierzy ukraińskich stanowiących 6. Dywizję Strzelców Siczowych dowodzonych przez Marka Bezruczko. Twarda obrona z wykorzystaniem starych bastionów zamojskich dała czas na zorganizowanie grupy pościgowej pod dowództwem gen. Stanisława Hallera, złożonej z 1. Dywizji Jazdy płk. Juliusza

Rómmła oraz 13. Dywizji Piechoty dowodzonej przez samego St. Hallera.

Pułapka pod Zamościem

Oddziały St. Hallera znajdowały się w składzie 3. Armii gen. Władysława Sikorskiego, który planował zatrzymać Budionnego uderzeniem tej grupy i zmusić go do stoczenia walnej bitwy z udziałem dalszych dwóch dywizji naszej piechoty: 10. DP gen. Lucjana Żeligowskiego i 2. DP płk. Michała Żymierskiego. Plan ten udał się nie do końca z uwagi na większą mobilność wrogich jednostek kawaleryjskich, ale przed polskimi ułanami i szwoleżerami uciec one nie zdołały. I tak od 30 do 31 sierpnia pod Komarowem doszło do największej kawaleryjskiej bitwy XX w.

Armia Budionnego stanowiła wówczas – po walkach na Wołyniu, a zwłaszcza po bitwach, które dostała pod Brodami – najwyżej czwartą część sił sprzed kwartału. A jednak przywiodła pod Komarów 6 tys. żołnierzy, miała ok. 50 dział, 350 ckm-ów

Bitwa pod Komarowem
w ujęciu Jerzego Kossaka

FOT. ARCHIWUM

goń!

pierwszej wojny światowej (mjr Rudolf Rupp); 8. Pułk Ułanów Księcia J. Poniatowskiego (rtm. Kornel Krzczunowicz); 9. Pułk Ułanów Małopolskich (mjr Stefan Dembiński). Warto dodać, że dywizję wspierały trzy baterie artylerii konnej oraz – uwaga! – batalion szturmowy z karabinami maszynowymi na podwodach, który prowadził 28-letni wtedy kpt. Stanisław Maczek, w latach drugiej wojny dowódca sławnej „Pierwszej Pancernej”.

930 naszych kawalerzystów z 30 karabinami maszynowymi i ze wsparciem dział artylerii konnej w trzygodzinnej walce wytrzymało napór bolszewicki. Pułki brygady atakowały nawet w heroicznych szarżach, które jednak nie mogły złamać przewagi kozackiej dywizji.

Ale oto do pola bitwy zbliżyli się ułani VI Brygady Konstantego Plisowskiego, a Juliusz Rómmel zauważył nadarżającą się okazję do uderzenia całej jazdy



Delegacja oficerów 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego u gen. Edwarda Śmigłego-Rydza FOT. NAC

i siedem samochodów pancernych. Cała nasza Grupa Pościgowa liczyła 7,5 tys. żołnierzy i 48 dział. Z tego w samej 1. Dywizji Jazdy walczyło zaledwie 1,5 tys. kawalerzystów, wspieranych ogniem 16 dział i 70 ckm-ów. Warto przypomnieć owianą legendą skład owego konnego związku taktycznego.

Składał się z dwóch brygad, a każda z nich liczyła trzy pułki. VI Brygadą Jazdy dowodził płk Konstanty Plisowski, który 11 lipca 1919 r. poprowadził słynną szarżę pod Jazłowcem. Brygadę tworzyły trzy pułki ułanów: 1. Pułk Ułanów Krechowieckich z tradycją bitwy pod Krechowcami w lipcu 1917 r. (dowódca – płk Sergiusz Zahorski); 12. Pułk Ułanów Podolskich (rtm. Tadeusz Komorowski, późniejszy komendant główny AK); 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich (kpt. art. Michał Belina-Prażmowski, z tego samego rodu co Władysław – twórca jazdy legionowej).

Pułkownik Henryk Brzozowski, świetny organizator konnicy ziemi krakowskiej w 1918 r., dowodził VII Brygadą Jazdy. Tworzył ją 2. Pułk Szwoleżerów Rokitańskich, z tradycją owej Somosierry

30 sierpnia oddziały 13. DP uderzyły pod Zamościem na jedną z kolumn 1. Konarmii i wyparły zagrożonych okrążeniem bolszewików za Huczwę, lewy dopływ Bugu. Dywizja jazdy ruszyła w tym czasie na podzamojską wioskę Cześniaki. Rankiem 31 sierpnia Rosjanie, widząc, że szykuje się poważna rozprawa, przegrupowali siły do bitwy. Aby uniknąć okrążenia, Budionny rozkazał uderzyć w rozbieżnych kierunkach: 11. Dywizja Kawalerii (ok. 1,5 tys. szabel) na Komarów, a 14. Dywizja Kawalerii (ok. 1,8 tys. szabel) na Grabowiec. W tym czasie 4. oraz 6. dywizje kawalerii i samodzielna brygada kawaleryjska pozostawały nadal pod Zamościem. Nasza 1. Dywizja Jazdy zastąpiła drogę odwrotu, atakując batalionem szturmowym kpt. Maczka i wychodząc na tyły Budionnego.

Szarże z „Trylogii”

11. Dywizja bolszewicka wyprowadziła główny atak na VII BJ, która stanęła jej na drodze, zdobywając Wolice Śniatyczną wraz z górującym nad nią wzgórzem 255.

na wroga. I tak rozpoczęła się jedna z najślawniejszych pod Komarowem szarż. Wydarzenie to świadek opisuje następująco:

Nareszcie serce zabiło z radości! Z tyłu wyłania się rozwinięty w ławę pułk Krechowiecki, który spokojnym miarowym galopem szybko się zbliża! Za nim widać było żółte linie ułanów Jazłowieckich. Jeszcze parę chwil i linie nasze z okrzykiem „hurra” przekraczają wymęczone nierówną walką twarde pułki VII Brygady! Jak na kiwnięcie różdżki czarodziejskiej, z prawej strony ukazują się ławy 12 pułku ułanów, prowadzonych przez rotmistrza Komorowskiego i przedłużają skrzydło Krechowiaków. W kilkadziesiąt sekund cały obraz bitwy zmienił się zupełnie. Budionowcy zmykają rąbani i kluci przez Krechowiaków i Czternastkę [14. Pułk Ułanów Jazłowieckich – przyp. M.R.], całe przedpole wraz z zasłaniającym horyzont wzgórzem 255 przechodzi w nasze ręce.

Następnie Rómmel, który wczesnym popołudniem dowiedział się od zwiadu lotniczego o kierunku odwrotu Budionnego, nakazał poszczerbionym pułkom VI brygady odciąć mu drogę na Hrubieszów pod Niewirkowem.

Około godz. 17 Budionny podjął kontruderzenie przybyłą na pole bitwy

6. Dywizją, której dowódcą był Josif Rodionowicz Apanasienko – postać jak z Cichego Donu, były pastuch z gubernii stawropolskiej o fizjonomii i zwyczajach bandyty. Znany z okrucieństwa już podczas wojny domowej, odpowiadał za najgorsze rzezie i gwałty podczas wojny z Polską, m.in. w berdyczowskim szpitalu (czerwiec 1920 r.), gdzie urządził piekło rannym, pielęgniarcom i lekarzom, oraz całkiem niedawno pod Zadwórzem, gdzie kazał zarżynać poranionych jeńców. Pod Komarowem zaatakował najbardziej znużoną VII BJ, ale nie dane mu było zadawać mąk i śmierci bezbronnym. Niedługo zmykał w popłochu z całą Konarmią.

Rozpoczęły się szczególnie dramatyczne chwile dla obu stron. Ataki i kontrataki mniej licznych, ale heroicznie nieugiętych Polaków, przeplatały się z kontruderzeniami zdesperowanego wroga. Był moment, gdy bolszewicy

wprowadza swego przemęczonego deresza w cwał i już cały pułk impetem rusza do szarży i w mgnieniu oka pokrywa odległość kilkudziesięciu zaledwie kroków, dzieląc go jeszcze od wroga. Tej niezwykle silnej szarży nie wytrzymał nieprzyjaciół. Przyjął ją salwą z pistoletów, ledwie dosłyszalną wśród naszych gromkich „hurra” i natychmiast podał tyły. Wzdłuż całej linii frontu nawróciły jego oddziały. W jednym miejscu przełamana, cała 6 dywizja bolszewicka galopem opuszczała pole bitwy [...]. Było to widowisko wspaniałe, którego nigdy w życiu nie zapomnę.

Książę Józef, patron pułku, byłby dumny... Ta szarża poderwała do ostatniego – jak się okazało zwycięskiego – ataku 1. Pułk Ułanów i następne. Tego już najeżdźcy nie wytrzymali i pierzchli.

Zwycięstwo zostało okupione stratą 300 poległych i rannych kawalerzystów oraz 500 koni. Z komunikatu Naczelnego Dowództwa WP dowiadujemy się, że „Budiennyj poniósł nader ciężkie straty

tym razem raczej bez widoków na utworzenie przyjaznego nam państwa ukraińskiego, ale aby wschodnia granica Małopolski Wschodniej zgodnie z wielowiekową tradycją znów oparła się o Zbrucz. Ofensywę tę rozpoczął błyskotliwy zagon mobilnego ugrupowania, które tym razem nie posługiwało się końmi, ale motorami.

Była to grupa mjr. Włodzimierza Bochenka z armii gen. Sikorskiego, która 11 września wyruszyła z Włodawy, a z rejonu Brześcia skierowała się na Kowel, aby zdobyć ten ważny węzeł kolejowy na tyłach 12. Armii bolszewickiej. Składała się z dwóch batalionów 26. Pułku Piechoty, dwóch baterii artylerii, kolumny wozów pancernych – siedmiu Ford FT-B i dwóch White. Piechota jechała na 54 ciężarówkach marki Packard, Berliet i Fiat.

Zaskoczenie bolszewików było równie duże co ich bezradność. Kolejne



Żołnierze 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego FOT.NAC

przepuścili naszych jeźdźców, aby nagle zawrócić i uderzyć z boków. Scena jak z „Trylogii” Sienkiewicza. I oto zaważył na wyniku bitwy poryw straceńczej determinacji wykrwawionego już 8. Pułku Ułanów, który z rtm. Kornelem Krzczunowiczem na czele wbił się w szyk czerwonych i zdobył samochód samego Budionnego (ledwie ocalał). Szarża, wedle relacji płk. Brzezowskiego, wyglądała tak:

Idzie kłusem, oszczędzając siły koni; nie rozwija pułku przedwcześnie, bo w kłębowisku i kurzawie pod krwawo zachodzące słońce nie może rozpoznać, czy ma przed sobą cofający się 9. pułk ułanów, czy też szarżującego nieprzyjaciela [...]. Ale już cofający się zniknęli w odstępach między szwadronami, już pada jak grom komenda: „rozwinęty, galopem, Hurra!”. Jadący w roli szperacza przed prawym skrzydłem pułku adiutant pułku, ppor. Aleksander Krzczunowicz (brat Kornela), oddaje szereg strzałów z pistoletu, rtm. Krzczunowicz płazem szablą

w zabitych i rannych, w tym kilku dowódców brygad i pułków i 12 komisarzy oraz zostawił w naszych rękach znaczną zdobycz, dwadzieścia kilka dział, wielką ilość km, transporty amunicji artyleryjskiej, kancelarie pułkowe, itd.”.

I to był kres potęgi i chwały 1. Armii Konnej. Nie odrodziła się już ona w wojnie z Polakami i rychło wycofano ją w głąb Rosji. Jazda Budionnego była dla Armii Czerwonej tym, czym kły są dla wilka. Pod Komarowem wyrwali je polscy ułani.

Raid na Kowel i dalej

Pogrom Budionnego pozwolił Polakom rozwinąć ofensywę, podobną do tej z wiosny. Znowu szliśmy na wschód,

czerwone oddziały usiłowały zatrzymać kolumnę, ale osiem dział polowych niszczyło zapory, odporne na kule żołdatów tankietki torowały drogę, ogień ckm-ów i karabinów dziesiątkował obrońców, a szybkość oddziału uniemożliwiała bardziej skuteczne przeciwdziałanie. Grupa mjr. Bochenka – wliczając w to kilka potyczek po drodze – poruszała się dniem i nocą ze średnią szybkością 12 km/h, pokonując 130-kilometrowy dystans w niecałą dobę. 12 września po południu miasto wraz z dworcem zostało opanowane przez Polaków, a następnego dnia – zanim bolszewicy zorganizowali skuteczne kontruderzenie – do Kowla nadeszły oddziały 3. Armii gen. Sikorskiego.

Tydzień teraz wystarczył, aby Wojsko Polskie stanęło (20 września) nad Zbruczem. Włodzimierz Wołyński wrócił w polskie ręce 13 września, Łuck i Rów-

ne – 16 września, Husiatyn, Trembowla i Brody – 18 września, Dubno i Ołyka – 19 września. Nie tylko Małopolska Wschodnia, lecz także zachodni Wołyń, należący przed drugim rozbiorem do Rzeczypospolitej, znów do niej wrócił.

16 września doszło jednak do tragedii pod Dytiatynem na ziemi tarnopolskiej. Ku Podolu zdążyła 6. Armia pod wodzą gen. Stanisława Hallera. W jej ramach 8. Dywizja Piechoty płk. Stanisława Burhardt-Bukackiego rozpoczęła 15 września natarcie w kierunku Podhajec. Dwa bataliony z 13. Pułku Piechoty kpt. Jana Gabryśia (łącznie ok. 600 żołnierzy, sześć dział i siedem ckm-ów), które miały na zachód od Podhajec opanować Rudniki, zostały zaskoczone pod Dytiatynem atakiem brygady z 8. Dywizji Kawalerii Czerwonych Kozaków i 123. Brygady Strzelców (razem ok. 1,8 tys. żołnierzy, 16 dział i kilkadziesiąt ckm-ów).

Od rana 16 września toczył się nierówny bój o zajęte przez Polaków wzgórze 385. Ataki strzelców i kawalerzystów – niekiedy spieszonych, niekiedy na koniach – były odpierane do popołudnia, aż do wyczerpania amunicji. Gdy kpt. Gabryś rozpoczął wycofywanie oddziałów na spotkanie odsieczy, kawaleria bolszewicka wdarła się przez odsonięte skrzydło. Pozostali obrońcy przebijali się ku swoim, niekiedy nawet z powodzeniem. Ale na szczycie wzgórza kawalerzyści osaczyli obsługę baterii oraz pluton osłonowy. Dowódca baterii kpt. Adam Zajac zignorował wezwanie do kapitulacji. Po wystrzeleniu ostatnich naboju większość obrońców poległa w walce wręcz, a czerwoni Kozacy dobili ciężko rannych. To były ostatnie tej wojny polskie Termopile...

A całą kampanię zakończy i granicę na Wołyniu wytyczy zagon na Korosteń. Przeprowadził go od 8 do 12 października Korpus Jazdy płk. Juliusza Rómmla, do którego 1. Dywizji Jazdy dołączyła 2. Dywizja Jazdy płk. Gustawa Orlicza-Dreszera. O tym wspomniał wyczynie polskiej kawalerii wypadnie napisać osobno za miesiąc. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Odnaka 8. Pułku Ułanów, który ruszył do decydującej szarży pod Komarowem

FOT. ARCHIWUM

Pawilony na „Różycu”



Maciej Rosalak

Bazar Różyckiego, założony na przełomie XIX i XX w., przetrwał dwie wojny światowe, bitwę o handel za czasów Bieruta, wszelkie domiary, inspekcje, inwigilacje, plany likwidacji i inne szykany ze strony kolejnych ekip „władzy ludowej”, a nawet plan Balcerowicza i konkurencję „targowiska Europa” na Stadionie Dziesięciolecia. Pozostał enklawą wolnego handlu i autentycznego folkloru obrzeży warszawskiego śródmieścia. Położony na prawej, praskiej stronie Wisły w „trójkącie bermudzkim” szemranych ulic Brzeskiej, Żąbkowskiej i Targowej, niejako uzupełnił przetrzebione przez wojnę i powstanie ferajny Czerniakowa, Sielc, Powiśla, Muranowa i Woli w lewobrzeżnej stolicy. To tu słychać było okropny i nie wiadomo dlaczego tak miły uszom żargon warszawski. Tutaj błyszczały charakterny fason i cwaniacki humor bohaterów jakby wyciętych ze wspomnień Grzesiuka i felietonów Wiecha w „Expresiu”. W zakątkach targowiska, popularnych także wśród klientów zza rzeki, można było zjeść niepowtarzalnego smaku flaki czy pyzy ze skwarkami. Wypić również się dało, żeby jadało nie myślało, że kot je zżera. Ale przecież nie flaki ani pyzy przyciągały na „Różycę”. Tu można było kupić niemal wszystko. Kiedy w połowie lat 80. chciałeś nabyć dla dziecka w wieku szkolnym specjalnie skrojone i przetarte dzinsy z naszywkami albo zegarek elektroniczny, nie warto było nawet zaglądać do państwowego domu towarowego Smyk. Jechałeś na Targową i miałeś, co chciałeś. Nawet „kałasza”, którego pozbył się przedtem żołdat z bratniej armii. Podobno.

Tak było sto lat z górą. Aż warszawiacy – pardon! – setki tysięcy mieszkających w stolicy różnej proveniencji obywateli, od lokatorów Miasteczka Wilanów do pensjonariuszy Zakładu Karnego na Białolecie, wybrali nowego, ślicznego prezydenta miasta. A nowy, śliczny pan prezydent chciał, aby wszystko wokół stało się śliczne i nowoczesne. Toteż już na samym początku kadencji błysnął pomysłem utworzenia na placu przed ratuszem, gdzie przejeżdżają co godzina setki i tysiące pojazdów, strefy relaksu przypominającej skład drewnianych palet do przewozu mebli. Jakże pięknie kontrastowały one z klasycystyczną architekturą dawnego Pałacu Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, wzniesionego wedle projektu Antonia Corazziego! Na terenie targowiska przy Targowej – gdzie kiedyś niemal jedna na drugiej stały dziwaczne budy – kazał zaś w równych odstępach zbudować rzędy takich samych, obszernych, solidnych, pomalowanych na jeden kolor pawilonów. Od razu zrobiło się ślicznie i nowoczesnie. Tylko bazaru Różyckiego już nie będzie...

W ramach dalszego unowocześniania miasta proponuję, aby pan prezydent kazał uporządkować jakieś stare ruiny, które straszą wokół sceny teatru Na Wodzie w Łazienkach. Przydałaby się tu solidna, nowoczesna konstrukcja z żelbetu, a odkryty amfiteatr można by przykryć rozległym dachem w kolorach tęczy, ożywiającym monotonną zielenią parkowego starodrzewu. A ze sceny niech też powojne nowymi czasami. Na przykład zamiast heteroseksualnej, homofobicznej sztuki Szekspira „Romeo i Julia” niech zagrają wersję, która sprostą dzisiejszym wyzwaniom. Jej tytuł: „Romeo i Julian” albo po prostu – „Romek i Julek”.

©

Budionnówka znad Słucza



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

Wśród pamiątek wojny z bolszewikami lat 1919–1920 wyróżnia się w MWP bolszewicka czapka zdobyta przez ułanów krechowickich

Czapka wykonana jest z drelchu, niegdyś barwy zielonooliwkowej, a obecnie mocno spłowiałego. Zszyto ją z sześciu brytów i uformowano w kształt koniczno-sferyczny. Z przodu doszyto miękkie daszek, a do boków podwójnie składany otok, który po opuszczeniu zakrywa uszy i kark. Końcówki otoka mają doszyte skórzane paski, które zapinano na guziki znajdujące się na przedzie czapki (obecnie ich brak). Z przodu umieszczono pięcioramienną czerwoną gwiazdę.

Czapkę ofiarował MWP w 1920 r. rtm. Mikołaj Wisznicki. Stanowiła trofeum z bitwy pod Bronnikami. Ta mała wioska leżąca nad rzeczką Tanią (dopływem Słucza) położona jest na wschód od Nowogrodu Wołyńskiego (dawny polski Zwiąhel). Doszło tutaj do starcia podczas jednej z najbardziej śmiałych operacji kawalerskich wojny 1919–1920 – zagonu na Korosten przeprowadzonego w dniach 8–12 października 1920 r., a więc tuż przed podpisaniem rozejmu kończącego wojnę. Polskie oddziały, w tym 1. Pułk Ułanów wchodzący w skład 6. Brygady Jazdy płk. Konstantego Plisowskiego, walczyły o podstawy wyjściowe do generalnego natarcia. Do niewoli wzięto wówczas 800 czerwonoarmistów.



Charakterystyczna spiczasta czapka jest jednym z symboli Armii Czerwonej. Hełm sukieny (szliem sukonnij) w barwie ochronnej, stanowiący element ubioru zimowego, zatwierdzony został oficjalnie 16 stycznia 1919 r. decyzją Rady Wojenno-Rewolucyjnej Republiki

Radzieckiej. Przyjmuje się powszechnie, że projekt czapki powstał w 1918 r. w związku z konkursem na nowe umundurowanie dla Armii Czerwonej. W pracach uczestniczyli liczni artyści, wśród których wymieniana się przede wszystkim słynnego malarza Wiktor Wasniecowa (1848–1926). Warto dodać, że podobnie było w przypadku polskiego munduru wzór 1919 – w składzie specjalnie powołanej komisji znaleźli się wybitni naukowcy, historycy i artyści, w tym słynny batalista Wojciech Kossak.

Charakterystyczny kształt stanowił nawiązanie do używanych w średnio-wiecznej Rusi koniczno-sferycznych szyszaków, kojarzonych z konnymi wojownikami – bogatyrkami (stąd jedna z nazw – „bogatyрка”), sławionymi w staroruskich legendach, pieśniach oraz będących tematem obrazów XIX-wiecznych malarzy rosyjskich. Istnieje także teoria, niepotwierdzona źródłowo, że czapki te (jak również inne elementy munduru) wykonano już w 1915 r. dla wojska carskiego, z przeznaczeniem dla oddziałów mających odbyć paradę zwycięstwa w zdobytych

Berlinie i Konstantynopolu. Jak wiadomo, Rosjanom nie udało się nawet zagrozić stolicom Niemiec i Turcji, stąd nowe sorty pozostały w magazynach. Wyciągnęli je dopiero bolszewicy, którzy zaadaptowali je do własnych potrzeb. Ponoć pierwsze partie nowych nakryć głowy wydano już w końcu 1918 r. oddziałom z Iwanowo-Wozniesienska (miasto na północny wschód od Moskwy), które na czele z Michaiłem Frunzem wyruszały do boju przeciwko działającemu na Syberii adm. Aleksandrowi

Kołczakowi (stąd kolejna spotykana nazwa – „frunzewka”). Następne większe partie trafiły do kawalerzystów 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego i to właśnie od nazwiska tego dowódcy czapka wzięła swoją najpopularniejszą nazwę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ił-2 „Szturmowik”

Należy on do najstojniejszych i najbardziej udanych sowieckich konstrukcji lotniczych okresu drugiej wojny światowej. Koncepcja narodziła się pod koniec lat 30., ale wysokie wymagania taktyczno-techniczne oraz problemy z jednostką napędową spowodowały, że produkcja seryjna ruszyła już w toku walk z Niemcami. Maszyna przeznaczona była do zwalczania celów naziemnych z małej wysokości. Ił-2 mógł atakować z lotu zarówno poziomego, jak i nur-

strzeleckiej przód kadłuba wraz z silnikiem, a także stanowisko pilota.

W finalnej wersji Ił-2 otrzymał dwa działka 23 mm i dwa karabiny maszynowe 7,62 mm umieszczone w skrzydłach; dodatkowo w wersji dwuosobowej tylny strzelec obsługiwał ruchomy km kal. 12,7 mm. Ił-2 przenosił klasyczne bomby, jak również bomby kasetowe – kilkaset takich małych półtora- lub dwupółkilogramowych pocisków (także przeciwpancernych, kumulacyjnych) zrzuconych salwą z niskiej wysokości miało prawdziwie niszczyielską moc. Dodatkowo maszynę uzbrajano w podskrzydło-

kowego. Był to dolnopłat o konstrukcji w większości metalowej, wyposażony w benzynowy, chłodzony cieczą silnik tłokowy o mocy 1,7 tys. KM (silnik AM-38F). Istniały wersje jedno- i dwuosobowa. Cechą wyróżniającą „Szturmowika”, bo taka nazwa została spopularyzowana, było silne uzbrojenie defensywne i ofensywne. Korpus pancerny z blach o różnej grubości zabezpieczał przed pociskami broni

we niekierowane pociski rakietowe kal. 82 i 132 mm. Istniała także wersja uzbrojona w dwa działka kal. 37 mm. Najskuteczniejszą bronią przeciwko iłom były szybkostrzelne działka kal. 20 mm strzelające amunicją przeciwpancerną. ©©



Broń z PFK

W czerwcu 1921 r. Międzynarodowa Komisja Pożyczenia Mienia Poniemieckiego przyznała Polsce urządzenia, materiały i plany fabryki broni z Gdańska. Wyposażenie instalowano w mieszczących się na warszawskiej Woli zakładach Gerlach i Pulst. Od lipca 1920 r. oficjalna nazwa zakładów brzmiała: Państwowa Fabryka Karabinów (PFK). W 1922 r. rozpoczęto produkcję karabinu wz. 98 kal. 7,92 mm, wiernie wzorowanego na niemieckim pierwowzorze. Kilka lat później uruchomiono produkcję karabinków – kbk wz. 98. Na początku lat 30. PFK zakończyła produkcję broni indywidualnej – w sumie dostarczyła wojsku ponad 200 tys. kb i kbk. Cały wysiłek skupiono na broni maszynowej systemu Browninga, czyli rkm-ach wz. 28 i ckm-ach wz. 30. W drugiej połowie lat 30. uruchomiono także produkcję kilku wzorów km-ów lotniczych. Do 1939 r. dostarczono ponad 20 tys. karabinów maszynowych różnych wzorów. W PFK wytwarzano także karabiny przeciwpancerne wz. 35 „Ur” (kilkaset tysięcy). ©©



Weteran spod Lenino

Wśród sprzętu pancernego ze zbiorów MWP wyróżnia się czołg T-34, w którego karcie inwentarzowej zapisano: „Szlak bojowy – Smoleńsk – Lenino – Lublin – Warszawa – Bydgoszcz – Gdynia – Gdańsk. Zaslugi bojowe: 4 czołgi, 7 bunkrów, 22 różnych dział, 25 C.K.M. Przeszedł w bojach 6269 km”. T-34 pochodzi z pierwszej dostawy z lipca 1943 r. dla formującego się w Sielcach nad Oką 1. Pułku Pancernego Ludowego Wojska Polskiego (potem 1. Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte). W skład załogi weszli: dowódca-celowniczy chor. Wacław Feryniec, mechanik-kierowca

kpr. Józef Derlatko, ładowniczy szer. Józef Lisiecki i strzelec-radiotelegrafista Stanisław Pawelczyk. Pod Lenino pojazdowi nie udało się sforsować bagnistej Mierei i być może dlatego przetrwał...



Wziął udział w kolejnych walkach, a podczas przełamywania Wału Pomorskiego trafiono go z pancerfausta. Ślady bitewnych „ran” czytelne są do dziś. Zimą 1945 r. kolejnym dowódcą czołgu został chor. Bolesław Mierzejewski: „W czasie walk w rejonie Żabinek (Wał Pomorski) – czytamy w relacji spisanej w muzeum – został mi przydzielony czołg nr 114 z następującym składem załogi: [...] Z załogą tą brałem udział w walkach od Wierzechowa do Gdyni-Gdańska, a następnie jako jedyny czołg z działem 76 mm przejechaliśmy z Gdańska do Siedlec...”. Pojazd trafił do muzeum w 1946 r. ©©

Programowanie / Maszyny, które zastępują człowieka

Roboty

Robot z filmu „Metropolis” Fritza Langa z 1927 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Tymoteusz Pawłowski

/ Roboty są wśród nas i były wśród nas przynajmniej od kilkuset lat. My jednak – ludzie – jesteśmy mało spostrzegawczy. Roboty rzadko mają kształt człowieka, z reguły ukrywają się w niepozornych pudełkach

Dawno, dawno temu Zeus uwiodł piękną księżniczkę o imieniu Europa – pojawił się przed nią pod postacią byka, a gdy dziewczyna usiadła na nim, porwał ją na wyspę Kretę. Podarował jej człowieka z brązu o imieniu Talos. Jego zadaniem było odpędzanie konkurentów: trzy razy dziennie obiegał brzegi wyspy, a zauważone okręty obrzucał skałami.

Talos uchodzi za pierwszego robota – przynajmniej w mitach zapisanych 25 wieków temu.

Starożytni potrafili tworzyć podobne roboty, wykorzystując do ich napędu wodę, powietrze albo parę. Znamy je pod nazwą „automaty”, czyli urządzenia działające samodzielnie. Służyły głównie do zapewniania rozrywki możliwym, miały postać zwierząt lub ludzi, wykonywały proste, powtarzalne czynności. Ich wytwarzaniem zajmowali się najwybitniejsi greccy naukowcy, tacy jak Ktesibios i Heron. Obaj pochodzili z Aleksandrii, niektórzy więc twierdzą, że automaty w kraju faraonów były znane tysiąc lat przed tym, nim Grecy zdobyli Egipt. Później wytwarzaniem robotów – czy automatów – zajmowano się w Chinach, krajach arabskich i Bizancjum.

Czym właściwie jest robot? Większość naukowców zajmujących się naukami ścisłymi – bo humaniści widzą to inaczej – uważa, że jest to maszyna, która za pomocą programu steruje swoimi urządzeniami peryferyjnymi. Pierwszym skojarzeniem będzie najprawdopodobniej sztuczny człowiek, który dzięki programowi napisanemu przez informatyków porusza rękami i nogami. Jeśli jednak program zostanie zapisany na metalowym dysku, a peryferiami będą wskazówki, to

tę definicję spełniają... zegary. I większość naukowców zgadza się z takim ujęciem tematu: roboty są dość powszechne od czasu średniowiecza. W Polsce roboty pojawiły się zatem już w 1368 r., a najprawdopodobniej pierwszym był ten na wieży ratuszowej we Wrocławiu.

W 1551 r. na wieży ratusza w Poznaniu zamontowano „urządzenie błazeńskie, mianowicie koziołki”. Poznańskie koziołki są prawdziwymi robotami, zaprogramowanymi tak, aby w południe pokazywać się publiczności i wykonywać całkiem skomplikowane ruchy. Poznań nie był jedynym miastem mającym takie atrakcje. Stawały się one coraz bardziej popularne. Najśłynniejszym zegarmistrzem zajmującym się budową robotów był żyjący w XVIII stuleciu Pierre Jaquet-Droz. Trzy z jego robotów dotrwały do dziś: dziewczyna grająca na klawikordzie, rysownik oraz – najbardziej złożony – pisarz. Roboty te można zaprogramować tak, aby grały różną muzykę, rysowały różne rysunki i pisały różne teksty.

Roboty i androidy

Urządzenia te nazywano automatami aż do roku 1921, gdy czeski dramatopisarz Karel Čapek napisał sztukę

„R.U.R.”. Słowo „robot” – Čapek użył go do opisanie sztucznych ludzi hodowanych w fabryce Roboty Uniwersalne Rossuma – pochodzi od czeskiego słowa „robota”, czyli „praca pańszczyźniana”. Nazwa ta bardzo szybko stała się modna na całym świecie, tak jak modne stały się roboty. W tym czasie napędzane były najczęściej silnikami elektrycznymi i służyły przede wszystkim do celów reklamowych.

Sto lat temu roboty przestały być rozrywką bogaczy i stały się obecne w życiu zwykłych ludzi, także dzięki sztuce. W pierwszej połowie XX w. opowiadania i powieści fantastyczno-naukowe święciły triumfy, popularność zdobywały komiksy, a przede wszystkim filmy. Większość tych produkcji – zarówno papierowych, jak i celuloidowych – jest już zapomniana, ale film „Metropolis” znany jest do dziś, tak samo jak występujący tam gynoid – czyli robot-kobieta – o imieniu Maria.

Słowo „gynoid” nie przyjęło się, dziś mówimy raczej o androidach płci żeńskiej (nawet jeśli „andros” to mężczyzna, a „eidos” – postać). W gruncie rzeczy nie przyjęły się także androidy. Ludzkie kształty roboty mają z reguły tylko w filmach i powieściach. Jednak literatura ma duże znaczenie dla nauki zajmującej się robotami. Niegdyś – w połowie XX w. – nazywała się ona cybernetyką i zajmowała się w dużej mierze etyką życia ludzi i robotów. Gdy etyka zeszała na drugi plan, a naukowcy skupili się na sprawach informatycznych i mechanicznych, utarła się nazwa robotyka.

Kwestie etyczne okazały się bowiem nieprzystosowane do realiów. W 1941 r. Isaac Asimov – jeden z najśłynniejszych pisarzy fantastyczno-naukowych – sformułował trzy prawa robotyki. Pierwsze z nich brzmi: „Robot nie może skrzywdzić człowieka ani przez zaniechanie działania dopuścić, aby człowiek doznał krzywdy”. Niestety właśnie trwała wojna światowa i piękne idee okazały się nierealne w prawdziwym świecie.

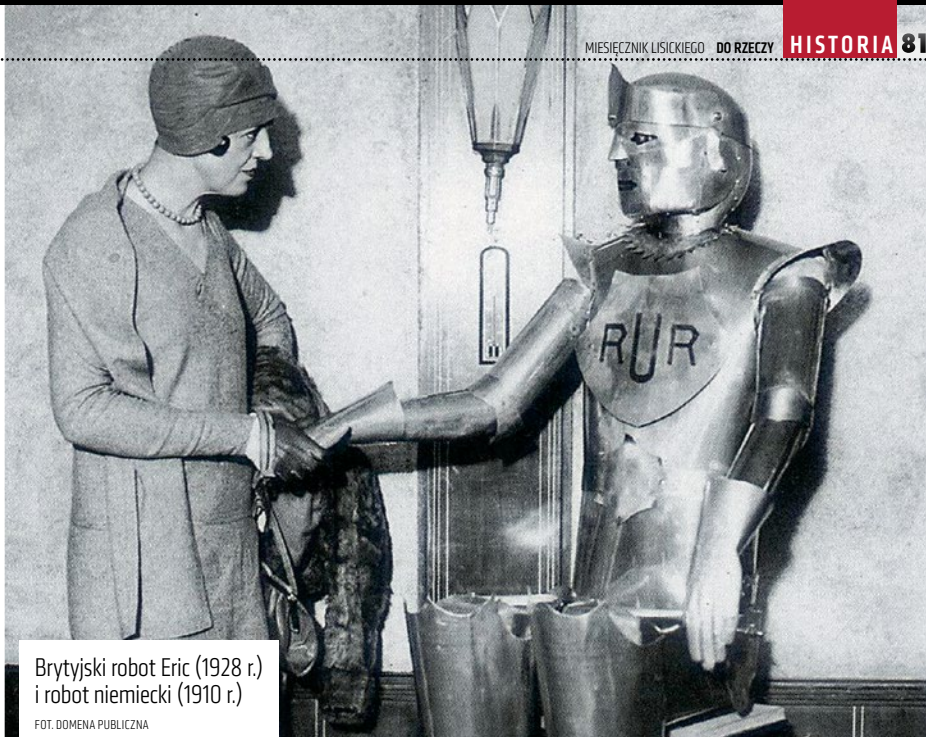
Apokalipsa i pranie

Druga wojna światowa wybuchła w 1939 r. i bardzo szybko okazało się, że arsenały walczących państw pełne są robotów bojowych zaprojektowanych w latach 30. Nie byli to oczywiście żołnierze-androidy, ale maszyny zaprogramo-

wane do zabijania i niszczenia. Niektóre roboty – np. niemiecka mina samobieżna „Goliath” – nie odniosły sukcesu. Inne – choćby torpedy samosterujące i samonaprowadzające się rakiety przeciwlotnicze – miały fenomenalne powodzenie.

Słowa „sukces” i „powodzenie” oznaczają w przypadku robotów zatrudnianych przez wojsko sprawność w zabijaniu. Największy i najdroższy robot bojowy wszech czasów – NORAD, chroniący przestrzeń powietrzną Ameryki Północnej – na szczęście nie musiał sprawdzać w praktyce swojej skuteczności. Zbudowano go na przełomie lat 50. i 60. XX w. za ok. 10 mld ówczesnych dolarów (dziś należałoby je pomnożyć kilkanaście razy). Rozpościera się niemal na całym terytorium USA i Kanady. Jego rdzeniem były komputery SAGE, zaprogramowane tak, żeby wszelkimi środkami zniszczyć nadlatujące samoloty i rakietę wroga. Cała ta robota może być wykonywana automatycznie, bez udziału człowieka.

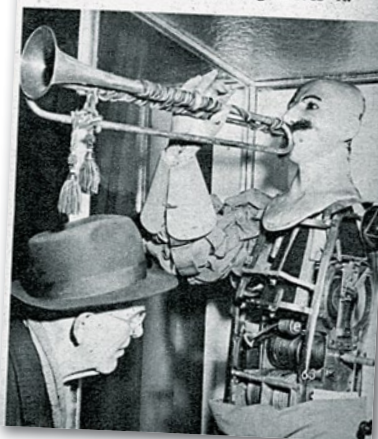
Równolegle z robotami bojowymi powstawały roboty pokojowe, a także



Brytyjski robot Eric (1928 r.) i robot niemiecki (1910 r.)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

First Robot in history is said to be this soldier with an automatic bellows blowing a trumpet. It was made in 1910 by Friedrich Kaufman of Dresden, Germany, and is on display at present in the Munich Museum. Clockwork spring drives it.



łazienkowo-kuchenne. Pralka automatyczna – programowalne urządzenie mechaniczne wykonujące nudne i żmudne pranie – została zaprojektowana tuż przed drugą wojną światową, a tuż po niej zdobyła olbrzymią popularność. To nie przypadek: w czasach wojny przemysł zbrojeniowy uczy się masowo i tanio produkować środki zniszczenia, a gdy następuje pokój, umiejętności te wykorzystuje się do masowej i taniej produkcji artykułów gospodarstwa domowego.

Pralka automatyczna jest robotem, ale robotami nie są... „roboty kuchenne”. Roboty muszą bowiem być programowalne. Robotem może być autonomiczny odkurzacz, roboty można znaleźć w fabrykach – najbardziej rzucają się w oczy ich ramiona, służące do montowania, lakierowania czy spawania. Roboty eksplorują kosmos, także jako księżycowe i marsjańskie łaziki. W kosmosie pracuje również Robonaut – jego kadłub napędza dwa ramiona, a sensory umieszczone są w ruchomej głowicy. Wszystko to ma kształt człowieka. Być może już niedługo przynajmniej niektóre roboty będą androidami?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują

/ Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

WITOLD ZACHAREWICZ
URODZIŁ SIĘ W 1914 ROKU
W PŁOCKU I JUŻ W MŁODOŚCI
ZAFASCYNOWANY KINEM,
ZAPRAGNĄŁ ZOSTAĆ AKTOREM.
ZACZĄŁ OD ROLI STATYSTY
W „POD TWOJĄ OBRONĘ”
Z 1933 ROKU. TO JEDNAK
WYSTARCZYŁO, ABY ZOSTAŁ
ZAUWAŻONY I PRZYNIEŚŁO
KOLEJNE ROLE W TAKICH
FILMACH, JAK: „RÓŻA”,
„ZNACHOR” „PROFESOR
WILCZUR” CZY „BARBARA
RADZIWIŁŁÓWNA” – W KTÓRYM
U BOKU JADWIGI SMOSARSKIEJ
ZAGRAŁ KRÓLA
ZYGMUNTA II AUGUSTA.



W ZALEWDIE KILKA LAT
STAŁ SIĘ GWIAZDĄ.
WRÓŻONO MU WIELKĄ KARIERĘ,
NAWET MIĘDZYKRAJOWĄ,
BO PO PODPISANIU W 1938 ROKU
KONTRAKTU Z UNITED ARTIST
PLANOWAŁ WYJAZD DO STANÓW
ZJEDNOCZONYCH, PODOBNE
JAK HELENA GROSSOWNA
CZY EUGENIUSZ BODO.



PO POWOŁANIU DO WOJSKA
MUSIAŁ PRZERWAĆ GRANIE
W FILMACH. TRAFIŁ DO
SZKOŁY PODCHORĄŻYCH
REZERWY ŁĄCZNOŚCI W ZEGRZU.
PO WYBUCHU WOJNY WE WRZESNIU
1939 ROKU SKIEROWANO GO
DO SZWADRONU ŁĄCZNOŚCI
MAZOWIECKIEJ BRYGADY KAWALERII.



W CZASIE OKUPACJI MIESZKAŁ
W WARSZAWIE. WYSTĘPOWAŁ
W TEATRZE, POMIMO ZAKAZU
WYDANEGO PRZEZ PODZIEMNE
STRUKTURY ZWIĄZKU ARTYSTÓW
SCEN POLSKICH. JEDNAK
JEDNOCZEŚNIE ZAANGAŻOWAŁ SIĘ
W POMOC ŻYDOM.



OKAZAŁO SIĘ JEDNAK,
ŻE BYŁA TO PROWOKACJA
GESTAPO. ZACHAREWICZ
ZOSTAŁ ARESZTOWANY
1 PAŹDZIERNIKA 1942 ROKU
WRAZ Z DZIESIĘCIOMI INNYMI
OSOBAMI ZAANGAŻOWANYMI
W POMOC.

W LISTOPADZIE
1942 ROKU
WYWIEZIONO GO DO
NIEMIECKIEGO OBOZU
KONCENTRACYJNEGO
AUSCHWITZ-BIRKENAU.



ZGINĄŁ 16 LUTEGO 1943 ROKU.
DO DZIŚ NIE WIADOMO JEDNAK,
W JAKI DOKŁADNIE SPOSÓB.
CZEŚĆ WSPÓŁWIEŹNIÓW
WSPOMINAŁA O JEGO
ROZSTRZELANIU, INNI
O ZASTRZYKU Z FENOLU.

Jest! Pełna – jeśli tak w ogóle można powiedzieć w przypadku tak aktywnej i długowiecznej postaci – biografia Władysława Studnickiego. Autor mógł być tylko jeden – Piotr Zychowicz, który przez lata dojrzewał do miana tragarza pamięci o Studnickim. Słusznie zrezygnował z opisu walk, które toczył profesor jeszcze w XIX w., a później przed pierwszą wojną światową oraz w jej czasie i wreszcie w II RP, bo jest ta część życiorysu Studnickiego, którą najlepiej poznaliśmy przede wszystkim dzięki rozprawom

niezliczonych wysiłków i inicjatyw, wśród których były rozmowy z gen. Karlem von Neumannem-Neurode, Ludwigiem Fischere, Walterem Bierkampem i Josephem Goebbelsem, memoriały w obronie sprawy polskiej, kultury materialnej i Polaków adresowane do Adolfa Hitlera, Hansa Franka, Hermanna Göringa i szefów gestapo, dyskusje w polskim podziemiu, awantury z rozlicznymi urzędnikami niemieckimi...

Był Studnicki konsekwentnym germanofilem, a jednocześnie bitym przez niemieckich siepaczy więźniem Pawiaka, na którego brzmienie nazwiska Hitler z Goebbelsem dostawali białą gorącz-

„źródła”, londyńska mogiła profesora tonie w błocie, a za wszystkim tym stoją ludzie mieniący się patriotami i prawicą, chociaż są w istocie... cenzorami i dzie-dzicami najgorszych sowieckich praktyk krępowania wolnej myśli.

„Nie boję się niepopularności” – napisał kiedyś Władysław Studnicki, ukazując w ten sposób imperatyw swojego życia i działania. Taki myśliciel i aktywista – Człowiek Wolny – musi mieć w Polsce zawsze trudniej niż kiedy indziej, może nawet najtrudniej. Nie walcząc o osobisty splendor, stanowisko ani dobra materialne, sprzeciwiał

/ Felieton



Sławomir Cenckiewicz

Studnicki

Jacka Gzelli, Włodzimierza Sulei i Jana Sadkiewicza.

Druga wojna światowa była szczytem aktywności i weryfikacją wszystkich wcześniejszych działań oraz myśli Władysława Studnickiego. I temu właśnie okresowi Zychowicz poświęcił 70 proc. swojej 650-stronicowej książki! Słusznie, gdyż nie ma bardziej zakłamanego fragmentu życiorysu Studnickiego niż druga wojna światowa. Nie ma co przywoływać naszych nielicznych, choć wciąż głośnych rzeczników „dogmatu jedyności” w ocenach naszych dziejów, którzy raz to rzucali w stronę Studnickiego obelgami w rodzaju „kolaborant” i „podnózek Hitlera”, by innym razem porównywać go do Bieruta, a nawet określić mianem „gorszego od komunistów”.

Z mgły tych propagandowych zakłęg i wrzasków wyłania się postać człowieka, który się w latach 1938–1945 nie mylił, ale przegrał. I sam to wielokrotnie podkreślał, pisząc o marności efektów swoich

ki. Jednakże ten pobity, opluty i objęty cenzurą przez hitlerowców starzec stał się ucieleśnieniem wszystkiego, co najgorsze, w oczach komunistów i ich sojuszników, gdyż nigdy nie zrezygnował z celu, który przyświecał mu od zawsze: pokonać Rosję, unicestwić bolszewizm, a państwo moskiewskie rozbić na skłócone ze sobą dzielnice i byty. A więc – w warunkach drugiej wojny – oszczędzać polską siłę, nie wykrwawiać się w wojnie z Niemcami, ratować elity i tkankę społeczną, skupiać się na fizycznej likwidacji komunistów jako agencji ZSRS.

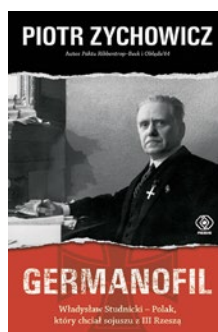
I ten straszny paradoks: zmarły w 1953 r. na wygnaniu Władysław Studnicki jest dla wielu wciąż groźny, wyzywany w stylistyce podobnej do bolszewickiej, jego książka jest usuwana z konkursu historycznego w kategorii

Studnicki był wolny od wady oportunistu, więc nie ryzykował niczego... poza swoim życiem

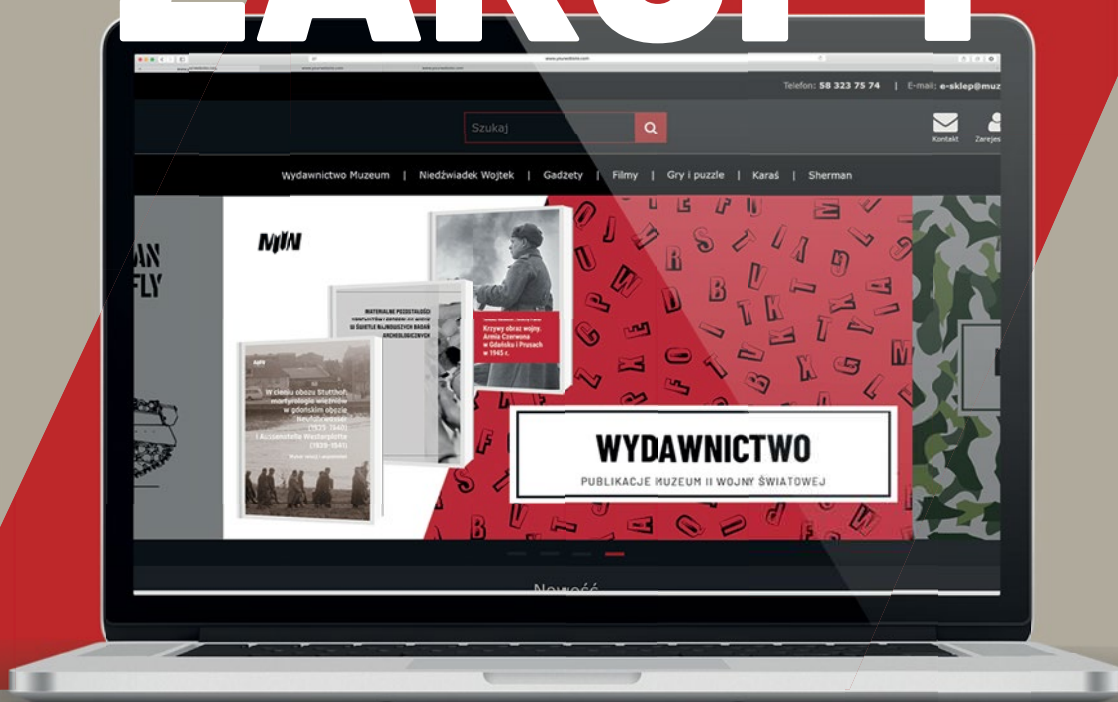
się bardzo powszechnej cesze (a raczej wadzie) polskich elit politycznych i wojskowych (bez względu na epokę): walczyć (w przeszłości często dla Polski), by zyskać indywidualną sławę, urząd i pieniądze, czyli święty spokój, ale broń Boże nie sprzeciwiać się poglądom uznanym za obowiązujące, gdyż pociąga to za sobą ryzyko utraty wszystkich zdobyczy i apanaży.

Studnicki był wolny od tej narodowej wady, więc nie ryzykował niczego... poza swoim życiem. „W narodzie naszym – pisał w kultowej »Sprawie polskiej« – spotykaliśmy typ nieznoszący niewoli. Typ, który byśmy nazwali czerwonoskórym. I typ urodzonych niewolników, który nazwiemy murzyńskim. Przystosowujemy się do niewoli, stąd Murzynów duchowych mamy coraz to więcej, czerwonoskórych coraz to mniej. Duch murzyński zmusza nas szukać oparcia się o Rosję, dlatego, że ona nas katuje niemal już dwa wieki”.

Łatwo odnieść wrażenie, że ten drugi duch zawładnął naszymi duszami. Przez fatalną politykę i decyzje z 1939 r., przez tragiczną taktykę polityczną z okresu drugiej wojny światowej, utratę ziem ojcowskich na Wschodzie, migracje i półwiecze sowieckiej okupacji... Obyśmy nie trwali w tych konsekwencjach na zawsze. ©©



ZRÓB ZAKUPY



muzeum1939.pl



W SKLEPIE INTERNETOWYM
MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ
W GDAŃSKU